



*Tzay Historie*

*Panny Młode*  
- ZIMA -

DENISE HUNTER  
DEBORAH RANEY  
BETSY ST. AMANT

**Denise Hunter  
Deborah Raney  
Betsy St. Amant**

*Panny młode*

**Zima**

Denise Hunter

Grudniowa panna młoda

Wkuchni pizzerii u Cappy'ego, w której panował ogromny ruch, Layla O'Reilly wcisnęła się do kąta i nachyliła do słuchawki.

– Nie, nie, nie. Nie możesz się teraz wycofać. Wesele jest za pięć godzin. Pięć godzin, Cooper! – Owinęła kabel wokół pięści, a na jej czoło wystąpiły krople potu.

– Laylo, ja...

– Nawet mi nie mów, że musisz być w pracy. Zaprosiłam cię ponad miesiąc temu. Powiedziałeś, że załatwiłeś sobie wolny wieczór i noc.

– Pozwól mi coś powiedzieć. Mam *anginę*, Laylo. Zараżam. Muszę być na antybiotykach przynajmniej dwadzieścia cztery godziny, zanim...

– Zaryzykuję. – Nie przejmowałaby się, nawet gdyby miał malarię. Zamierzała pójść dzisiaj na to wesele i to właśnie z osobą towarzyszącą. Nic tak dosadnie nie mówiłoby: „Widzisz? Moje życie toczy się dalej” niż atrakcyjny mężczyzna u boku.

– Czuję się koszmarnie. Mam trzydzieści dziewięć stopni gorączki i drut kolczasty w gardle.

Layla wzięła głęboki oddech, a jej nozdrza wypełnił znajomy zapach czosnku i oregano. Nie mogła uwierzyć, że to się działo naprawdę.

– No, faktycznie, nie brzmiś zbyt dobrze.

– Przepraszam – powiedział. – Wiem, że dzisiejszy wieczór jest dla ciebie bardzo ważny.

– To nie twoja wina. – Zamknęła oczy. – Ani angina, ani to wesele. – Stuknęła się słuchawką w skroń. Raz, drugi, trzeci. – Przyniosę ci jutro rosół.

– Moja siostra już się tym zajęła, nie przejmuj się mną. Co teraz zrobisz?

– Nie wiem.

– Po prostu nie idź. Nie potrzebujesz ich.

– Cała moja rodzina tam będzie.

– Tutaj nie chodzi o twoją rodzinę, dobrze o tym wiesz – przypomniał jej. – Chodzi o to, że chcesz coś udowodnić.

– Zamknij się, Cooper. – Zaciśnęła pięść na kablu. Nic nie bolało tak mocno i tak długo, jak zdrada.

– Wiesz, że mam rację.

Olivia minęła ją, niosąc tacę, i ruchem głowy wskazała jej, by popatrzyła do tyłu. Layla podążyła wzrokiem w tamtym kierunku. Łysa głowa Cappy'ego błyszczała w świetle lamp kuchennych. Spojrzał na nią wymownie.

– Muszę kończyć. Mamy tu godziny szczytu.

Przyjęła dwa zamówienia, pracując na autopilocie, a jej myśli kręciły się wokół dostępnych możliwości. Musi szybko kogoś znaleźć. Podczas przerwy zadzwoniła do kilku znajomych. Bezowocnie.

*Myśl, Laylo.*

Poprawiła kucyk, w który upięła długie, brązowe włosy i wyszła z pomieszczenia dla personelu. Zostały jej jeszcze dwie godziny pracy, godzina, żeby się przyszykować, i pół, aby dotrzeć do Louisville.

Rozejrzała się po pizzerii, czując narastającą desperację. Nowy pomocnik kelnera, David, był całkiem przystojny i zawsze się do niej uśmiechał. Nie zachęcała go, bo był od niej o cztery lata młodszy, ale nikt tego nie zauważył. Poza tym desperacja, i tak dalej.

Kilka minut później odeszła od Davida jeszcze bardziej zdesperowana. Musiał pracować aż do zamknięcia. A co gorsza, jej zaproszenie potraktował jako zachętę.

– Wszystko okej? – spytała Olivia, przechodząc obok.

– Taaak. Spoko.

– Dobra. Jest już zamówienie dla czwartego stolika, a przy piątce usiadła właśnie rodzina.

– Dzięki. – Layla chwyciła zamówienie z podgrzewacza: pizzę personalizowaną, z wybranymi dodatkami, po czym, z mętlikiem w głowie, ruszyła do czwórki.

Dopiero tuż przy stoliku zauważyła, kto przy nim siedział. Seth Murphy rozpoznał ją w tym samym momencie. Schował iPhone'a do kieszeni, nie spuszczając z niej

spojrzenia swoich niebieskich oczu.

– Layla – powiedział tym swoim głębokim głosem.

Uniosła podbródek, położyła pizzę na stole, nie kłopotząc się, by nałożyć mu pierwszy kawałek na talerz.

– Murphy. – Co on tu robił? Na jej zmianie? Choć wcale nie musiał wiedzieć, że to jej zmiana. – Nie powinieneś szykować się do wesela? – Zaciśnęła usta, żeby nie wymknęło jej się nic więcej.

Spojrzał na zegarek, zwyczajny, z wielką tarczą i mnóstwem cyfr.

– Zostało jeszcze kilka godzin. – Otworzył znowu usta, ale zaraz je zamknął. Mądrze.

Odwróciła się do stolika numer pięć, by nie zdążył zadać jej tego samego pytania. Czowała na swoich plecach spojrzenie Murphy'ego, gdy przyjmowała zamówienie, i jej kark zalała fala żaru. Nieczęsto na siebie wpadali – nie obracali się w tych samych kręgach. Kiedy już się to zdarzało, było dla niej niezręczne. Nikt nie wiedział tak dobrze, jak Murphy, jak bardzo Jack ją skrzywdził. I nikt oprócz Jacka i Jessiki nie był za to bardziej odpowiedzialny.

Przyniosła napoje dla gości przy piątce i podała rachunek parze ściśniętej po jednej stronie dwuosobowej łoży. Przez chwilę wahała się, czy nie zignorować pustej szklanki Murphy'ego, ale odezwało się jej sumienie.

Chwilę później postawiła przed nim nowy mountain dew i oderwała paragon z terminalu. Zazwyczaj nie zostawiała rachunków tak wcześnie, ale Murphy nie był jej zwyczajnym klientem. Trudno było znowu być z nim blisko. I wciąż się na niego gniewać.

– Czy podać coś jeszcze?

Rozsiadł się wygodnie w pokrytej winylową tkaniną łoży. Światło padające z lampy nad jego głową korzystnie omywało mu twarz. Zawsze przypominał jej Ryana Goslinga, zwłaszcza kiedy nie miał na głowie tej okropnej firmowej czapki ze sklepu *Materiały Murphy'ego*.

Otworzył usta i bez słowa je zamknął. Layla miała już serdecznie dosyć tego, że wszyscy chodzili dookoła niej na palcach. On też.

Wyprostowała się do całego swojego metra sześćdziesiąt siedem i pół i przerzuciła koński ogon przez ramię.

– No, dawaj.

– Co? – Zamrugał.

– No, dalej, spytaj mnie.

Spuścił wzrok na napoczęty kawałek pizzy na talerzu. Nie ogolił się. Kilkudniowy zarost sprawiał tylko, że był jeszcze bardziej przystojny.

– Laylo...

– Tak, idę na wesele. Tak, już mi przeszło. I tak, cieszę się szczęściem mojej kuzynki. Czy to wyczerpująca odpowiedź?

Znowu zawiesił na niej wzrok. Ledwo wytrzymała jego spojrzenie. Potrafił patrzeć na nią tak, jakby umiał przejrzeć ją na wylot. Nie spoglądał tak na nią od czasu, kiedy latem malowali razem scenografię w lokalnym teatrze. Wtedy jej się to podobało. Teraz – nie za bardzo.

– Cieszę się – odparł. – Zaslugujesz na... – Ze wszystkich sił usiłował dokończyć zdanie.

Ale jego wysiłek nie był Layli potrzebny. Gwałtownym ruchem położyła na blacie rachunek.

– Udanego popołudnia, Murphy.

Jej serce biło zbyt szybko, kiedy odwróciła się na pięcie i odeszła. Nogi jej drżały, gdy zmierzała do kuchni. Jeśli na sam widok Murphy’ego działały się z nią takie rzeczy, to co będzie na weselu? Kiedy zobaczy Jacka i Jessicę razem, składających sobie przysięgę, całujących się, tańczących ze sobą?

Nie miała czasu martwić się o swoje uczucia. Wciąż potrzebowała osoby towarzyszącej, a zegar tykał. Wyczerpała już listę kontaktów. Rozejrzała się ponownie po restauracji, przyjmując kolejne zamówienie. Grupka chłopaków, których nie знаła, zebrała się wokół stołu bilardowego w drugiej sali. Knajpę wypełniały rodziny i małżeńskie pary. Znowu rozglądnęła się po kuchni. Trzech mężczyzn. David, Cappy i facet tak stary, że mógłby być jej dziadkiem.

*No, proszę, Boże, przydałaby mi się pomoc.*

Jej wzrok znów spoczął na Murphym. Zaniósł do stolika średnią pepperoni

i zaczęła nakładać kawałki na talerze.

Nie. Absolutnie nie. Z powodów tak licznych, że szkoda wymieniać.

Uśmiechnęła się mechanicznie do obsługiwanej pary, po czym poszła po dolewki. Może był singlem. I to atrakcyjnym – nie można było zaprzeczyć. Ale był też przyjacielem Jacka. Była zdziwiona, że nie został poproszony na świadka, ale najwyraźniej Jessica nalegała, żeby Jack wybrał jej braci.

Spojrzała przez przyciemniane okno na pokryty śniegiem krajobraz. Musiała przyznać, że było pięknie. Idealnie na zimowe wesele. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, to mogło być jej wesele.

Głośne siorbnięcie przyciągnęło jej uwagę z powrotem do stolika Murphy'ego. Odstawił pustą szklankę i ugryzł pizzę. Dobra. Kolejna dolewka.

Chwilę później postawiła napój na jego stoliku i odwróciła się, żeby odejść.

– Laylo... – Dotknął jej ręki. – Zaczekaj.

Ten dotyk sprawił, że coś jakby przez nią przepłynęło. Jego palce wciąż spoczywały delikatnie w tym samym miejscu. Zwróciła się ku niemu, unosząc brwi.

– Może... Podwiozę cię? Na wesele? Na drogach robi się nieciekawie.

Patrzyła mu prosto w oczy. Na swój sposób zawsze ją zaskakiwał. W przeszłości też. Nawet wtedy, kiedy byli jeszcze przyjaciółmi, zanim zaczęła spotykać się z Jackiem.

– To znaczy... Wiem, że na pewno masz z kim iść...

– Miałam. Dwie godziny temu. Cooper się rozchorował. Ma anginę.

– Ja idę sam, więc... – Podrapał się po szyi.

– Ach.

Czy to była odpowiedź? Czy Bóg zsyłał jej najbardziej nieprawdopodobny scenariusz?

I jeszcze jedno pytanie – najważniejsze: czy rzeczywiście była aż tak zdesperowana? Niestety, na to znała odpowiedź.

– Czyli... – kontynuował.



– Tak, dzięki. – Przeniosła ciężar ciała na drugą nogę. – Przyda mi się transport.

W jego oczach coś błysnęło, ale znikło, zanim udało jej się zgadnąć, co to było.

– Podjadę po ciebie o piątej trzydzieści. Dobra?

– Jasne. – Layla odwróciła się szybko, żeby nie zdążyć zmienić zdania. I nie zacząć się zastanawiać, dlaczego kolana nie potrafiły utrzymać jej w pozycji pionowej.

Pojawienie się na weselu byłego narzeczonego w towarzystwie Murphy’ego było nieskończenie lepsze niż pojawienie się na nim bez towarzystwa. Prawda?

Seth przesunął się nieco do przodu w kolejce gości witających się z młodą parą. Zerknął kątem oka na Laylę. Jej wydatne wargi ułożyły się w sztywny uśmiech, a zielone niczym mech oczy błyszczały od jakiejś emocji.

Podczas ceremonii ledwie drgnęła. Może rzeczywiście już jej przeszło z Jackiem.

Kiedy ponownie posunęli się naprzód, stanęła bliżej niego i ukryła swoją dłoń w zagłębieniu jego zgiętego łokcia. Przyciągnął ją do siebie, choć jego serce wysyłało sygnały ostrzegawcze do mózgu. *To nie ma nic wspólnego z tobą.*

Layla prawie w ogóle na niego nie patrzyła, odkąd wyjechali z Chapel Springs, jeśli nie liczyć pogardliwych spojrzeń, które mu posyłała. Najwyraźniej nie umiał powiedzieć nic odpowiedniego. Kiedy rzucił jej komplement na temat wyglądu – na dodatek szczery – przekreśliła jego słowa.

Znowu podeszli do przodu. Jack był już tylko kilka centymetrów dalej. Jack, który kiedyś był jego najlepszym przyjacielem. Wciąż się kumplowali, ale to już nie było to samo. Zmienił się, po tym jak zaczął się wspinać po drabinie tego świata. Stary Jack nigdy w życiu nie potraktowałby kobiety tak bezdusznie.

– Murphy. – Jack wyciągnął dłoń do męskiego uścisku. – Dzięki, że przyszedłeś, stary.

– Gratulacje dla was obojga.

Wzrok pana młodego spoczął na Layli, a jego oczy nieco się rozszerzyły, gdy zauważył, że trzyma się ręki Murphy'ego. Szybko się otrząsnął i nachylił, żeby ją też uściskać.

– Layla. Jak miło, że przyszałaś.

Kiedy dziewczyna odsunęła się od Jacka, jej dłoń zacisnęła się na ręce Seta w morderczym uścisku.

– Layla! – Jessica powitała kuzynkę sztucznym uśmiechem i nachyliła się do pocałunku, który nawet nie dotknął jej policzka.

– Jess. Gratulacje. – W jej wyważonym tonie nie dało się wyczuć ani nutki niepokoju. – Ślicznie wyglądasz.

– Dziękuję ci! Wybierałam tę suknię całą wieczność. – Zmierzyła wzrokiem Laylę od stóp do głów i z powrotem. – O rety. Miałam kiedyś identyczną sukienkę. Mama chyba oddała ją ubogim, ale bardzo ją lubiłam.

– Pójdziemy dalej. – Seth ruszył w bok i pociągnął Laylę za sobą. – Złapiemy was na przyjęciu.

Kiedy weszli za róg, Layla odsunęła się od niego. Miała napięte ramiona i szła sztywnym krokiem, stukając obcasami o kafelki w holu. Na jej twarzy nie było oznak udręki, nie licząc zaciśniętych zębów.

– Świetnie ci idzie – powiedział.

Posłała mu wymowne spojrzenie, gdy wychodzili z kościoła, a w drodze na przyjęcie nie odezwała się ani słowem. Wesele miało się odbyć w eleganckiej sali, kilka kilometrów dalej.

Po tym jak znaleźli swój stolik, Layla podchodziła do różnych członków swojej rodziny. Seth zaproponował, że pójdzie z nią, ale w odpowiedzi dostał tylko piorunujące spojrzenie. Bez dwóch zdań obwiniła go o to wszystko. Ale on nigdy nie chciał, żeby to się wydarzyło. Nigdy w życiu nie skrzywdziłby Layli celowo.

Zaczął się od tego, że odebrał telefon od Jessiki, której samochód zepsuł się na autostradzie. Skąd miał wiedzieć, do czego doprowadzi to, że wysłał do niej Jacka? A w następnych tygodniach, kiedy Jack wspominał przelotnie o Jessice, Seth myślał, że to nic takiego. Teraz, patrząc wstecz, dostrzegał, jakim był tępakiem. A Layla obwiniła go o to, że jej nie ostrzegł. A może o to, że to on spowodował tę lawinę. Chyba o jedno i o drugie.

Patrzył na nią teraz, jak odsuwa się od swoich ciotek. Nawet z wymuszonym uśmiechem na ustach była najpiękniejszą kobietą na sali, ze swoimi długimi, ciemnymi włosami, nieskazitelną cerą i dużymi, zielonymi oczami. Miała długie nogi i krągłości dokładnie tam, gdzie powinna. Ale to nie dlatego tak bardzo mu się spodobała.

Nie. To z powodu swojego zadziornego usposobienia, które tak mocno go przyciągało. Tego, jak jej oczy błyszczały od emocji. Tego, jak walczyła o swoje i o swoich bliskich. Layla była po prostu niezwykła.

A Jessica dobrze o tym wiedziała. I dlatego wbijała kuzynce szpile, kiedy tylko mogła. Po tamtym komentarzu w kolejce z gratulacjami miał ochotę potrząsnąć tą rozpieszczoną babą. A teraz patrzył na Laylę i miał wrażenie, że z ciotkami wcale nie szło jej lepiej.

Kończyła właśnie przyjemną rozmowę – przynajmniej tak mu się wydawało – ze swoim tatą, bratem – Beckettem i jego narzeczoną – Madison. Chwilę później Layla przeszła obok niego i zatrzymała się przy otwartym barze kilka metrów dalej.

– Pan Malcolm – przywitała się. – Miło pana widzieć.

– Panią też, eee... – Stanley Malcolm wyciągnął dłoń.

– Layla O'Reilly. Spotkaliśmy się u pana w biurze jakiś czas temu.

– Ach, tak, tak. Miło znowu panią widzieć.

Layla otworzyła ostatnio własną firmę z branży *home staging* i przygotowywała domy na sprzedaż. Seth słyszał wiele dobrego o jej umiejętnościach dekoratorskich, ale wciąż pracowała na pół etatu u Cappy'ego, więc zastanawiał się, czy właśnie nie próbuje rozruszać interesu.

Język ciała Layli wskazywał na jej pewność siebie, kiedy rozmawiała ze Stanleyem. Dobrze. Firma pośrednictwa sprzedaży nieruchomości *Malcolm Realty* specjalizowała się w zabytkowych domach z najwyższej półki w całym regionie. Stanley mógł sprawić, że jej firma zaistniałaby w branży. Layla wręczyła mu wizytówkę, a on schował ją do kieszeni marynarki.

Daniel Dawson, młodziutki burmistrz Chapel Springs, podszedł do nich i wyciągnął dłoń do Stanleya. Broker odwrócił się od Layli i poświęcił Danielowi całą uwagę.

Uśmiech zniknął z twarzy dziewczyny. Najwyraźniej nie wiedziała, co zrobić z dłońmi.

– Witaj, Seth. – Marsha Marquart pojawiła się przed nim i zasłoniła mu widok.

Wstał i uściśnął jej dłoń.

– Pani Marquart, miło panią widzieć.

– Nie zapomniałeś o Cichej Nocy, co?

– Oczywiście, że nie. – W chwili słabości ubiegłego lata dał się przekonać do wzięcia udziału w dorocznym lokalnym zwyczaju polegającym na dekorowaniu i zwiedzaniu domów w weekend przed świętami Bożego Narodzenia.

– Nie mogę się doczekać, co wymyślisz. – Poglądziła go po ramieniu. – Udanego

wieczoru.

Kiedy odeszła, po raz nie wiadomo który pożałował, że jej nie odmówił. Udekorowanie jego starego domu będzie mordegą. Miał dokładnie jedno pudło świątecznych dekoracji i zerowe umiejętności w tym zakresie.

Z przodu sali powstało niewielkie zamieszanie spowodowane wejściem państwa młodych. Layla wróciła do stolika, gdy para zaczęła swój pierwszy taniec. Prawie nie odzywała się do Setha podczas toastów i kolacji, gawędząc głównie z innymi osobami siedzącymi przy stole. Brat z narzeczoną siedzieli obok niej i zajmowali ją rozmową.

Kiedy tylko orkiestra weselna zaczęła grać, Madison zaciągnęła Becketta na parkiet. Layla skubała jedzenie. Z jej koka wyśliznął się zabłakany kosmyk, muskając twarz. Seth zapragnął schować go za jej ucho, poczuć jedwab jej skóry pod opuszkami kciuka. Zacisnął pięść, żeby przypadkiem tego nie zrobić i nie oberwać.

Mógł sobie tylko wyobrazić, co ona teraz czuła. To musiała być najdłuższa noc w jej życiu.

– Możemy wyjść, kiedy tylko będziesz chciała.

– Musimy zostać, aż pokroją tort. – Odłożyła widelec.

To chyba taka zasada. Zespół zagrał kolejną melodię. Starą piosenkę Franka Sinatry. Na parkiet weszło więcej par.

– Zatańczysz?

– Z tobą? – Uniosła jedną brew.

– Potraktuję to jako odmowę. – Sięgnął po szklanę.

– Możesz poprosić kogoś innego, Murphy, naprawdę.

Nie zamierzał jej teraz zostawić, nawet gdyby chciał zatańczyć z kimś innym – a nie chciał. Jack i Jessica podchodzili do gości, byli już przy sąsiednim stoliku. Layla też musiała ich zauważyć, sądząc po tym, jak potraktowała leżącą na kolanach serwetkę.

– Możesz do mnie mówić po imieniu, wiesz?

Wzruszyła ramionami.

– Tak jak kiedyś.

Kiedyś robiła z nim też inne rzeczy. Na przykład śmiała się, gadała o byle czym, dotykała go.

– Jack zawsze mówił do ciebie Murphy. Przyzwyczaiałam się.

Pozostałe dwie pary siedzące z nimi odeszły od stolika, żeby zasilić tłum na parkiecie.

– To twój dom znajdzie się na trasie świątecznego zwiedzania?

– Skąd ty to...

– Podśluchałam twoją rozmowę z Marshą.

– Aha. Tak, niestety poddałem się presji.

– Czemu niestety?

– Kompletnie nie znam się na dekorowaniu. – Posłał jej cierpki uśmiech. – Nie mam nawet... – W jego głowie zaświtała pewna myśl. Genialna. – Nie chciałabyś mi pomóc...?

Kąćki jej ust opadły. Przymknęła oczy i odwróciła się od niego.

– Zapłaciłbym ci...

– Hejka, kuzynko! – Jessica przysunęła się do nich niepostrzeżenie.

Cała czwórka znalazła się ponownie razem, a ich powitanie było tak sztucznie słodkie, jak puszka dietetycznej coli.

– Czy wy jesteście... eee... parą? – spytał Jack.

– Och, kochanie... – Jessica pacnęła go otwartą dłonią w ramię. – Na pewno nie są prawdziwą *parą*. Layla nie jest w jego typie.

Podtekst był jasny: Seth w życiu nie umówiłby się z takim marginesem jak Layla. To nic, że jej mąż się z nią umawiał.

Seth ujął dłoń Layli i zacisnął w swojej pięści.

– Tak właściwie, to tak.

– Że niby chodzicie ze sobą...? – Niedowierzanie na twarzy Jessiki sprawiało, że Seth znowu miał ochotę nią potrząsnąć.

– Tak. Chodzimy ze sobą. – Przysunął się do Layli.

Jessica parsknęła, zupełnie nie w stylu damy, po czym spojrzała na niego tak, jakby brakowało mu piątej klepki.

– Serio?

– Jessico... – Jack w żaloszny sposób usiłował przywołać żonę do porządku.

Płatki nosa Layli rozchyliły się, a jej oczy błyszczały. Lekko otworzyła usta. Seth znał to spojrzenie.

– Właściwie to jesteśmy zaręczeni.

Layla odwróciła gwałtownie głowę w jego stronę.

– Od niedawna – dodał i pochylił się przebiegle w jej kierunku. – Jeszcze nikomu nie mówiliśmy.

Chwilę ciszy zakłócał ból spowodowany przez paznokcie Layli wpijające się w jego dłoń.

Jessica ze zmarszczonymi brwiami powiodła wzrokiem po ich twarzach, po czym zawiesiła go na Secie.

– Nie jesteście zaręczeni.

– Wow. – Twarz Jacka rozciągnęła się w szczerym uśmiechu. – Po prostu... Wow! Gratulacje. Co za... Wow!

– Jack, przestań – powiedziała Jessica. – Nie ma mowy, żeby on ożenił się z *Laylą*.

To, jak wymówiła jej imię, sprawiło, że Seth ledwo usiadł na krześle.

– Kiedy? – Jessica zmrużyła oczy. Jej ton był wyzywający.

– W Wigilię. – Ból zaczynał promieniować z dłoni.

– To naprawdę super – odparł Jack. – Wow.

Podeszła druhna Jessiki i szepnęła jej coś do ucha, po czym odeszła.

– Obowiązki wzywają – oznajmiła panna młoda, spoglądając na nich ze zmarszczoną miną na idealnie umalowanej twarzy. A potem tak jakby się otrząsnęła. – Pora pokroić tort, kochanie. – Złożyła pocałunek na wargach Jacka i posłała Layli słodziutki uśmiech. – Pogadamy później, kuzynko.

✱

– Coś. Ty. Narobił. – Layla ze złością wyrwała dłoń z uścisku Murphy'ego.

Mężczyzna upił łyk napoju. Jego twarz nic nie zdradzała. Może oczy coś by jej powiedziały, ale nie patrzył na nią. Nic dziwnego. Właśnie ogłosił ich zaręczyny jej byłemu narzeczonemu i kuzynce, z którą ten ją zdradził.

– *Murphy.*

Odłożył szklankę. Po jego ogolonej twarzy przebiegł cień. Potarł dłonią policzek. A potem wreszcie na nią spojrział.

– Nie mogłem się powstrzymać.

– Nie mogłeś się *powstrzymać!*?

– Była okropna. A ty zaraz miałaś wybuchnąć. Tylko mi nie mów, że nie.

– A więc powiedziałeś im, że jesteśmy *zaręczeni!*?

– Nie chciałem, żeby to zaszło tak daleko. – Skrzywił się.

– Ale zaszło!

– Nie uwierzyła.

– Ale on uwierzył! – Czy Murphy nie dostrzegł na twarzy Jacka tego wielkiego uśmiechu? Czy nie słyszał szczerych gratulacji? Layla nigdy nie widziała, żeby tak mu ulżyło.

– Rozejdzie się. Zapomną.

Gapiała się na niego w milczeniu. Ludzie nie zapominają o czymś takim.

– Przestań tak na mnie patrzeć.



– Jak? Jakbyś oszalał? – Layla wzięła głęboki wdech, a potem wypuściła powietrze.

Miała nikłą świadomość tego, co działo się teraz przy stole z tortem. Ktoś coś mówił do mikrofonu. Śmiech.

– Słuchaj – powiedział Murphy. – To był impuls. Przepraszam.

– Podalesz im datę ślubu. Za cztery tygodnie.

– Przepraszam. Naprawię to.

– Jak?

– Pogadam z nim. Odciągnę go na bok, gdy skończy z tortem. Wyjaśnię mu wszystko.

– Czyli to, że było ci mnie żal i próbowałeś sprawić, żebym wyglądała na mniej żalospną?

– Nikt tak o tobie nie myśli. – Jego spojrzenie zmiękło. – Powiem mu prawdę. Że Jessica wytręciła mnie z równowagi swoim... zadartym jak zwykle, poprawionym plastycznie nosem.

– Nie sądzę, żeby to w czymś pomogło. – Layla upiła łyk drinka. – Chociaż chciałabym zobaczyć twarz Jacka, gdy mu to powiesz.

– Naprawię to. Masz moje słowo. – Wwiercał się w nią przeszywającym spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

– ...i chcielibyśmy dzisiejszego wieczoru wznieść jeszcze jeden toast – powiedział Jack do mikrofonu.

Layla niechętnie zwróciła uwagę na przód sali i olbrzymi tort, którym nowożeńcy przed chwilą karmili siebie nawzajem.

Pan młody uniósł kieliszek, patrząc na Laylę i Seta. Kobieta przestała oddychać. Po jej kręgosłupie przebiegł dreszcz trwogi i osiadł z całym swym ciężarem w gardle.

– Za moich przyjaciół, Murphy'ego i Laylę. Gratulacje z okazji zaręczyn! Cieszymy się razem z wami.

Warkot silnika wypełniał ciszę w kabinie pick-upa. Seth dodał gazu i silverado pognął na północ drogą numer 65. Ulicę pokrywał śnieg. Chociaż ruch zwolnił, zjechali na lewy pas i przyspieszyli. Napięcie panujące w samochodzie kazało mu gnać szybciej.

Bał się spojrzeć na Laylę. Wydawało mu się, że czuje, jak uchodzi z niej para. Kiedy uchyli wieko, wybuchnie. Nie sądził, że mógłby jeszcze pogorszyć sprawy między nimi, ale najwyraźniej mu się udało.

Wymknęli się z przyjęcia weselnego krótko po ogłoszeniu zaręczyn. Co mieli zrobić? Musieli się zastanowić, jak sobie z tym poradzić. Ale póki co Layla była niewiarygodnie milcząca.

– Słuchaj, wiem, że się wściekasz...

– Tak sądzisz?

– ...ale coś wymyślę. Może po prostu powiemy, że to było nieporozumienie i...

– Tam była cała moja rodzina!

– Dobra. – Westchnął. – Przemyślmy to. Beckett i twój tata jako jedyni z twojej rodziny mieszkają tutaj. Zadzwoń do nich dzisiaj i...

– Nie zapominaj o Jessice. A co z Danielem, *burmistrzem* miasta? A Stanley Malcolm i jego żona? A William i Francis Wellington? Tam byli wszyscy z cholernego katalogu „Kto jest kim w Chapel Springs”!

Seth podrapał się po twarzy.

– Zadzwoń jutro do wszystkich... I powiem im, że zaszła pomyłka. Nieporozumienie. Moja wina.

– Jutro jest niedziela. Wszyscy będą w kościele, a plotka pójdzie w świat.

Chyba miała rację.

– Hmm... Dobre wieści nie rozchodzą się aż tak szybko. – Zaryzykował stwierdzenie.

– Żartujesz? – Zaśmiała się cierpko. – Ty i ja? To najbardziej soczysta z plotek! –

Była wykończona.

– Zadzwoń dzisiaj. Nie pójdę spać, dopóki nie dodzwonię się do każdego z osobna.

– I obudzisz ich wszystkich? Na pewno się ucieszą.

– Mam to gdzieś. – Tylko ona się liczyła. Nigdy nie dowie się, jak bardzo. A on nigdy się do tego nie przyzna. Bo po co?

Ośmielił się zerknąć na Laylę w ciemnej kabinie. Po jej twarzy przebiegła smuga światła ulicznej latarni, ukazując jej surowy wyraz. W oczach było coś jeszcze, coś oprócz gniewu. Skrzyżowała ramiona na brzuchu i uniosła podbródek.

Czy nie wystarczyło już samo to, że ludzie patrzyli na nią z góry z powodów, na które nie miała żadnego wpływu? Czy musiała teraz stawić czoła kolejnemu upokorzeniu dlatego, że nie umiał trzymać języka za zębami? *Straszny z ciebie idiota, Seth.*

Zacisnęła kurczowo dłonie na desce rozdzielczej.

– Możesz trochę zwolnić, proszę?

– Spokojnie, to nie twoje auto. To...

– Co to miało znaczyć?

Nie wygra z nią. Westchnął głęboko.

– Chodzi mi o to, że to samochód z napędem na cztery koła. Dobrze sobie radzi na śniegu. Wyluzuj trochę.

Przypomniał sobie, jak Stanley Malcolm wcześniej ją zlekceważył. Zmiękł w środku. Zdjął nogę z gazu.

– Masz długopis i kartkę?

– Po co?

– Musimy zrobić listę.

\*

Layla właśnie zdejmowała sukienkę, kiedy nadeszła kolejna wiadomość. Jej brat mało nie rozsadził telefonu. Jeszcze nie oddzwoniła. Nie wiedziała, co mogłaby

powiedzieć.

Zignorowała SMS-a i sprawdziła pocztę e-mail. Odkąd wyszła z domu, przyszło kilka listów. Jej wzrok spoczął na jednym z nich – od Stanleya Malcolma.

*Pani Laylo,*

*gratuluje zaręczyn! Bardzo się cieszę, że mieliśmy dziś okazję porozmawiać o Pani firmie. Chciałbym się z Panią spotkać w poniedziałek, w porze lunchu, żeby dokończyć rozmowę. Może przyjdzie Pani z narzeczonym?*

Layla gapiała się na te słowa. Chciał się z nią umówić na lunch! Na przyjęciu nie wydawał się zainteresowany – podobnie jak poprzednim razem, gdy z nim rozmawiała. Czowała, że natrętnie mu się narzuca, ale może przemyślał wszystko głębiej. A może z natury podchodził do ludzi z rezerwą.

Przeczytała e-mail ponownie, uśmiechając się, po czym zauważyła część dotyczącą Murphy'ego. Dlaczego prosił, żeby przyszła z nim? Na pewno obracali się w tych samych kręgach, ale...

Layla zmarszczyła brwi. Czy jej domniemane zaręczyny sprawiły, że urosła w oczach Stanleya? Że stała się warta jego uwagi?

Wróciła myślami do tych dwóch razy, kiedy poszła do jego biura. Za pierwszym rozmawiał z nią tak krótko, że poczuła się spławiona. Za drugim – powiedziano jej, że jest na spotkaniu. Ich rozmowa dzisiejszego wieczoru też była raczej jednostronna. Nawet nie zerknął na jej wizytówkę. Kiedy podszedł Daniel Dawson, wyraźnie chętnie się z nią rozstał. A teraz nagle chce zjeść z nią lunch. Teraz, gdy jest zaręczona z bogatym i szanowanym Sethem Murphym.

Rzuciła sukienkę na łóżko i włożyła piżamę. Mogłaby już do tego przywyknąć. Ale to nie tak. Jej praca powinna być oceniana na pierwszy rzut oka. Była dobra. Ciężko pracowała na taką opinię. Czworo jej klientów sprzedało domy bardzo szybko i wystawiło jej świetne referencje. Każdą wolną chwilę poświęcała swojej firmie, każdy zaoszczędzony grosz wydawała na rzeczy potrzebne do jej prowadzenia.

Ale wciąż byli tacy ludzie, którzy nie dawali za wygraną. Nie dostrzegali tego, kim była, tylko to, skąd pochodziła. Nieważne, że ojciec poszedł na odwyk i wrócił trzeźwy. Nieważne, że teraz żyła w lepszej części miasta. To wszystko nieważne.

Wzięła telefon i zaczęła odpisywać na maila, ale zmarszczyła brwi i wygrzebała z kuchennej szuflady książkę telefoniczną. Seth chyba nie zaczął jeszcze dzwonić do ludzi. Taką miała nadzieję.



Seth zauważył Laylę w ciemnym kącie kawiarni i ruszył w jej kierunku. Chuchnął w zmarznięte dłonie, lawirując pomiędzy pełnymi stolikami. W nocy przestał padać śnieg, ale dzisiejszego ranka temperatura wciąż nie przekroczyła minus dziesięciu stopni.

Po wieczornym telefonie od Layli nie mógł zasnąć. Sprawiała, że zamiast spodziewanych odpowiedzi w jego głowie zrodziła się lawina pytań. Myśli wirowały przez całą noc w nadziei tak niespokojnej, że mogła przyprawić go tylko o złamane serce. Ale nawet to nie powstrzymało go od marzeń.

Zdjął płaszcz, kiedy podszedł do łoża. Widząc cienie pod oczami Layli, zgadł, że ona również kiepsko spała.

Ale na jego widok jej oczy pojaśniały. To wystarczyło, by poczuł kolejny przypływ nadziei.

– Dzień dobry.

– Niedługo dobry wieczór – odparła kąśliwie.

– Zaspałem. Nie zdążyłem do kościoła.

– Ja w ogóle nie poszłam. – Wycisnęła cytrynę do wody. – Za dużo pytań, na które nie jestem gotowa odpowiadać.

– À propos pytań...

Spojrzała mu w oczy. W ich zielonej głębinie błyszczało coś, czego jeszcze nigdy nie widział. Niepewność? Bezbronność? Odwróciła wzrok, zanim zdążył zdecydować.

Podeszła do nich kelnerka i oboje szybko zgodzili się na danie dnia.

Kiedy odeszła, Seth schował menu do stojaka z przyprawami.

– No to o co chodzi? – spytał. Wczoraj w nocy powiedziała mu, aby jeszcze nie dzwonił do wszystkich ze sprostowaniem.

Layla wzięła solniczkę i próbowała ustawić ją na ściętej krawędzi. Jej długie, ciemne rzęsy spływały na oliwkową skórę. Przygryzła wewnętrzną część wargi, marszcząc ją.

Ileż on by dał, żeby choć jeden raz posmakować tych ust.

Tęsknił za tamtym latem, gdy pracowali razem nad sztuką teatralną. Kiedy jeszcze z nim rozmawiała. Kiedy śmiała się z nim, dotykała go, choć tylko przelotnie. To było, zanim jego najlepszy kumpel go ubiegł.

– Chcę cię prosić o przysługę. – Layla kręciła solniczką w kółko.

– Jaką?

Spojrzała na niego na sekundę, po czym znowu spuściła wzrok na solniczkę.

– Dostałam w nocy maila od Stanleya Malcolma. Chce się jutro umówić ze mną na lunch i porozmawiać o tym, czy mogłabym dla niego pracować.

– To wspaniale, Laylo! Twoje próby nawiązania kontaktów się opłaciły. – Był z niej nawet dumny. Nie mógł powstrzymać tego uczucia.

– On... Eee... prosił, żebyś ty też przyszedł.

– Na twoje spotkanie biznesowe? – Uniósł jedno ramię. – Chcesz tego?

Solniczka stuknęła o blat stołu, kiedy przewróciła się na bok. Ziarenka soli się rozsypały. Layla odstawiła ją do stojaka swoimi długimi, smukłymi palcami.

– Słuchaj. Chodzi o to, że jego zainteresowanie Superior Staging chyba zależy od czegoś innego.

– Od czego?

Przygwoździła go spojrzeniem swoich wielkich, zielonych oczu. Kiedy tak na niego patrzyła, wiedział, że zrobiłby dla niej wszystko. Poszedłby na lunch. Zgrabiałby liście. Napadłby na bank...

– Od tego, że jesteśmy parą.

Kelner postawił przed nim sok pomarańczowy i szybko się oddalił, ale Seth nie mógł oderwać wzroku od twarzy Layli. Od czerwieni, którą zakwitły jej policzki.

– Słucham?

Całą uwagę skupiała na swoich palcach, przebiegając nimi po rozsypanej soli.

– Myślałam o tym całą noc. Nie wykazywał mną żadnego zainteresowania, aż do momentu... ogłoszenia naszych zaręczyn. Sądzę, że przez nasz związek, jaki by on nie był, zyskałam jego aprobatę. Jeśli jestem wystarczająco dobra dla ciebie, to dla niego też. Tak mi się wydaje. – Zadarła podbródek.

Nie podobało mu się, że ona sama tak o sobie myśli, a co dopiero, że miałby tak myśleć ktokolwiek inny. Zmarszczył brwi.

– To śmieszne.

– No cóż. – Wzruszyła ramionami. – Ale taka jest prawda. Bo skąd niby ta nagła zmiana?

– Może po prostu chce pozostać w przyjacielskich stosunkach. Żebyś czuła się komfortowo.

Ale Sethowi nigdy nie uda się przekonać Layli. A poza tym po co? Kolejna godzina spędzona z nią, to jeszcze jedna, dodatkowa godzina.

– Jasne. Pójdę z tobą – dodał.

– To nie wszystko. – Przełknęła ślinę i spojrzała na niego potulnie. – Chyba muszę cię poprosić o to, żebyś... wstrzymał się jeszcze ze zrywaniem naszych zaręczyn.

– Wstrzymał się...? – Spojrzał na nią z przekrzywioną głową.

– Do czasu aż ja... – Zgarnęła sól ze stołu i otuliła się rękami. – Słuchaj, muszę rozruszać swoją firmę. Potrzebuję, żeby zatrudnił mnie jakiś dobry pośrednik, a nie ma bardziej prestiżowego niż Malcolm. Specjalizuje się w wielkich rzeczach: zabytkowych budynkach i rezydencjach nad rzeką.

– Dwa lata temu kupiłem dom od jednego z jego agentów.

– Więc wiesz, o czym mówię.

– Ale jak sobie to wyobrażasz? Ludzie będą myśleć, że...

– Tylko przez krótki czas. Jeśli lunch pójdzie dobrze i dostanę pracę, będę mogła pokazać mu, co potrafię. Kiedy zobaczy efekty, będzie zadowolony.

Niczego nie pragnął bardziej niż przeciągać to udawane narzeczeństwo. No, może bardziej pragnąłby prawdziwego. Ile da mu to czasu? Pamiętał jej twarde spojrzenie, kiedy wczoraj pierwszy raz zauważyła go u Cappy'ego. *Niewystarczająco dużo, Seth.*



– Może tylko kilka dni – powiedziała Layla. – To znaczy, jeśli wyznaczy mi zadanie, od razu się do niego zabiorę. Potem podpiszemy umowę i – *cyk!* – koniec narzeczeństwa.

Fajnie, nie ma co. Kilka dni to mało czasu. Kilka lat może by coś zmieniło. A po lunchu nie będą mieli już po co się widywać.

Będzie musiał coś wykombinować. To była jego szansa na to, żeby wszystko wyprostować, żeby zyskać jej zaufanie, a może nawet poczekać, aż ona kiedyś poczuje do niego to samo, co on do niej.

Oczy Layli pociemniały. Skrzyżowała ramiona na piersi. Pochyliła się nad stołem, patrząc na niego roziskrzonym wzrokiem.

– Słuchaj. To ty nas w to wpakowałaś. Chyba możesz mi teraz wyświadczyć jedną, maleńką przysługę.

„Przysługę”?

W jego umyśle zakiełkował pewien pomysł. Taki, dzięki któremu Layla będzie przez jakiś czas blisko niego. Może wystarczająco długo, żeby wszystko między nimi zmienić. Tylko najbardziej heroicznym wysiłkiem woli powstrzymywał triumfalny uśmiech, który pchał mu się na twarz.

– Dobra – powiedział. – Zawrzemy układ.

Layla zacisnęła usta i zmrużyła oczy. Zaufanie, jakim go darzyła, było wręcz przytłaczające.

– Jaki układ?

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o Cichej Nocy? O przystrajaniu i zwiedzaniu zabytkowych domów? Przydałaby mi się twoja pomoc.

– W jakim zakresie?

– Ja mogę dźwigać ciężary... – Wzruszył ramionami.

– Aha. Czyli w pełnym zakresie. Masz w ogóle pojęcie, ile godzin zajmuje taki projekt? Chyba zapominasz, że to ty jesteś mi coś winien.

Nie musiała wyliczać wszystkich powodów.

– Pomyśl o swoim portfolio. Dekorowanie domu na Cichą Noc to prestiżowa robota. Ludzie z całego regionu zjadą się tu i zobaczą efekty twojej pracy. – Zmyślał na bieżąco, zadowolony, że to sytuacja, w której nie będzie przegranych.

Odchyliła się, żeby się zastanowić.

– Możesz też wszystko oznakować swoim logo i rozdawać wizytówki. Nawet nie muszę ci mówić, ile zleceń zyskasz dzięki temu projektowi.

Wzięła łyk wody. Poprawiła ułożenie sztucców.

– Masz dekoracje? Nie mam żadnych świątecznych ozdób ani rekwizytów.

Nie zamierzał wspominać o spleśniałym pudle na strychu.

– Kupię wszystko, czego będziesz potrzebowała.

– Masz pojęcie, ile to będzie cię kosztowało?

– Mam sklep z materiałami budowlanymi i wykończeniowymi. Dostanę wszystko po cenach hurtowych. To jak będzie?

Zadarła głowę i przyjrzała mu się uważnie.

– Nie masz dziewczyny, która mogłaby się o to wkurzyć?

– Jestem wolny jak ptak. – Uniósł ramiona.

– I będziesz się mnie trzymał, nawet jeśli potrwa to dłużej niż kilka dni.

– Tak długo, jak będzie trzeba.

Przez chwilę patrzyła na niego w ciszy. Aż Seth pomyślał, że eksploduje. Wreszcie wyciągnęła dłoń ponad stołem.

– Dobra. Umowa stoi.

Stanley Malcolm był smukłym mężczyzną po pięćdziesiątce, z przerzedzającą się siwizną. Kiedy się uśmiechał, jego blada skóra marszczyła się w okolicach oczu, przez co uwagę przyciągał ich kasztanowy kolor.

Layla ugryzła kęs kanapki, ledwie czując jej smak, zasłuchana w monolog Malcolma dotyczący rynku nieruchomości. W tle z głośników unosiła się spokojna melodia *White Christmas*, mieszając się z dzwonieniem sztućców i szmerem rozmów.

Już miała napięte wszystkie nerwy, a jeszcze nawet nie zaczęli rozmawiać o jej pracy dla *Malcolm Realty*. Stanley zmierzał do tego powoli i metodycznie, co miało zaraz doprowadzić ją do obłędu.

Siedzący obok niej w łóży Murphy właśnie skończył sałatkę z bekonem i pomidorami. Od czasu powitania i gratulacji siedział cicho. Jego dżinsowe udo przyciskało się do jej i sprawiało, że robiło jej się za gorąco. Chciałaby zdjąć marynarkę, ale mankiety bluzki były postrzępione.

– A pani jest nowa w branży, prawda, Laylo? – Stanley odsunął talerz po sałatce. Kelner zabrał go, zanim zdążył dobrze rozsiaść się w łóży.

– Otworzyłam firmę w październiku, ale przedtem dekorowałam już kilka domów na sprzedaż. – To były domy jej znajomych, a jako zapłatę otrzymała pizzę i czekoladę, ale tego nie musiał wiedzieć. – Cztery z nich, które przygotowałam od początku istnienia firmy, sprzedały się w ciągu dwóch miesięcy.

– To dobry wynik jak na warunki na rynku. – Pokiwał głową.

Pokazała mu statystyki dotyczące dekorowanych domów, dodając, że zwiększyło to ich wartość o trzy do czterech tysięcy dolarów, w efekcie spłacając wkład.

Spojrzał na wykres, po czym go jej oddał.

– Intrygujące. Ma pani swoje portfolio, żebym mógł rzucić okiem?

– Tak, mam przy sobie zdjęcia.

Wyciągnęła z torby iPada. Wydatek na tablet bardzo ją zabolął, ale teraz uważała, że był wart każdego centa. Otworzyła galerię i przesunęła iPada po stole w kierunku Malcolma, starając się oddychać głęboko.

Stanley przejrzał zdjęcia, przy kilku kiwając głową z uznaniem. Layla żałowała, że domy nie były ładniejsze. W ogóle nie zbliżały się zakresem cenowym do większości domów Malcolma.

– Masz wielki talent, skarbie. – Murphy przysunął się bliżej i objął ją ramieniem.

Ledwie powstrzymała się od wymierzenia mu kuksańca w brzuch.

– Dzięki, Murph. – Zamrugła niewinnie, posługując się ksywką, której nienawidził.

Upiła łyk wody, starając się ukryć drzenie palców. Nieważne, że jej przyszłość leżała w rękach Stanleya. Nieważne, że mógł swoimi następnymi słowami zdecydować o losie jej firmy. Ona i tak zamierzała pracować przez okrągły rok. Już nigdy nie będzie zaciskać pasa. Nie będzie pracować u Cappy'ego. Nie będzie mieszkać w najtańszym mieszkaniu w lepszej części miasta. Może robić na pełny etat to, co kocha. Uda jej się sprawić, że jej imię i firma będą dobrze kojarzone.

Kilka minut później Stanley oddał jej tablet, a jego wąskie wargi uniosły się w czymś, co prawie można było uznać za uśmiech.

– Podoba mi się to, co zobaczyłem, pani Laylo.

*Tak.* Jej serce waliło tak, jakby było nabuzowane kofeiną.

– Dziękuję panu. – *No dawaj, Malcolm. Zaoferuj mi pracę.* Już była tak blisko. – Bardzo chciałabym dla pana pracować.

Między jego brwiami pojawiły się pionowe zmarszczki. Ciekawe, czy myślał o jej ojcu. Albo o tym, że nie miała dyplomu wyższej uczelni.

– Nie boję się ciężkiej pracy i można na mnie polegać. Mogę przedstawić panu referencje. Moi klienci byli bardzo zadowoleni.

Podszedł kelner i pozbierał resztę naczyń. Kiedy odmówili deseru, zostawił rachunek. Stanley położył na nim swoją kartę kredytową i chwilę później kelner ją zabrał.

– Moim jedynym zmartwieniem w tym momencie jest pani brak doświadczenia. Czy jest pani gotowa na to, żeby przygotowywać do sprzedaży większe domy? Zabytkowe? Wymagają innego podejścia.

– Rozumiem. Takie budynki mają specyficzny, autentyczny urok. Moją strategią jest wyeksponowanie naturalnych cech starych domów. Właściwie to w tym tygodniu

zaczynam pracę właśnie w takim. Dekoruję dom Murphy'ego na doroczne świąteczne zwiedzanie, Cichą Noc.

– Bardzo dobrze. – Uniósł brwi.

– Najlepiej. – Seth ścisnął jej ramię.

Layla wysiliła swoje umiejętności aktorskie i wymieniła z Murphym czułe uśmiechy.

– To da mi świetną okazję, żeby zobaczyć, na co panią stać – rzekł Stanley.

Zobaczyć, na co ją stać? Obchód miał się odbyć za trzy tygodnie. Nie mogła tak długo utrzymywać udawanych zaręczyn. Miała problem z unikaniem brata przez półtora dnia.

– Byłoby mi bardzo miło, gdybym mogła za darmo udekorować któryś z pańskich domów. – Wysiliła się na uśmiech.

– To nie będzie konieczne. – Stanley podpisał potwierdzenie zapłaty i włożył kartę kredytową z powrotem do portfela. – Na pewno ma pani mnóstwo pracy w domu Setha. – Chwycił płaszcz i wysunął się z łoży. – Mam spotkanie o pierwszej, więc muszę już lecieć.

– Dziękuję bardzo za lunch. – Layla uścisnęła mu dłoń. – I za tę możliwość.

– Nie mogę się doczekać, jak zobaczę, co pani potrafi, Laylo. – Ujął dłoń Murphy'ego. – Zawsze miło cię widzieć, Seth. Musimy umówić się na partyjkę golfa, jak już stopnieje ta breja. Brakuje mi gry z twoim tatą. Był z niego kawał golfisty.

– To prawda. Tak zrobimy.

Dopiero kiedy Stanley zniknął za drzwiami, kąciki ust Layli opadły. Próbowała sobie wmawiać, że poszło dobrze. Spodobało mu się jej portfolio. Chciał dać jej szansę. Ale ona miała nadzieję, że wyjdzie stąd z podpisaną umową.

Jak ma teraz utrzymywać te groteskowe zaręczyny przez następne trzy tygodnie? Plotki już się rozeszły. Liczyła na to, że dziś to wszystko sprostuje. Dostawała dziesiątki wiadomości, na które nie odpisywała, i miała cztery nieodebrane połączenia. Nie mogła dłużej unikać odpowiedzi.

– No weź! Dobrze poszło. – Seth ścisnął jej ramię.

- To zależy od Cichej Nocy, Murphy. – Odtrąciła jego dłoń.
- Zwalisz go z nóg i podpiszesz kontrakt.
- To zależy też od naszych zaręczyn. – Przygwoździła go spojrzeniem.
- No to pochodzimy ze sobą trochę. – Wzruszył ramionami.
- Za trzy tygodnie podobno mamy się pobrać. To będzie wyglądało podejrzanie, jeśli nie wyślemy nikomu zaproszenia na wesele.
- Nie przeszkadza mi skromny ślub.

Dźgnęła go łokciem w żebra, ale napotkała napięte mięśnie. Jęknął. Dlaczego w ogóle się nie martwił? Dobrze, że rodzina ze strony jej mamy mieszkała daleko, w Louisville. Nie musiała się też przejmować Jackiem i Jessicą, dopóki nie wrócą z podróży poślubnej. Kolejna przyjemna myśl. Kuzynka na pewno namiesza. Uwielbiała sprawiać kłopoty. Czy nie wystarczyło jej samo to, że odebrała Layli narzeczonego? I co Layla powie Beckettowi? Nic z tego nie będzie.

– Nie mogę okłamywać brata. – Zbyt wiele razem przeszli. Nie chciała też okłamywać przyjaciół. A nie mogła powiedzieć im prawdy z obawy, że wieści dotrą do Stanleya. Jeśli się dowie, że zaręczyny są udawane, nigdy jej nie zatrudni.

– Hej... – Murphy uniósł palcem jej podbródek i obrócił jej głowę tak, żeby spojrzała mu w oczy. – Wszystko będzie dobrze. To tylko kilka tygodni. Powiedz bratu prawdę. On się nikomu nie wygada. A jeśli chodzi o resztę, tylko zasypią cię gratulacjami. Dziękuj i idź dalej. Większość czasu i tak spędzisz u mnie, wieszając lampki i te takie zielone...

– Girlandy – powiedziała automatycznie. Miał rację. Będzie zajęta. Może nawet zrezygnuje z kilku godzin w pizzerii, żeby skupić się na domu Murphy'ego, a przy okazji uniknąć szerszej publiczności. Finansowo będzie to nie lada wyzwanie, ale umiała liczyć każdy grosz.

Spojrzała w jego niebieskie oczy, zauważając w nich delikatne plamki srebra. Były ładne. Naprawdę miłe. Miał ciemne rzęsy, o które niejedna kobieta byłaby zazdrosna.

– Tak myślisz? – spytała.

Kiedy lekko uszczypnął ją w podbródek, nawet nie miała ochoty trzepnąć go w rękę.

– Bułka z masłem.

Layla otworzyła frontowe drzwi. Na progu stał jej brat, marszcząc brwi. Powinna była zadzwonić do niego po lunchu, ale najpierw chciała zobaczyć dom Murphy'ego i zrobić listę potrzebnych rzeczy.

– Wszystko ci wyjaśnię – powiedziała na powitanie.

– Koniecznie. – Beckett minął ją i wszedł do salonu. Dobrze, że nie wziął ze sobą Madison. Już i tak było niezręcznie. Miała tylko nadzieję, że zachowa wszystko dla siebie.

Poszedł za nią kilka kroków do aneksu kuchennego, gdzie przemieszała gotujący się makaron.

– Jadłeś już? – spytała.

– Idę na kolację do Madison. Co to za afera z Murphym, Laylo?

Nie chciała od tego zaczynać.

– Wszystko ci zaraz wyjaśnię, ale najpierw mam dobre wieści.

Beckett oparł się o blat, skrzyżował umięśnione ramiona i ponownie zmarszczył brwi.

– Wiesz, że staram się rozruszać swój biznes. Udało mi się nawiązać kontakt ze Stanleyem Malcolmem. To ten człowiek, który...

– Wiem, kto to. Kilka tygodni temu pytał mnie o łódź na zamówienie.

– O, fajnie. No i rozmawialiśmy w sobotę na przyjęciu, a dzisiaj zjedliśmy razem lunch. Bardzo mu się spodobało moje portfolio. Jest szansa, że zatrudni mnie do przygotowywania jego domów na sprzedaż. – Wstrzyknęła w ton swojego głosu odrobinę entuzjazmu. – Wiesz, co to oznacza?

– To wspaniale, siostrzyczko. – Wyraz twarzy Becketta zmiękł.

– Będę mogła rzucić pracę u Cappy'ego. Nie tylko będę mogła zajmować się wystrojem wnętrz na pełny etat, ale będę to robić w najwspanialszych domach w okolicy. Dasz wiarę?

– Tak, dam. – Jeden z kącików ust Becketta uniósł się lekko. Przemieszał sos do



spaghetti. – Może poproszę tatę Madison, żeby szepnął o tobie kilka dobrych słów...

– Pana McKinleya?

– Są dobrymi znajomymi. Stanley chodzi do naszego kościoła.

Layla przygryzła wewnętrzną część wargi. Robiło się gorąco. Jeśli powie bratu, że zaręczyny są udawane, a on powie Madison... Czy to w ogóle fair, prosić go o to, żeby miał tajemnice przed narzeczoną? Nienawidził tajemnic. Jedna z nich o mały włos nie stanęłaby na drodze między nim a Madison. Kolejnej rzeczy nie będzie przed nią ukrywał, nie po tym wszystkim.

A jeśli ona pozna prawdę, ile czasu minie, zanim dowiedzą się o niej inni McKinleyowie? Jej ojciec? Zanim dotrze do Stanleya?

– No więc... – powiedział Beckett. – Ty i Seth...

Layla ponownie przemieszała spaghetti. *Mysł, Laylo.* Czy może pozwolić sobie na to, żeby powiedzieć mu całą prawdę?

– Spotkaliśmy się w teatrze, latem dwa lata temu, pamiętasz? Pomagaliśmy przy scenografii do *Słowika*.

– Pamiętam. Pamiętam też, że zaczęłaś się spotykać z najlepszym przyjacielem Seta i coś mi świta w głowie o jakichś innych zaręczynach.

Uniósł do ust dużą łyżkę i skosztował sosu. Layla trzepnęła go w rękę i wyrwała mu łyżkę.

– Dzięki za przypomnienie. Zmierzałam do tego, cierpliwości. – *I daj mi trochę czasu na pokombinowanie.*

– Zdążyłaś już wyczerpać moją cierpliwość przez ostatnie dwa dni.

– Wracając do tematu. – Przetrzęsła szafkę w poszukiwaniu durszlaka. – Coś nas połączyło wtedy w teatrze. Często mnie rozśmieszał, przyjemnie się z nim rozmawiało i traktował mnie... No wiesz. Jak równą sobie. – To wszystko prawda.

– Bo jesteście sobie równi.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Wyciągnęła durszlak i postawiła w zlewie. – I on... No wiesz, spodobał mi się. – To niestety też prawda. – Ale Jack zaprosił mnie na randkę. Pracowałam wtedy w pralni, a on przychodził co tydzień z rzeczami do czyszczenia

chemicznego i trochę ze mną flirtował. – Wzruszyła ramionami. – Kiedy już mnie zaprosił, zgodziłam się. Nie wiedziałam, że on i Murphy są najlepszymi przyjaciółmi.

– A kiedy zaczęłaś chodzić z Jackiem, Seth się wycofał.

– Oczywiście. Potem były zaręczyny...

– A potem stanęła między wami Jessica. Z niewielką pomocą Murphy’ego.

– „Niewielką”? – Layla wyprostowała się. – On praktycznie pchnął ją w jego ramiona.

Beckett uniósł brew. No dobra, może była nieco rozgoryczona. Musi trochę przystopować. Teraz przecież był jej narzeczonym.

– Było, minęło. Wybaczyłam mu. – Wzdrygnęła się nad gorącą parą i z powodu kłamstwa.

– Miło słyszeć. – Beckett przemieszał sos. – Zawsze uważałem, że obwiniasz złą osobę.

Layla przygryzła wewnętrzną część wargi. Mocno.

– Rozumiem, że twój związek z Sethem musiał być trochę wrażliwy z powodu Jacka, i tak dalej. Ale dlaczego mi nie powiedziałaś? Jestem twoim bratem.

Zgasiła palniki i spojrzała na niego.

Silny, postawny Beckett zawsze był przy niej. Kiedy ich ojciec zniknął w barze, to on przychodził na jej mecze siatkówki, dopingował ją na zawodach lekkoatletycznych. Był jedyną osobą, na którą zawsze mogła liczyć.

– Ja tak nie mogę – powiedziała.

– Czego nie możesz?

– To nie jest na poważnie. Te zaręczyny to farsa.

– O czym ty mówisz? – Beckett zmarszczył brwi.

Wyjaśniła mu sytuację ze Stanleyem i opowiedziała o tym, jak narzeczeństwo, którego w ogóle nie było, wpłynęło na rozwój wypadków. Próbowała ze wszystkich sił przekonać go do swojego stanowiska, ale im dłużej mówiła, tym bardziej Beckett

marszczył brwi.

– Wiem, wiem – wypaliła, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. – Ale to będzie tylko na jakiś czas. – Posłała mu błagalne spojrzenie. – Czy możesz nie wspominać o tym Madison?

– Nie będę niczego ukrywał przed moją narzeczoną.

Layla zgarbiła się. Tego już się domyśliła.

– Dobra, rozumiem. A możesz przynajmniej poprosić ją, żeby dotrzymała tajemnicy? Jeśli Stanley się dowie, będę pracować u Cappy’ego do emerytury.

Brwi Becketta nieco ustąpiły.

– No, dobra. Ale to nie będzie takie łatwe, jak myślisz. Tata chce, żebyśmy wszyscy spotkali się w piątek. Chce się upewnić, że Seth jest dla ciebie dość dobry.

– Teraz postanowił być prawdziwym ojcem. – Westchnęła. Odkąd poszedł na odwyk, był innym człowiekiem, ale nigdy nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Nie ufała mu przez zbyt wiele lat, żeby tak ryzykować.

– Lepiej późno niż wcale.

– Okej. Przekażę Murphy’emu. Ale nie możesz powiedzieć tacie.

– Dobrze. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Ja też – powiedziała i znowu przemieszała sos.

\*

– Gdzie je postawić? – Seth trzymał w rękach pudła z białymi lampkami świątecznymi.

Layla wyglądała na znacznie drobniejszą, kiedy stała przed wysokim kominkiem w obcisłych džinsach i puszystym, czerwonym swetrze. Mógłby przywyknąć do widywania jej w swoim domu.

– Gdziekolwiek – odparła bez odwracania się.

Postawił pudła na środku pokoju, obok stosu świeżych gałązek. Już teraz pachniało tu świętami. Wczoraj wieczorem dała mu listę, mówiąc, że zacznie o poranku. Nigdy w życiu nie widział, żeby ktoś aż tak się spieszył do zerwania zaręczyn.

– Masz jakieś świąteczne katalogi, które mogłabym przejrzeć? – odezwała się po chwili.

– Jasne. W sklepie.

Odwróciła się do niego. Ciemne włosy opadały jej na ramiona.

– Jaki mamy budżet? – spytała.

– Wydaj tyle, ile potrzebujesz. Nie przejmuję się tym.

– Może być drogo.

Nie zamierzał pozwolić na to, żeby na jej drodze do wymarzonej pracy stanęło kilka dolarów.

– To twoje pięć minut. Poza tym i tak pewnie wkręcą mnie w udział w Cichej Nocy w przyszłym roku.

Oczy błyszczały jej z podekscytowania. Rozejrzała się po pokoju. Może nie chciała się tym zajmować, ale była teraz w swoim żywiole. Aż paliła się do pracy.

– Jest w świetnym stanie – powiedziała.

– Wyremontowałem go, kiedy się wprowadziłem. – Odmalował ściany w odcieniach charakterystycznych dla epoki. Usuwanie warstw farby ze żłobień i poręczy krzesel zajęło mu miesiące, ale teraz dębowe drewno lśniło odcieniem miodu. Drewniane podłogi były kolejnym czasochłonnym wyzwaniem, jednak warto było się wysilić. Zwłaszcza dla takiej chwili, jak ta.

– Cieszę się, że użyłeś autentycznych barw. Te wysokie sufity i rzeźbione kafelki są cudowne. A zasłony pasują idealnie.

– Wliczone w cenę domu.

– Nawet meble są idealne. Antyczne, ale takie męskie. Nie wiedziałam, z czym będę musiała pracować.

– Większość kupiłem w *Babcinym Poddaszu*. – Nie zrezygnował jednak z nowoczesnych udogodnień. Sofy były nowe. Pasowały stylem, ale wykonano je z myślą o wygodzie. Miał też fantastyczny system audio ukryty w szafce RTV w stylu vintage.

– Wiem, że jest tu trochę łyso. Nie znam się na tych... duperelach. I możesz przestawiać wszystko tak, jak chcesz, żeby wyglądało lepiej.

– Jest w porządku. – Wzruszyła ramionami. – Właśnie na tym polega moja praca. Biorę coś zwyczajnego i robię z tego coś wyjątkowego.

Zmierzył ją długim spojrzeniem.

– Już jest wyjątkowe.

Odwróciła wzrok, a jej policzki zalały się rumieńcem.

Deski podłogowe zaskrzypiały, kiedy przeszła przez pokój.

– Cieszę się, że będę mogła wykorzystać ten motyw przewodni, który chciałam.

– Jaki?

– Święta w starym stylu. Chcę, żeby dekoracje były proste, naturalne. – Podeszła do wnęki okiennej, która wychodziła na ulicę. – Tu stanie drzewko. Może dwuipółmetrowe. Udekoruję je popcornem na sznurkach, staromodnymi ozdobami i świecami. Ale nie może być za duże. Nie będzie punktem centralnym.

– A co będzie?

– Kominek. – Odwróciła się.

Wysoki od podłogi do sufitu, bez dwóch zdań rzucał się w oczy.

– Tam postawię stare sanki. – Wskazała na półkę nad kominkiem. – Tu przywieszę parę łyżew, przyozdobię gałązkami. Przez całą półkę będzie biegła ogromna, gruba girlanda ze świecami, z której będą zwisały ręcznie robione skarpety. W kominku będzie buzował przytulny ogień... – Odwróciła się do niego. – Jest czynny, prawda?

– Tak. – Był gotów zapłacić za oglądanie tego uśmiechu, który teraz rozjaśniał jej twarz.

– Idealnie. – I zaraz uśmiech zniknął. Najwyraźniej przypomniawszy sobie, z kim rozmawia. Odwróciła wzrok, uklękła na dywanie i zaczęła grzebać w pudłach ze sklepu.

– Mam na górze dwa puste pokoje...

– Widziałam. Pomyślałam, że poproszę mamę Madison, żeby pożyczyła nam kilka mebli z *Babcinego Poddasza*.

– Dobry pomysł.

Wzięła iPada i coś zanotowała. Seth poruszył się.

– Może już wrócę do pracy. Chyba nie muszę zostawać?

– Nie, poradzę sobie – odparła, nie podnosząc nawet na niego wzroku znad tabletu.

Przypomniał sobie, jak się kiedyś między nimi układało. Jak rozmowy płynęły niczym rzeka. Jak dotykała jego ramienia, kiedy się śmiała. A teraz traktowała go oziębło.

Odłożyła iPada i zaczęła przeglądać świeże gałązki choinkowe, rozbudzając zapach dawnych świąt.

Może powinien wspomnieć o „słoni w salonie”. Inaczej będzie siedział między nimi przez trzy długie tygodnie. Poza tym, jakie mógł mieć nadzieje na to, że zdobędzie serce Layli dopóki ona mu nie wybaczy?

Odchrząknął.

– Laylo... Bardzo cię przepraszam za rolę, jaką odegrałem w tym, co wydarzyło się między tobą i Jackiem. – Jej dłonie zatrzymały się. Zwisła pomiędzy nimi girlanda. Przyglądał się jej twarzy, ale nie dała żadnego sygnału. – Nigdy nie uważałem, że Jessica mogłaby wam zagrażać – powiedział.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Przerzuciła włosy przez ramię, odłożyła gałązki i zaczęła dłużyć w czerwonych owocach w wianku.

– Była twoją kuzynką. Dlaczego miałbyś chcieć jej, skoro miał *ciebie*?

– Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać. – Przygwozdziła go spojrzeniem.

Dlaczego nie dostrzegła, że on nie chciał wyrzucić jej krzywdy? Że jeśli Jack nie widział, co stracił, nie był wart jej łez? Seth chciał tylko, żeby mu wybaczyła, ale nie zanosilo się na to, że tak się stanie.

– Przez następne kilka tygodni będziemy spędzać razem dużo czasu. Czy możemy chociaż ogłosić rozejm?

Zacisnęła usta. Spojrzała z powrotem na wianek, jej smukłe palce bawiły się

igielkami i szyszkami.

– Może nie jesteś gotowa, żeby mi wybaczyć. Dobra. Ale czy możemy chociaż na chwilę odłożyć przeszłość na bok? Jeśli dobrze pamiętam, całkiem nieźle się dogadywaliśmy, zanim to wszystko się wydarzyło.

Jej ręce zatrzymały się w miejscu. Wiedział, że wspomina tamte długie wieczory, kiedy pracowali nad scenografią. Śmiali się, drażnili, flirtowali.

Rety, jak on tęsknił za tamtymi chwilami. Po raz setny miał ochotę sam siebie zdzielić za to, że tak długo zwlekał.

– Dobrze. Odłóżmy ją na bok.

Wypuścił powietrze. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymywał oddech.

– Dzięki. Tak będzie nam obojgu o wiele przyjemniej.

Dostał SMS od jednego z pracowników. Odpisał i schował telefon do kieszeni.

– Mówiłaś już bratu?

– Tak. A on powie Madison. – Wyjaśniła mu relację pana McKinleya ze Stanleyem i opowiedziała o swoich obawach, że dowie się prawdy. – Beckett, jego narzeczona i mój tata chcą, żebyśmy spotkali się w piątek na obiedzie, czy jakoś tak.

– Brzmi fajnie.

Między jej brwiami pojawiły się dwa małe półksiężycy.

– Wiesz, co to znaczy. Publicznie pokażemy się razem. Cały wieczór będziemy musieli udawać. Mój ojciec pewnie zrobi ci przesłuchanie. Nie, lepiej to przełożę.

– Mamy się pobrać za trzy tygodnie, tuż po obchodach Cichej Nocy. Twój tata tego nie przełoży.

– No to co proponujesz?

– Zaprośmy ich tutaj na kolację. Ja coś ugotuję. Przynajmniej zachowamy prywatność.

– Jeszcze wszystko będzie niegotowe. W domu będzie straszny bałagan.

– Jak chcesz. – Wzruszył ramionami. – Ale robię genialną lasagne. Twoja ulubiona, nie?

Przygryzła wargi i rozejrzała się po pokoju, zanim ponownie spojrzała na niego.

– No, dobra. Ale nie mów, że cię nie ostrzegałam.



– Jak daliśmy się w to wciągnąć? – Layla skończyła wiązać sznurówkę łyżwy. Beckett i Madison ślizgali się już po zamrożonej tafli na środku miejskiego skweru. Tata trzymał się krawędzi lodowiska, mamrocząc coś pod nosem.

– No co? – powiedział Murphy. – Będzie fajnie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem na łyżwach.

Zabrała się za węzeł przy drugim bucie. Gęste płatki śniegu spadały z nieba na jej włosy i wierzch dłoni, sprawiając, że palce były sztywne i niezdarne. A głupi supeł nie chciał puścić.

– Zamarzam, Murphy. Nie umiem nawet rozwiązać tej sznurówki.

– Daj. Pomogę. – Uklęknął przed nią. Kusiło ją, żeby odmówić jego pomocy, ale co tam. Niech próbuje.

Po długiej kolacji i przesłuchaniu miała napięte nerwy – a to nie ją przesłuchiowano. Nie poznała jeszcze ojca od tej strony.

Patrzyła, jak Madison i Beckett jadą obok siebie. Kiedy ona się zachwiała, on złapał ją za łokieć i odwrócił niezdarnie, aż oboje się zatrzymali, śmiejąc się. Niedaleko nich tata zawirował, zanim złapał równowagę.

– Myślisz, że coś podejrzewa? – spytała Layla.

Murphy rozluźnił supeł i już prawie kończył wiązać sznurowadło.

– Nie. Wyluzuj, Laylo. Po prostu chodźmy tam dobrze się bawić. – Sekundę później zawiązał kokardkę i pogładził łyżwę.

Muzyka była przyjemna – skoczna, świąteczna melodia. Z pobliskich sosen zwisały sznury białych lampek, tańcząc na wietrze. I chociaż padał śnieg, nie było aż tak zimno. Przytrzymał jej rękawiczki, a ona wsunęła w nie dłonie. Pomógł jej wstać.

– Chodźmy.

Jechali ramię w ramię wokół lodowiska z kilkunastoma innymi ludźmi, w większości nieznajomymi. Layla cieszyła się z tego. Im mniej znajomych, tym lepiej.

Chwilę później dołączyli do nich Beckett i Madison. Rozmawiali o postępach

w domu. A potem podjechał do nich tata – już nieco pewniej po tym, jak trochę poćwiczył.

– Jak wasze plany weselne? – spytał Laylę. – Nie wiem, jak znajdujesz na to czas, skoro dekorujesz dom i pracujesz u Cappy’ego.

– Planowanie wesela jest jak praca na pełen etat – powiedziała Madison.

Layla poczuła ukłucie winy. Nie powinna czekać, aż ten wieczór się skończy.

– Chcemy, żeby było skromnie.

– A ja pomagam jej we wszystkim, czego potrzebuje – dodał Murphy.

– Hej, stary – wtrącił Beckett. – Przez ciebie wychodzę na lenia.

– Tak, tak. – Madison szturchnęła narzeczonego łokciem. – *Niektórym* trudno jest nawet wykonać jeden telefon.

– Cały czas zgłaszała się poczta głosowa! – odparował Beckett.

– Jesteście pewni, że Wigilia to dobry pomysł? – spytał tata. – Wielu ludzi ma rodzinne plany.

– To będzie kameralne wesele. – Tak kameralne, że nikt nie przyjdzie.

– Nie masz jeszcze pierścionka? – Tata musiał zauważyć podczas kolacji.

Murphy odwrócił się i jechał przed Laylą. Ujął jej ubrane w rękawiczki dłonie i utrzymywał kontakt wzrokowy.

– Jeszcze nie znaleźliśmy odpowiedniego, prawda, skarbie?

Miał rumiane policzki i czerwony czubek nosa. Przed jego twarzą z każdym oddechem pojawiała się mgielka, a niebieskie oczy błyszczały w świetle lampek. Na rzęsach wylądował mu wielki płatek śniegu.

Layla automatycznie wyciągnęła dłoń i otarła go kciukiem. Coś zmieniło się w jego spojrzeniu. Nie umiała oderwać od niego wzroku. Jego dłoń zacisnęła się na jej. Poczuła nagłą falę ciepła. Miała na sobie za dużo warstw ubrań. Musiała rozwiązać szalik. Może zdjąć płaszcz. Co się z nią działo?

– Tak słodko razem wyglądacie – rozczuliła się Madison.

Layla oderwała wzrok od Murphy'ego. Jej policzki pod jego spojrzeniem zalała fala żaru.

– Kiedy się zorientowałeś, że kochasz moją córkę, Seth? – zagadnął tata.

Layla zeszywniała. *Zmień temat.* Jej myśli krążyły w poszukiwaniu innego, ale nie znalazły. Zerknęła na Murphy'ego.

– Tak naprawdę to u Cappy'ego – powiedział Seth.

Layla zmarszczyła brwi. Co on wyrabiał?

– U Cappy'ego? – zdziwiła się Madison.

– Patrzyłem, jak pracuje. Obsługiwała stolik obok mnie, a klient powiedział coś, co ją rozśmieszyło. – Jego spojrzenie wzięło ją w niewolę. – Pomyślałem, że mógłbym słuchać tego dźwięku przez resztę życia.

Powietrze utknęło Layli w płucach. Jego oddech wypełnił przestrzeń pomiędzy nimi. Marnował tylko czas przy scenografii. Powinien był dostać główną rolę.

– Jakie to urocze – stwierdziła Madison. Layla czuła na sobie ich wzrok.

Jak on to robił? Sypał z rękawa, ot tak? Patrzył na nią tak, jakby była całym jego światem? Czy nic do niego nie docierało? Tata słuchał tego wszystkiego, a to same kłamstwa. Wszystko.

Musiała jak najszybciej uciec – od tego, co się działo, od nich.

– Ja... Muszę sobie zrobić przerwę. Moje kostki...

Layla wyjęła dłonie z uścisku Murphy'ego i podjechała do ławki. Trzęsa się na całym ciele i nie wiedziała do końca dlaczego. Ze stresu spowodowanego udawaniem? Z powodu spojrzenia Murphy'ego? Czuła się taka zakłopotana.

Chciała, żeby ten wieczór już się skończył. Chciała wskoczyć do łóżka i naciągnąć kołdrę na głowę, udając, że to wszystko się nie wydarzyło. A byli tu dopiero kwadrans.

Kiedy znalazła się już przy bandzie, ominęła pierwszą ławkę i szurając po zamarzniętej ziemi, skierowała się do tej na tyłach, ukrytej w cieniu.

Serce jej waliło i drżały kończyny. Chciała się na chwilę schować. Nie potrafiła stawiać czoła ojcu i jego pytaniom. Albo Beckettowi i Madison, i ich

wszystkowiedzącym spojrzeniom.

Nawet nie potrafiła usiąść, gdy dotarła do ławki, chociaż kostki pulsowały jej od bólu. Przycupnęła przy tylnym oparciu, odwrócona plecami do lodowiska, pełna ulgi, że spowija ją ciemność.

W powietrzu, które nagle zrobiło się chłodniejsze w cieniu nocy, unosiły się dźwięki piosenki *Santa Baby*. Gałęzie nad jej głową, przypominające szkielet, rozciągały się pod granatowym niebem niczym lodowe palce. Ktoś w oddali się zaśmiał, a ona przypominała sobie, co powiedział Murphy. O tym, jak zdał sobie sprawę, że ją kocha, o tym, że chciałby słuchać jej śmiechu przez resztę życia.

– Wszystko w porządku?

Podskoczyła na dźwięk jego głosu, tak blisko.

– Nie, nie jest w porządku.

Stanął przed nią. Jego twarz znalazła się w cieniu, uniemożliwiając Layli odczytanie jej wyrazu.

– Dłużej tego nie zniosę. Okłamuję ojca, a nasi przyjaciele myślą, że planujemy wesele, choć wcale tego nie robimy. I na pewno ktoś się domyśli, a nawet jeśli nie, to jak się potem z tego wszystkiego wyplączemy?

Jej głos unosił się w miarę, jak mówiła.

– Spokojnie, skarbie. – Położył dłonie na jej ramionach. – Musisz wziąć się w garść.

– Jakie znowu „skarbie”? – Strąciła jego dłonie.

Nie podobało jej się to. I nie chciała za bardzo zastanawiać się dlaczego.

– Wytrzymaj jeszcze trochę. W tym momencie nie możemy się wycofać. Stawka jest zbyt wysoka.

Stawką była cała jej kariera. Gdyby teraz odwołali zaręczyny, Stanley Malcolm pewnie odrzuciłby ją jak gorący ziemniak, nawet gdyby odstrzeliła dom Murphy’ego jak Wersal.

– Jak ty to wytrzymujesz? Jak ty to robisz, że umiesz odpowiadać na ich pytania i patrzeć... takimi maślanymi oczami i nawet nie mrugnąć?

Zastygł. I nie mówił nic tak długo, że była gotowa nim potrząsnąć. Teraz załowała, że byli w cieniu, bo nie widziała jego oczu i nie miała pojęcia, o czym myśli. Ale czuła napięcie w jego sztywnej postawie ciała i słyszała stres w jego płytkim oddechu.

– To proste – powiedział tak miękko, że zamieniła się w słuch.

Wybrzmiały ostatnie brzmienia piosenki, ulatując w noc. Ciszę wypełniało tylko twarde i mocne bicie jej serca.

– Po prostu mówię prawdę – szepnął.

Zaczęła się powolna ballada. Dźwięki skrzypiec tańczyły wokół nich, rzucając słodki urok. Layla nie mogła oddychać. Nie potrafiła się poruszyć.

Murphy odwrócił się i odszedł. A ona została i gapiała się za nim.

Layla weszła po schodach na ganek, uważając na śliskie miejsca. W sobotni poranek w sąsiedztwie Murphy'ego panowała cisza. Ziemię pokrywała cienka warstwa śniegu, a mróz palił ją w płuca.

Słumiła ziewnięcie, wsuwając klucz do zamka. Przez pół nocy gapiała się w sufit, rozmyślając nad tym, co powiedział Murphy. Obracała jego słowa w każdą stronę i zawsze kończyła z tym samym wnioskiem: Murphy coś do niej czuł.

Nie mogła uwierzyć, że mógłby ją kochać – chociaż odpowiedź, jakiej udzielił jej tacie właśnie na to wskazywała. Ale na pewno nie zamierzała podejmować z nim tego tematu. Wczorajszy wieczór był dość niezręczny.

Bardzo potrzebowała dzisiejszej przerwy od jego towarzystwa. Nie mogła się jej doczekać. Zamknęła drzwi, odcinając się od zimna, i rozwiązała szalik.

Z kuchni wyszedł Murphy.

Layla aż podskoczyła z dłońią na sercu. Jej oczy zrobiły szybkie rozeznanie. Spodnie od piżamy, ciemna skóra, naprężone mięśnie. I kubek kawy, wkomponowany w to wszystko.

Odwróciła się pod pretekstem powieszenia płaszcza.

– Nie jesteś w pracy?

– Nie pracuję w soboty. Co tu robisz?

– *Ja* pracuję w soboty. – Posłała mu spojrzenie ponad ramieniem.

Nawet z twarzą zwróconą w innym kierunku, wciąż go widziała. Przymknęła oczy. Nie było co się oszukiwać. Nigdy nie wymaże z pamięci tego widoku. Szerokie ramiona, wyrzeźbiona klatka piersiowa, umięśnione ręce. Nie ma mowy. Zostaną tam na zawsze.

– Nie sądziłem, że będziesz dziś tak wcześnie – powiedział.

– O drugiej muszę być u Cappy'ego.

– Aaa... Chcesz kawy?

– Tak, jasne. Dzięki. – Cokolwiek, żeby tylko wyszedł z pokoju. Przydałyby się też

jakieś ubrania. Kto by pomyślał, że chował to wszystko pod tymi swoimi flanelowymi koszulami?

Kilka minut później wrócił z kubkiem kawy i podał go jej. Wbiła wzrok w napój w kolorze karmelu – taki, jak lubiła najbardziej.

– Dzięki. Masz gdzie drabinę?

– W garażu. Przyniosę ci, a potem pójde pod prysznic.

– Nie ma pośpiechu. Weź prysznic.

Była w bibliotece, kiedy wrócił z drabiną.

– Gdzie postawić?

– Tutaj. – Wskazała na pasek boazerii pomiędzy wysokimi regałami na książki, a później zajęła się ostatnimi poprawkami wieńca.

– Pomóc ci?

– Przytrzymaj to. – Podała mu wieniec i wspięła się na drabinę, która zachwiała się na twardej, drewnianej podłodze. – Tu jest chyba nierówno.

– Uroki starego domu.

Kiedy była na szczycie, wyciągnęła ręce wysoko, aż dosięgnęła dolnej ramy obrazu wiszącego na ścianie, który zdjęła i podała Sethowi. Drabina zakołysała się, gdy wymienili się rzeczami.

Layla złapała się boków, ale drabina zachwiała się ponownie. Gdy spojrzała na Murphy'ego, zauważyła na jego twarzy łobuzerski uśmiech, a jego oczy błyszczały złośliwie.

– Przestań – powiedziała.

– Co?

– To twoja sprawka!

– Nie wiem, o czym mówisz.

Posłała mu gniewne spojrzenie i wspięła się na najwyższy bezpieczny szczebel,

mając nadzieję, że nie będzie się już wygłupiał. Wieniec nie był ciężki, ale bardzo nieporęczny. Próbowwała powiesić go na gwoździu, na którym wcześniej wisiał obraz. Nie trafiła. Stała na palcach. Za wysoko.

– Ożeż... – Stłumiła śmiech. Po kolejnej próbie opuściła ręce, żeby odpocząły.

Drabina się poruszyła.

– Przestań.

Złapała równowagę, po czym zdała sobie sprawę, że drabina się nie kołysała. Trzęsa się, bo Murphy wspinał się po niej tuż za nią.

– Co ty wyrabiasz?

– Pomagam.

– Złaż. To niebezpieczne. – Mocniej zacisnęła dłoń.

– To najbardziej profesjonalna drabina, jaką sprzedają. Wytrzymuje wielkie obciążenie. Ponieważ żadne z nas nie waży sto pięćdziesiąt kilo, wytrzyma.

Zatrzymał się za nią, a drabina przestała się chwiać. Ciepło jego klatki piersiowej oparło się o jej plecy. Czysty, piżmowy zapach jego mydła drażnił jej nos. Zaschło jej w gardle, a serce łomotało w piersi, jakby szalała tam burza śnieżna.

Seth wziął wieniec, nachylił się bliżej i sięgnął wyżej. Jego uda przycisnęły się do jej. Jego oddech poruszył włosy na jej skroni. Po jej kręgosłupie przeszedł dreszcz. Nogi się pod nią trzęsły, więc oparła się dłonią o ścianę. *To Murphy, Laylo. Pamiętasz? Ten koleś, który praktycznie pchnął Jessicę w objęcia Jacka. Koleś, któremu nawet nie przyszło do głowy, żeby powiedzieć ci, że twój narzeczony mizia się z twoją kuzynką.*

Kiedy ta myśl wypłynęła na powierzchnię, w jej głowie rozbrzmiały ponownie słowa Becketta. Czy rzeczywiście wyolbrzymiała rolę Murphy'ego? Jej myśli zaplątały się w supeł.

Murphy powiesił wieniec na ścianie i minimalnie się od niej odsunął.

– Tutaj go chciałaś? – Jego usta były kilka centymetrów od jej ucha. Gdyby odwróciła głowę tylko odrobinę...

*Co z tobą, Laylo?*



– Tak. – Popatrzyła prosto na wieniec. Nie obchodziłoby ją nawet, gdyby był do góry nogami, tyłem do przodu i pokryty grzybem. – Możesz już zejść?

– Jesteś trochę spięta. – Drażnił się. Czy wiedział, jak na nią działa?

– Trzęsiesz drabiną i wazysz tyle, że zaraz się załamie. – Jej przyciśnięte do ściany palce robiły się już białe na tle dębowej boazerii.

– Niech ci będzie. – Nachylił się, a jego usta znalazły się tak blisko, że musnęły jej włosy. – Daj mi znać, jak będę mógł jeszcze jakoś pomóc.

\*

Kiedy skończyły się godziny szczytu w porze kolacji, Layla była wyczerpana. To był pracowity wieczór. Do pizzerii wpadła grupa kolędników, zajmując całą tylną salę, a w restauracji brakowało obsługi. Wcześniej, gdy ruch był mniejszy, poeksperymentowała z ustawieniem stolików, przesuując je tak, żeby łatwiej było między nimi chodzić. Bardzo spodobał jej się nowy efekt. Ale Cappy'emu nie, więc musiała wszystko poprzestawiać z powrotem.

Teraz miała już mniej klientów, więc pomogła Davidowi w obsłudze kilku zamówień. Kiedy przechodziła obok drzwi, zauważyła Coopera, stojącego przy wejściu. Czekał na wskazanie stolika, strzepywał płatki śniegu z brązowych loków. Nie widziała go od czasu, kiedy wymigał się od wesela. I proszę, do czego ją to doprowadziło.

*Bądź miła, to nie jego wina.*

– Cześć. Miewasz się już lepiej?

– Nie tak dobrze jak ty, z tego, co słyszałem. – Uśmiechnął się i spojrzał na nią łobuzersko.

A więc dotarli już do niego wieści o zaręczynach. Przypomniała sobie o swoim planie i posłała mu wymowne spojrzenie.

– Stolik dla jednej osoby?

– Tak.

Zaprowadziła go do łoży pod oknem, zastanawiając się, jak niby ma wyjaśnić, dlaczego miała zaplanowaną randkę z nim tego samego dnia, którego okazało się, że jest zaręczona.

Cooper wśliznął się do łoży, wyciągnął długie nogi i wbił w nią wzrok.

– To co masz mi do powiedzenia, młoda damo?

– Nic. – Layla uniosła podbródek. – Pepsi?

– Może być. – Wciąż na nią patrzył. – Na razie.

Nie spieszyła się z przyniesieniem napoju, mając nadzieję, że Cooper nie będzie jej zbyt mocno naciskał. Zawsze mogła po prostu odmówić odpowiedzi. Byli przyjaciółmi, ale nie takimi na śmierć i życie. Layla w ogóle nie miała takich przyjaciół. Wychowywana przez dziadka, tatę i brata, przywykła do mężczyzn i ich zachowania.

Wróciła do stolika Coopera z pepsi w dłoni.

– Zdecydowałaś już?

– Tak. – Zadarł głowę i uśmiechnął się półgębkiem. – Chciałbym się dowiedzieć, jak randka last minute zmieniała się w spontaniczne zaręczyny.

– Ach, tak. – Spojrzała na niego niewinnie. – A ja chciałabym wyższą pensję i rezydencję przy Main Street, ale nie można mieć wszystkiego, prawda?

– Czyli nie pogadamy, tak?

– Chyba że o pizzy.

– Wiesz, że wszyscy o tym mówią.

– O pizzy? – Jej żołądek ścisnął się na jego słowa, ale wciąż uśmiechała się nonszalancko.

Zaśmiał się i pociągnął ją za róg służbowej koszulki polo.

– Dobrze, bądź sobie tajemnicza. A ja i tak to w końcu z ciebie wyciągnę.

– Powodzenia.

– Nie potrzebuję go. – Poruszył energicznie palcami. – Mam dłonie iluzjonisty.

Poddała się i zaczęła się śmiać.

– Lepiej trzymaj je ode mnie z daleka. – Uniosła notes i postawiła na nim długopis.  
– Przyszedłeś tylko, żeby się ze mną podrażnić, czy zamówisz coś?

– Dobra, dobra. -Popatrzył na menu ze zmarszczonymi brwiami. – Ech, te kobiety – wymamrotał.

Po przyjęciu zamówienia Layla skierowała się do kuchni, zauważając po drodze Murphy’ego, siedzącego w łoży po drugiej stronie sali. Jego gniewne spojrzenie nie uszło jej uwadze.

Świetnie. Podała zamówienie, a kiedy się odwróciła, stał tuż przed nią. Zatrzymała się w samą porę, by nie zderzyć się z jego klatką piersiową.

– Możemy porozmawiać? – Jego dłonie objęły ją za ramiona.

– Pracuję – powiedziała cicho, świadoma spojrzeń, które przykuwali.

Stał jej na drodze i nie miał zamiaru się przesunąć. Wbijał w nią wzrok. Westchnęła.

– No, dobra.

Pociągnęła go za sobą do ciemnego holu prowadzącego do łazienek i pokoju dla pracowników. Tyle razy sugerowała Cappy’emu, żeby zerwał tę boazerię. To miejsce trzeba było rozjaśnić.

Kiedy doszli do końca, odwróciła się i uniosła brwi wyczekująco.

– Nie powinnaś flirtować z innymi mężczyznami. – Stał w rozkroku i skrzyżował ramiona.

– Co takiego? Ja nie... Ja tylko...

– Rozmowa, chichot, przerzucanie włosów za ramię, znane również jako flirt.

*Do stu piorunów!*

– Ja nie... Za kogo ty się uważasz?

– Za twojego narzeczonego. – Nachylił się, żeby dobrze zrozumiała.

– Może gdzieś ci to umknęło – powiedziała cicho – ale nie jesteśmy naprawdę zaręczeni.

Zacisnął usta. Po jego twarzy przebiegł cień.

– Ale wszyscy tak myślą, a jak widzą, że flirtujesz z każdym chromosomem Y, jakiego napotkasz, nikt w to...

– To mój *przyjaciel*, Murphy. Mam dużo kumpli płci męskiej i nie flirtuję z nimi. A nawet gdyby tak było, to nie twój interes, mój drogi, bez względu na udawane zaręczyny. Lepiej wracaj do stolika, jeśli chcesz zjeść pizzę, bo za pół godziny zamykamy.

Seth patrzył za Laylą, jak odchodzi, kołysząc biodrami, a krew buzująca w żyłach dudniła mu w uszach. Chciał złapać Coopera, wyszarpać z łoży za koszulkę i rzucić nim o krawędź.

Potał dłonią usta, usiłując się uspokoić. Fakty faktami, Layla miała rację. Nie byli tak naprawdę zaręczeni. Nie miał prawa być o nią zazdrosny. Ale był. A ona tak głęboko zaszyła się w jego sercu, że już nigdy jej stamtąd nie wygoni. Uderzył pięścią w pokrytą boazerią ścianę. Wiszące obok czarno-białe zdjęcie młodego Cappy'ego, który podrzucił pizzę, zachwiało się.

Emocje targały nim na prawo i lewo. Jeszcze dziś rano Layla opierała się o niego na drabinie. Był zadowolony i pełen nadziei. Było jasne, że jego bliskość nią wstrząsnęła. Może to tylko fizyczny pociąg, ale to już coś. Mógł działać coś więcej.

A teraz chciał przebić pięścią ścianę. Ta kobieta doprowadzała go do szaleństwa. A czas mijał. Miał jeszcze dwa tygodnie, a zaczynał skłaniać się ku myśli, że przydałby mu się jakiś spektakularny świąteczny cud.

Layla przetrząsnęła torbę. Gdzie to grube płótno? Widziała je kilka dni temu, a teraz nigdzie nie mogła go znaleźć. Rzuciła torbę na podłogę, tłumiąc warknięcie.

Nic dzisiaj nie szło po jej myśli. Meble dziecięce do pustego pokoju przyjechały dzisiaj. Żeby udało się przenieść je przez drzwi, trzeba było je rozkręcić, a potem ponownie skręcić. Zajęło jej to prawie dwie godziny.

Zepsuła żyrandol we foyer Murphy'ego, kiedy wieszala gałązki, a była niemalże pewna, że był to wyjątkowy egzemplarz, nie do odkupienia.

Centrum ogrodnicze przysłało jej białe gwiazdy betlejemskie zamiast czerwonych, a nie wiedziała, ile czasu zajmie sprowadzenie właściwych.

Przynajmniej lepiej jej się układało z Murphym. Przeprosił ją za kłótnię u Cappy'ego. Wspomnienie jego potulnego spojrzenia prawie przywołało na jej twarz uśmiech. Prawie.

Cicha Noc zaczynała się dwudziestego grudnia. Za jedenaście dni Stanley zwiedzi dom i zadecyduje, czy Layla jest dość dobra, żeby pracować dla firmy *Malcolm Realty*.

A teraz nie mogła znaleźć cholernego płótna. Warknęła, rzucając workiem pełnym szyszek sosnowych o podłogę biblioteki.

– Uuu. Zły dzień?

Layla aż podskoczyła.

– Wystraszyłeś mnie. – Wszedł bezszelestnie jak kot. Czy było już aż tak późno? Zerknęła na zegarek. Piąta. A jeszcze nic dzisiaj nie zrobiła.

– Co się stało?

– Nie mogę znaleźć płótna. Widziałeś je? – Odrzuciła na bok kolejną torbę.

– Przykro mi, ale nie.

Czy musiał tak wisieć ponad jej ramieniem? Przetrząsała torbę pełną ozdób, wprawiając celofan w głośny szelest.

– Było tutaj. W którejś z tych toreb. Jestem pewna.

– Ubieraj się. – Przykucnął obok niej i wziął ją za rękę. – Wyjdźmy stąd.

– Nie mogę. – Westchnęła.

– Siedzisz tu od szóstej rano. Jadłaś coś w ogóle?

– Popatrz na to wszystko. – Machnęła ręką w nerwowym geście. – Mam jedenaście dni. To naprawdę gigantyczna sprawa, Murphy. Dla ciebie to tylko jeden pokaz domu. Dla mnie to praca. Przyszłość. – Chwyciła gwałtownie następny pakunek.

– Laylo. – Złapał ją za ramiona. Zwolniła i spojrzała na niego. – Odłóż tę torbę. Musisz kupić choinkę, prawda?

– Tak.

– To przekąsimy coś szybko i pojedziemy do leśnika po drzewko.

Popatrzyła w jego spokojne oczy. Przydałoby się jej trochę tego spokoju. A nawet dużo.

– Jeśli szybko jakiegoś nie kupisz, zostaną same badyle i skończysz z choinką cierpiącą na anoreksję. Nie chcesz tego, prawda?

Wiedział, jak z nią rozmawiać. Nie zgodziłaby się na nic, co nie byłoby idealne. Wzięła głęboki oddech. Może rzeczywiście powinna zrobić sobie przerwę. Kiedy zamykała oczy, zaczynała widzieć tańczące lampki świąteczne.

– Chodź. Jedziemy po drzewo. – Wskazał podbródkiem drzwi.

Hodowla choinek świątecznych mieściła się po zachodniej stronie Chapel Springs, wśród niewielkich pagórków, niedaleko parku. Prywatna ścieżka była popularnym wśród nastolatków miejscem na randki, ale Layla nigdy nie przejechała za biały drewniany znak oznajmiający, kto jest właścicielem terenu i informujący o godzinach otwarcia.

Rozglądała się po okolicy, kiedy jechali długim, żwirowym podjazdem. Ziemię pokrywała miękka kołdra śniegu. Sosny różnych rozmiarów rosły wzdłuż drogi. W oddali słońce chyliło się ku zachodowi, użyczając ziemi ostatnich promieni.

– Nie mamy dużo czasu. – Wrzuciła serwetkę do torebki z *Burger Barn* i dopiła colę.

– To nie potrwa długo. Chyba że zamierzasz polować na idealne drzewko.

Uśmiechnęła się szeroko i zamruwała niewinnie, a on jęknął. Kilka minut później wysiedli z pick-upa i poszli w kierunku budynku gospodarczego. Świeży zapach sosen wypełniał mroźne powietrze. Ku zadowoleniu Layli nie było zbyt wielu klientów. Tylko kilka rodzin tu i tam.

Przed budynkiem wisiała tablica objaśniająca ceny i rodzaje drzewek. Przy wejściu stały wózki do przewozu choinek, a jakiś nastoletni pracownik wciągał właśnie jedną z nich do maszyny. Wyjechała z drugiej strony, zapakowana w siatkę i gotowa do transportu.

– Dobra... Jak to działa? – spytała.

– Nigdy tu nie byłaś?

– Zawsze kupowaliśmy choinki w hipermarkecie. – Wzruszyła ramionami.

Jeśli w ogóle kupowali. Czasami brakowało im pieniędzy. Czasami święta upływały tak, jakby wcale ich nie było, ale dziadek i Beckett zawsze dbali o to, żeby miała do rozpakowania jakiś prezent. W tamtych czasach wystarczyło małe, sztuczne drzewko. Nie zawsze jednak przetrwało wyjmowanie z pudła.

– Najpierw weźmiemy to. – Murphy wziął z półki stojak do choinek. – Weź piłę. To co bierzemy? Świerk kłujący czy jodłę Frasera?

– Niech no spojrzę... – Zatrzymała się przed tabliczką i przeczytała informacje o igłach, zapachu i cenach. – Są drogie. – Nic dziwnego, że nigdy nie kupili żywej choinki. Kosztowały więcej, niż wydawali na prezenty.

– Wybieraj śmiało.

Zdecydowała się na sosnę zwyczajną i poszli do odpowiedniej sekcji. Nałożyła kaptur, żeby osłonić się przed mroźnym wiatrem.

Murphy mocniej naciągnął czapkę. Już miał różowe uszy i czubek nosa.

– Będzie miała ostre igły.

– Mam rękawiczki. – Wzruszyła ramionami.

Szli ramię w ramię pokrytym śniegiem szlakiem, wzdłuż którego rosły sosny. Layla rozejrzała się. Setki setek drzew. Wsadziła ręce do kieszeni i zacisnęła pięści, żeby je ogrzać.

– Przychodziliśmy tu co roku – powiedział Murphy. – Tata pokazywał chyba ze sto drzewek, zanim mama wreszcie się na jakieś zgodziła. Potem pouczała tatę i zmieniała się z nim przy piłowaniu. Dawała nam gorącą czekoladę, kiedy czekaliśmy, aż przygotują drzewko, a gdy my piliśmy, ona ogłaszała, że tegoroczna choinka jest najpiękniejsza w historii.

Serce Layli załomotało. Rodzice Murphy’ego zginęli kilka lat temu w niewielkiej katastrofie lotniczej, kiedy byli na wakacjach na zachodzie. Jego ojciec, który otworzył sklep z materiałami budowlanymi, rok wcześniej przeszedł na emeryturę.

– Brzmi fajnie – powiedziała.

– Było fajnie. Odkąd odeszli, w święta czuję się samotny.

Zastanawiała się, czy to dlatego nie miał żadnych świątecznych dekoracji.

– A jak było z tobą? – spytał. – Jak obchodziłaś święta, gdy dorastałaś?

Jego oddech skraplał mu się przed nosem. Wózek podskakiwał na drodze za nim.

– Było super. – Poczula ukłucie winy i przygryzła wewnętrzną część wargi. On był z nią szczery na temat swoich wspomnień, choć były bolesne. Wzruszyła ramionami. – No, może nie całkiem.

Miała wrażenie, że ją ocenia, ale nie naciskał na nią. Może dlatego poczuła się na tyle bezpiecznie, żeby kontynuować.

– Nie pamiętam za wiele z czasów, zanim mama odeszła. – *Zanim tata się rozpił i wszystko się rozpadło.* – Ozdabialiśmy choinkę i były prezenty. Piekła pierniczki. Ich zapach ciągle na mnie działa. To dobre wspomnienie. Ale po tym, jak nas zostawiła, wszystko się zmieniło. Czasami tata był w więzieniu i spędzaliśmy święta we troje, z dziadkiem i Beckettem. A czasami był pijany. Nie robiliśmy z tego wielkiej sprawy. Dziadek zawsze zabierał nas do kościoła, ale nie zawsze mieliśmy drzewko i ozdoby.

Szli przez chwilę w ciszy, a jedynymi dźwiękami, jakie słyszeli, były ich kroki na śniegu i skrzypienie kół wózka.

– Czyli Boże Narodzenie nie przywołuje u ciebie dobrych wspomnień.

– Nie bardzo. Nie... – Teraz jej dziadek miał alzheimera i mieszkał w domu opieki, a Beckett spędzi święta z rodziną Madison. Został tylko tata, ale Layla wiedziała, że nie mogła na niego liczyć. Chyba będzie równie samotna, jak Murphy.



– Zawsze możesz stworzyć nowe wspomnienia.

– Jasne. – Pomyślała o swoim maleńkim mieszkanku i salonie, w którym nawet nie było choinki.

Kiedy doszli do sosen zwyczajnych, Seth zszedł ze ścieżki i zaczął brnąć przez świeży śnieg.

– Zdecydowałaś już, gdzie spędzimy miesiąc miodowy?

– *Że co?*

– Zawsze chciałem polecieć na święta na Hawaje, może na wyspę Hawai‘i.

– Chyba zapominasz, że nie będzie żadnego wesela. – Szturchnęła go w ramię.

– Mógłbym się przyzwycząić do ciepłych świąt na piasku. Chociaż, jak tak o tym pomyślę, to Maui byłaby lepsza. Mniej turystów, więcej prywatności.

– Masz urojenia.

Spojrzał na nią przelotnie z rozbrajającym uśmiechem, po czym ją wyprzedził.

– Pozwól człowiekowi pomarzyć – wymamrotał do wiatru, a Layla zastanawiała się, czy dobrze usłyszała.

✱

Godzinę później przed domem Murphy’ego Layla odsunęła się, by objąć wzrokiem nagą choinkę. Dwuipółmetrowa sosna zwyczajna stała w wykuszu. Bujna, ciemna, z grubymi igłami. Idealna.

– Jesteś gorsza niż moja mama – powiedział Murphy znajdujący się gdzieś pod drzewkiem.

– Mówiłam ci, że od tego zależy moja przyszłość.

Wypinając tyłek, nalał do zbiornika pełny dzban wody.

– Wywierasz ogromną presję na to biedne drzewo.

– On lubi wyzwania. – Przycięła kolejną gałązkę.

– On? – Murphy wycofał się i spojrzał na nią ze swojego miejsca na podłodze.

– Choinki są rodzaju męskiego, wbrew powszechnej opinii. – Wzruszyła ramionami.

– I ty twierdzisz, że to *ja* mam urojenia. – Zmiękczył wydźwięk swoich słów uśmiechem, siedząc w kucki. – Ozdabiamy dzisiaj, czy masz dość?

– Tak i tak.

– Okej, to weźmy się za to od razu.

Dwadzieścia minut później w kominku trzaskał ogień, a z najnowocześniejszego systemu głośników płynęły świąteczne melodie. Ostrożnie ustawiali świece na choince. Postawienie ich prosto było nie lada wyzwaniem.

W połowie pracy Layla zorientowała się, że bez łańcuchów z popcornu nie zrobią już więcej. Do ich wykonania zatrudniła znajomą nastolatkę z sąsiedztwa.

Przesunęła drabinę obok Murphy'ego, na drugą stronę drzewka, i weszła na nią. Drabina zachwiała się i Layla straciła równowagę, więc mocniej złapała szczeble.

– Murphy! – zawołała.

Chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał. Drabina stanęła w miejscu. Ciepło jego dłoni przebijało się przez jej cienki sweter.

– To nie ja – powiedział.

Zerknęła na niego przez ramię.

– Słowo harcerza.

Miała wątpliwości, czy kiedyś był harcerzem, ale dała za wygraną, widząc szczerłość jego spojrzenia. Popatrzyła na ziemię. Jedna noga drabiny stała na gałązce.

– Oj. Przepraszam.

Zaczęła schodzić, ale Murphy się nie poruszył. Jego dłonie wciąż spoczywały na jej talii. To był przyjemny dotyk. Pewny i mocny. Zrównali się wzrostem i stanęli oko w oko. Jej uwagę zwróciły srebrne plamki w morzu jego błękitnych oczu. Jego idealny nos i usta wcięte na górze i wydatne na dole.

Pogładził kciukami jej talię, przyprawiając ją o dreszcz. Spojrzała mu prosto w oczy i nie mogła oderwać od nich wzroku. Jego wcześniejsze słowa wróciły do niej. *Pozwól człowiekowi pomarzyć.*

Czy naprawdę coś do niej czuł? Jego oczy mówiły jej, że tak. Mówiły też wiele innych rzeczy.

Popatrzył na jej wargi. Drgnęły z pragnienia. Zaciśnęła dłonie na metalowym drążku. Nie, nie mogła pragnąć Murphy'ego po tym, co zrobił jej i Jackowi.

Nachylił się. Ten ruch wywołał w niej falę paniki. Zeszła i minęła go.

– Skończę na dziś. – Nie mogła ukryć drżenia głosu.

\*

Seth złapał drążki drabiny obiema dłońmi. Miejsce, w którym stała Layla, było teraz puste. Głowa mu opadła, gdy ona pospiesznie wkładała płaszcz, stojąc za nim. *Idiota! Co on sobie myślał?*

– Do jutra – powiedziała.

Odwrócił się z otwartymi ustami, gotowymi do odpowiedzi, ale ona wychodziła już przez drzwi. Zatrzasnęła je, a przez pokój przebiegł powiew zimnego wiatru. Chwilę później nocną ciszę wypełnił warkot silnika jej samochodu. Światła przebiegły po ścianie, kiedy wycofywała z podjazdu i odjechała. Potarł dłonią twarz. *Durniu! Nie jesteś jej prawdziwym narzeczonym!*

Bez względu na to, jak bardzo okłamywałby samego siebie, jak bardzo wmawiałby sobie, że to wszystko prawda – to nie była prawda. Pokazywanie się z nią publicznie nie dawało mu prawa do tego, żeby ją całować, przytulać czy choćby dotykać. Jej odpowiedź była jasna.

A jednak myślał o tym, co zobaczył w jej oczach. To było obiecujące. Dawało mu nadzieję. Może uczucia Layli zaczynały się zmieniać. Może kiedyś zechce dać mu drugą szansę.

A może to tylko pobożne życzenia.

Layla włożyła do słoika świeczkę i przesunęła nim po stole w kierunku Murphy'ego. Złapał go, odmierzył wstążkę i uciął.

– To ujmuje mi męskości.

Layla wsypała do kolejnego słoika trochę cukru i ułożyła wokół świeczki czerwone owoce.

– Jesteś właścicielem sklepu z narzędziami. Twoja męskość nie podlega dyskusji.

Spojrzał na nią gniewnie.

– Wiążę wstążki na słoikach z duperelami. Nie potrzebujesz, żebym porąbał trochę drewna?

– Potrzebuję trzydziestu słoików do ustawienia wzdłuż ścieżki, więc popraw koronę i wiąż kokardki.

Wtorkowa niezręczność potrzebowała kilku dni, by odejść w zapomnienie. Layla spędziła je na przekonywaniu samej siebie, że Murphy tak naprawdę nie chciał jej pocałować. Czy naprawdę nachylił się do niej? Może to ona straciła równowagę i trochę się zakołysała.

Nie było sensu się nad tym głowić, kiedy miała tyle pracy. Parter był już prawie skończony, ale wciąż pozostawało piętro i obejście domu. A został tylko tydzień.

W kominku trzaskał ogień. Popatrzyła na półkę nad kominkiem, z której leniwie zwisał sosnowy stroik zawieszony pomiędzy trzema staromodnymi skarpetami. Przy palenisku stały trzy bańki na mleko wypełnione szyszkami i gałązkami. Saneczki nad kominkiem też wyglądały uroczo.

– Widziałem na górze pokój do szycia. Wspaniały pomysł.

– Dzięki. Znalazłam stół z maszyną do szycia w *Babcinym Poddaszu* i to mnie zainspirowało. – Kupiła kawał czerwonego materiału, który upięła wokół stołu. – Chcę wstawić do kąta manekina krawieckiego i ubiorę go w suknię z epoki wiktoriańskiej. – Zamierzała pożyczyć ją od lokalnego kolekcjonera.

– To będzie świetnie wyglądać. Stanley się odzywał?

– Tak, wczoraj. Miałam nadzieję, że przyjdzie w piątek, przed rozpoczęciem obchodu, ale na ten wieczór ma już plany. Przyjdzie w sobotę.

– Za tydzień, licząc od jutra?

Kiwnęła głową. To oznaczało, że będą musieli przeciągać zaręczyny aż do kilku dni przed ogłoszoną datą ślubu. Jak to ma się udać? Już teraz była zmęczona unikaniem pytań u Cappy'ego i słuchaniem żali na temat ślubu w Wigilię. Aż nie mogła się doczekać, co będzie po zerwaniu.

– Jak sobie z tym poradzisz? – Przesunęła do niego kolejny słoik, spoglądając mu w oczy.

– Z czym?

– No wiesz, z końcem naszego udawanego narzeczeństwa.

Zacisnął usta, skupiając się na wstążce i usiłując zawiązać kokardę grubymi palcami.

– Nie wiem.

Kiedy ostatnio o tym wspomniała, zmienił temat, ale musieli o tym porozmawiać. Termin się zbliżał, a ona potrzebowała planu.

– To wypadnie niebezpiecznie blisko naszej daty ślubu.

– Wiem. – Zmarszczył brwi.

– Cóż... Jedno z nas zostanie porzucone przy ołtarzu – powiedziała lekko, mając nadzieję, że wywoła u niego uśmiech.

Ale jej wysiłek zawiódł.

– Nie martw się. Wezmę to na klatę. Ja nas w to wplątałem i ja nas z tego wyciągnę.  
– Nie wyglądał na zadowolonego.

Layla miała za sobą już jedno zerwane zaręczyny. Ale to spłynie po niej jak po kacze. W ogóle tego nie odczuje.

*Nie odczujesz? Jesteś pewna?*

Pomyślała o wtorkowym incydencie, o tym jak łaskotało ją w brzuchu, kiedy był

blisko. O tym, jak czekała na jego powrót każdego wieczoru. Wmawiała sobie, że to dlatego, że chce mu pomóc, ale czy to rzeczywiście prawda? Czy próbowała oszukać samą siebie?

Patrzyła na niego spod rzęs. Na to, jak jego silne dłonie mocowały się z precyzyjnym zadaniem. Był piątkowy wieczór, a on nie spędzał go z kumplami, tylko wiązał wstążki na ozdobnych słoikach. Być może to on ich w to wplątał, ale to przez nią to wszystko się rozkręciło. Nie był jej nic winien.

*Nie licząc tamtej sprawy z Jackiem i Jessicą.* Nowożeńcy wracali do domu dziś w nocy. Layla wcale nie chciała ich widzieć.

Ale nie zamierzała się na tym skupiać. Cofnęła się myślami do momentu, w którym rozważała swoją relację z Murphym. Nie mogła zaprzeczyć, że jej uczucia do niego rosły w siłę. Wkradł się do jej serca przez swoją cichą szczerość i to, jak się z nią droczył. Przez swój krzywy uśmiech, błękitne oczy i starą, znoszoną czapkę.

Wszystkie te powody, dla których wydał jej się atrakcyjny dwa lata temu, wciąż były aktualne. Pojawiły się też motyle w żołądku i nogi jak z waty. Co by się stało, gdyby Murphy zaprosił ją na randkę, zanim zrobił to Jack? Czy byłaby teraz tutaj, w jego ciepłym domu, wtulona w niego z obrączką na palcu?

Na tę myśl poczuła ukłucie bólu. *Czy tak właśnie miało być, Panie Boże? Czy miałam spotykać się z Murphym, a nie z Jackiem? Czy namieszaliśmy w Twoich planach?*

Być może nigdy się tego nie dowie. Może straciła swoją szansę na szczęście i miała przez resztę życia pozostać sama. Pracowali jak tandem, a nieopodal trzaskał i szumiał ogień. Kiedy sięgnął po kolejny słoik, poczuła piżmowy zapach jego wody kolońskiej.

– Dlaczego nie zaprosiłeś mnie na randkę? – wypaliła Layla, czując nagłą potrzebę, by się tego dowiedzieć. Przygryzła wargę, przeklinając swój niewyparzony dziób. Serce waliło jej o żebra jak oszalałe. – W tamte wakacje dwa lata temu? Wydawało mi się, że może byś chciał...

Jego ręce zatrzymały się na szpulce wstążki. Spojrzał na nią ponurym wzrokiem.

– Chciałem. Ale niedługo wcześniej zakończyłem trudny związek. Potrzebowałem czasu – powiedział z żalem.

– Chloe Peterson.

Kiwnął głową.

Widowała ich ze sobą przez jakiś rok. Poczta pantoflowa donosiła, że zdradzała go z Chrisem Geigerem, ale kto mógł wiedzieć, jak było naprawdę?

– Chciałem się z tobą umówić – ciągnął – ale zanim zdążyłem to zrobić...

– Jack.

– Nie masz pojęcia, ile razy żałowałem, że zwlekałem. – Wodził wzrokiem po jej twarzy.

Miękła pod jego spojrzeniem. Jej puls oszalał.

– Ciekawe, co by było.

Jeden z kącików jego ust uniósł się w uśmiechu, a w miejsce żalu na twarzy wymalował się spokój.

– Kto wie? Może bylibyśmy naprawdę zaręczeni.

*Może* – pomyślała, ale nie umiała się zdobyć, żeby powiedzieć to na głos. Zamiast tego, zanim znowu ująłby ją swoim spojrzeniem, włożyła kolejną świeczkę i podała mu słoik, w myślach wciąż roztrząsając ten temat.

✱

Było już popołudnie, kiedy następnego dnia Layla weszła do domu Murphy'ego. Wczoraj pracowali do północy, a dziś miała najwcześniejszą zmianę u Cappy'ego i musiała zjawić się przed lunchem, żeby wszystko przygotować. Mieli kilka rezerwacji na świąteczne spotkania o tej porze i Layla była cała w nerwach, zastanawiając się, czy nie spotka Jessiki. Po pracy poszła odwiedzić dziadka w domu opieki, z poczuciem winy, że nie zrobiła tego tydzień wcześniej. Dzisiaj jej nie pamiętał.

Była już gotowa na to, by wycofać się do cichego domu Murphy'ego. Zdjęła płaszcz. Znajomy zapach sprawił, że chętnie wzięła kolejny wdech. Pachniało świętami, ale nie przez woń sosny i palonego w kominku drewna.

Zapach powiódł ją do kuchni. W zlewie piętrzyły się brudne miski zalane wodą, a w nich leżały końcówki miksera i sztucce. Mąka rozsypała się na wyspę kuchenną, na której leżała blacha pełna pierniczek.

Layla podeszła bliżej i rozchyliła usta, kiedy zbliżyła się do wyspy. Ludziki z piernika. Powiodła wzrokiem po koślawych kształtach. Patrzący na nią białe oczy różnej wielkości. Z brzusczków wystawały wielkie guziki. Lukier, którym ozdobione były pierniczki w jednych miejscach był za cienki, w innych położony zbyt grubo.

Na ich żalony widok chciało jej się śmiać. Ale śmiech utknął w jej gardle. Ten gest ujął ją za serce i to dosłownie, fizycznie, sprawiając, że zabrakło jej tchu, a oczy zasły łzami. Braki w talencie artystycznym Murphy nadrobił, wkładając w pracę tyle serca. Wzięła wdech, a zapach piernika wypełnił jej nozdrza. Przeszło jej przez myśl, że to najwspanialszy zapach, jaki kiedykolwiek wdychała.



Seth przekonał Laylę, żeby w niedzielę poszła z nim do kościoła. Nie tylko dlatego, że dziwnie byłoby iść osobno tuż przed ślubem, ale również dlatego, że po nabożeństwie miała okazję porozmawiać ze Stanleyem.

Seth siedział wyprostowany w ławce, ciesząc się tym, że Layla była tuż obok. Miała na sobie czerwoną sukienkę, która opadała tuż za kolana i musiał wyęczać całą wolną wolę, by skupiać się na kazaniu. Na jej prośbę weszli niepostrzeżenie nieco spóźnieni, ale teraz, kiedy wstali do ostatniej pieśni, czuł, jak napięły się wszystkie jej mięśnie i kręgosłup.

Jessica i Jack siedzieli trzy rzędy przed nimi, opaleni i tryskający szczęściem. Nie było mowy o tym, żeby ich uniknąć. Ich ani nikogo innego. Ale Seta to nie obchodziło. Był dumny z towarzystwa Layli, a jego uczucia do niej były tak prawdziwe, jak modlitewnik, który trzymał w dłoni.

Po zakończonej mszy zbył przed kościołem parę osób, które podeszły do niego z gratulacjami, podczas gdy Layla rozmawiała ze Stanleyem i jego żoną. Kiedy ponownie odnalazł ją spojrzeniem, był przy niej Jack. Seth przeprosił Daniela Dawsona, młodego burmistrza, i pospieszył w ich kierunku. Nie podobał mu się znajomy sposób, w jaki Jack położył dłoń na jej ramieniu.

– Witaj z powrotem. – Seth uściskał Jackowi dłoń. – Chyba mieliście słoneczną pogodę.

– Wyjście z samolotu było jak kubek zimnej wody. Ale wspaniale się bawiliśmy. Właśnie mówiłem Layli, że Jess i ja chcieliśmy zaprosić was w czwartek na kolację.

Seth spojrzał na Laylę, dostrzegając panikę pod jej wymuszonym uśmiechem.

– Och, ale to ostatni wieczór przed Cichą Nocą. Layla dekoruje mój dom.

– Mówiła mi. – Uśmiechnął się do niej czule. – Jestem z niej dumny.

Seth poczuł, że skręca go w środku na te słowa, którymi traktował ją jak swoją własność. Położył dłoń na talii Layli i przysunął ją bliżej.

– Powinieneś zobaczyć dom. Ona jest niesamowita.

Policzki Layli zrobiły się apetycznie różowe, aż nie mógł oderwać od nich wzroku.

Layla zerknęła na niego i odchrząknęła. Do Jacka podeszła Jessica i wtuliła się w jego bok.

– To jak, jesteśmy umówieni na czwartek? Przyrządę jagnięcinę i wierzcie mi, że nie chcecie tego przegapić.

Zatrzepotała rzęsami w stronę Setha. Jack uśmiechnął się do niej.

– Wyśmienicie gotuje.

Seth miał ochotę go trzasnąć. Jak to możliwe, że kiedykolwiek byli bliskimi przyjaciółmi?

– Obawiam się, że czwartek nam nie pasuje, prawda skarbie? – powiedział Seth. – Będziemy zajęci ostatnimi poprawkami w domu. – Zwrócił się do Jessiki: – Layla pomaga mi udekorować dom na Cichą Noc.

– Och, jak uroczo! Ale przecież musicie jeść. Poza tym zaprosiłam też moją mamę i ciocię Lorraine i będą się was spodziewać. Nie przyjmujemy odmowy.

Pomachała wypielęgowanymi palcami do kogoś ponad ramieniem Setha.

Seth uściśnął Laylę mocniej.

– Nie sędzę...

– Och, kochana – wtrąciła Jessica z krzywą miną, dotykając ramienia Layli. – Wciąż jest ci tak ciężko?

Seth zacisnął wolną dłoń w pięść i przysunął Laylę jeszcze bliżej.

– Ona jest teraz moją narzeczoną, Jessico.

– Wiecie co? – powiedziała Layla. – W porządku. Na pewno do tego czasu skończę. Możemy wpaść na dwie godzinki.

– Świetnie! Będziemy czekać o siódmej. – Jessica rozstała się z nimi, całując powietrze przy policzku Layli, i odciągnęła Jacka, żeby porozmawiać z kimś innym.

Seth i Layla wrócili do samochodu. Murphy'ego ścisnęło w żołądku. Nie chciał siedzieć na kolacji z Jackiem i Jessicą równie mocno jak Layla. Odczuwał fizyczny ból na widok Layli i Jacka razem, pomimo tego, że on był już żonaty. Na myśl o jego dłoniach na jej ciele, jego ustach na jej wargach Murphy miał ochotę rozwalić ścianę.

Włączył silnik pick-upa i wycofał z parkingu. Kiedy byli na ulicy, Layla oparła głowę o szybę, a włosy opadły jej na twarz.

Uniósł dłoń, żeby je odgarnąć, ale raczej by się jej to nie spodobało. Nie byli już wśród ludzi. Zamiast tego, podkreślił ogrzewanie.

– Nie musiałaś tego robić. Przełożyłbym to.

– I pozwoliłbyś im myśleć, że ciągle zależy mi na Jacku?

Westchnął. Nie chciał, żeby Layla musiała iść na tę kolację. Do cholery, sam nie chciał na nią iść.

Seth skręcił i droga zaczęła się wznosić. Słońce odbijało się od zaśnieżonej ulicy.

– Mogę do niego zadzwonić później i wszystko odwołać.

– Nie. – Wyprostowała się. – Muszę się do tego przyzwyczaić, prędzej czy później.

– Do czego? – Ścisnął mu się żołądek. – Do widywania ich razem?

– Mieszkamy w tym samym mieście. Nie mogę bez końca ich unikać.

Nie podobał mu się jej szorstki ton. Jego serce pracowało na najwyższych obrotach, tak samo, jak silnik wjeżdżającego pod górę chevroleta. Na myśl o tym, że Layla usycha z tęsknoty za Jackiem, robiło mu się niedobrze.

– Jest ci ciężko?

– Czy w ten sposób chcesz mnie zapytać o to, czy wciąż go Kocham?

Ciągle zapominał o tym, że nie miał prawa. Nie miał prawa zadawać takich pytań. Nie miał prawa odgarniać jej włosów z oczu.

– Nie musisz odpowiadać.

Może i tak nie chciał wiedzieć? Może to byłby kolejny cios prosto w serce? Nie był zwolennikiem samobiczowania. Przynajmniej do czasu, gdy w jego życiu znowu nie pojawiła się Layla.

– Już go nie Kocham – powiedziała miękko.

Poczuł, jak zalewa go fala ulgi. Może była nadzieja? Może nie wyobraził sobie tego, jak patrzyła na niego z drabiny tydzień temu? Ani tego, co dostrzegł w jej oczach, kiedy wczoraj dziękowała mu za pierniczki? Nie mógł się powstrzymać i zerknął w jej stronę. Jej twarz była spokojna, patrzyła w dal. Czy coś sobie przypominała? Czy była smutna? Nie umiał tego rozszyfrować.

– Jedyne, co czuję w stosunku do Jacka, to upokorzenie. – Posłała mu krzywy uśmiech. – Nie wiem, co to dokładnie o mnie mówi, ale jestem prawie pewna, że nic dobrego.

Silnik zmienił bieg, kiedy droga się wyrównała. Seth zdjął nogę z gazu i skręcił w swoją ulicę.

– Każdy na twoim miejscu czułby się tak samo. A jeszcze gorsze jest to, że Jess jest twoją kuzynką i na dodatek nie należy do najmilszych.

Minutę później podjechał pod dom, świadomy napięcia, które unosiło się w kabinie. *Oczywiście musiałeś jej przypomnieć o tym, jaką rolę odegrałeś w tym wszystkim. Robisz oszalamiające postępy, Seth, a zostało ci tylko pięć i pół dnia.*

Wyłączył silnik i sięgnął do klamki. Layla chwyciła go za ramię.

– Zaczekaj.

Wbiła w niego swoje zielone oczy, ale zaraz odwróciła wzrok, wyglądając na niezwykle bezbronną, co było do niej niepodobne. Kiedy z powrotem na niego spojrzała, z przeszywającą szczerością, chciał wziąć ją w ramiona i mocno przytulić. Zacisnął dłonie na siedzeniu, żeby nie wprowadzić tej myśli w życie.

– Myliłam się. – Założyła włosy za ucho. – To nie twoja wina. To, co zaszło między Jackiem i Jess. – Spuściła wzrok na pasek od torebki, który owinęła wokół dłoni. – Potrzebowałam kozła ofiarnego, a ty się nadawałeś. Przepraszam.

Jej słowa uleczyły w nim jakieś zniszczone miejsce. Pozwolił im na to, żeby w pełni do niego dotarły.

– Wiem, jakie to uczucie być zdradzonym. Gdybym wiedział, co między nimi było, powiedziałbym ci.

– Wiem.

– Nigdy celowo bym cię nie skrzywdził, Laylo.

– To też wiem. – Przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

To już coś, prawda? Zaufanie to dobry początek. Zwłaszcza po tym, co przeszła z Jackiem. Seth zapragnął udowodnić jej, że był mężczyzną, na jakiego zasługiwała. Takim, który będzie ją kochał na dobre i na złe. Takim, który będzie jej wierny.

– Nie wiem, czy będzie to miało dla ciebie jakieś znaczenie – mówił – ale uważam, że Jack jest najgorszym palantem na całym globie.

Ponownie na niego spojrzała, jak gdyby potrzebowała nie tylko usłyszeć te słowa, ale także zobaczyć szczerą twarz. Uśmiechnęła się delikatnie.

– Dzięki, Seth.

Ścisnęło mu się serce na dźwięk swojego imienia. Każda komórka ciała pragnęła jej dotknąć. Chciał wziąć ją w ramiona i przejąć jej usta, jej serce. Pragnął słyszeć, jak wzdycha, wymawiając jego imię. Ale czuł, że ona potrzebuje dystansu. Czasu na to, żeby poukładać swoje uczucia. A on jej go da. Dałby jej wszystko, czegokolwiek by potrzebowała.

Sięgnął do klamki.

– Wspominałaś, że potrzebujesz do czegoś pięciometrowej drabiny. Aż się boję zapytać, do czego.

Uniosła brew, otwierając drzwi. Wspaniale było patrzeć, jak na jej twarz powraca siła. Lubił tę jej zuchwałą stronę.

– Mam nadzieję, że nie masz lęku wysokości. – Spojrzała na niego przez ramię z łobuzerskim uśmiechem i wysiadła.

\*

Tamta chwila w samochodzie coś między nimi rozluźniła. Layla nie była pewna, czy to dlatego, że przyznała, że nie kocha już Jacka, czy dlatego, że przeprosiła Seta.

Ale napięcie ustąpiło i spędzili radosne popołudnie. Dobrze się bawiła, pomimo ciężkiej pracy i presji terminu. I to z Sethem. Wiedział, kiedy przystopować i kiedy zażartować, żeby przerwać monotonię.

Byli teraz na zewnątrz. Layla zeszła z drabiny i odsunęła się, aby podziwiać swoje dzieło. Kiedy skończą, będzie mnóstwo lampek. Okap dachu pozostał nietknięty. Droczyła się z nim o jego rzekomy lęk wysokości, ale prawdę powiedziawszy, sama nie przepadała za wysokością.

Wieniec na drzwiach frontowych był wielki i piękny, podobnie jak gruba girlanda, którą Seth właśnie wieszał nad nimi. Z każdego okna zwisały wieńce. Słoiczki jaśniejące płomieniem świec będą ustawione wzdłuż chodnika, a każde drzewo będzie błyszczało od białych lampek.

Wsadziła ręce do kieszeni i rozejrzała się po zaśnieżonym podwórku, marszcząc brwi. Czegoś tu brakowało, ale nie przychodziło jej do głowy, co by to mogło być.

– Coś nie tak?

– Sama nie wiem. – Małe podwórko rozciągało się aż do ośnieżonej ulicy, opadając tuż przed chodnikiem. Pustka, jaka na nim panowała, drażniła ją, ale nie mogła postawić tu plastikowego świętego mikołaja albo zwyczajnych ozdób podwórkowych w stylu lasek świątecznych i cukierków.

– Będzie fantastycznie. Poczekaj tylko, aż skończymy i zaświecimy.

To z pewnością dobry pomysł, ale nie to teraz ją frapowało. Kilka ładnie ulepionych bałwanów świetnie by tu pasowało, ale kto mógł wiedzieć, czy pogoda nie zmieni się do soboty? Poza tym to i tak by jej nie zadowoliło.

– Czegoś tu brakuje – powiedziała.

Seth zszedł z drabiny i podszedł do krawędzi werandy, z dłońmi opartymi nisko na biodrach. Jego oddech zamieniał się w mgiełkę przed jego nosem.

Ponownie zlustrowała podwórze. Brakowało czegoś dużego i staromodnego. Wypchanego jelenia? Pokręciła głową, gdy ta myśl zaświtała jej w głowie.

Oczywiście!

Odwróciła głowę w stronę Murphy'ego i uśmiechnęła się szeroko.

– Sanie.

– Sanie? – Uniósł brwi.

– Staromodne sanie. Byłyby idealne. – Weszła na kilka centymetrów w głęboki śnieg i stanęła na środku podwórza.

– O, tutaj. Skierowane w tamtą stronę. Oświetlone lampkami, z girlandami po bokach i stosem wielgachnych prezentów na tylnym siedzeniu. – Klasnęła w dłonie, nie

mogąc opanować podekscytowania.

– A skąd zamierzasz wytrzasnąć sanie, młoda damo? Już późno. – Usta mu drgnęły.

– Masz rację. – Przestała się uśmiechać. – Za późno. – Nawet ona dosłyszała ton porażki w swoim głosie.

To nie było coś, po co mogłaby wyskoczyć do sklepu. Nawet w *Babcinym Poddaszu* nie znalazłaby czegoś takiego. A nie знаła nikogo, kto by to miał. Może znalazłaby jakieś stare sanie na internetowej aukcji antyków, ale jak sprowadzić je tu na czas? W pięć dni? Poza tym nie miała już czasu na poszukiwania.

Pasowałyby idealnie. Byłyby wyjątkowe.

Seth zszedł z werandy.

– Czekaj, może uda się nam jakieś znaleźć.

– Znasz kogoś, kto ma sanie?

– Nie, ale to nie znaczy, że u kogoś w stodole jakieś nie stoją.

– Nie mam czasu odnawiać jakiegoś zepsutego grata. Cały tydzień mam już zajęty. Ktoś musiałby je tu dostarczyć i wyczyścić. Trzeba będzie zrobić wielgachne prezenty, powiesić lampki i girlandy... Trzeba było się tym zająć tydzień temu.

– Znajdę ci ładne sanie. I znajdę je dziś. I pomogę ci je przygotować.

– Ty naprawdę masz urojenia. – Spojrzała na niego wymownie. – Jest czwarta po południu, a sklepy z antykami są pozamykane w niedzielę.

– Nie doceniasz mnie. – Skrzyżował ramiona i uśmiechnął się bezczelnie. – Będzie tak, jak powiedziałem.

– Niby jak? -Popatrzyła nieufnie.

– Nie mam w zwyczaju dzielić się swoimi tajemnicami. – Jego oczy błyszczały arogancko. – Ale jestem gotów się założyć: odpowiednie sanie staną tutaj dziś, przed północą.

– Znasz kogoś, kto takie ma? – Była wyraźnie podejrzliwa.

– Nie, nie znam. Słowo harcerza. To jak, idziesz o zakład?

– O co się zakładamy? – Zmrużyła oczy, patrząc mu prosto w twarz.

– Podaj swoją cenę.

– Jeśli nie znajdziesz odpowiednich sań, to... – Patrzyła na dom w zastanowieniu.

– Ozdobisz okapy dachu. – Uśmiechnęła się szeroko.

Spojrzał w górę i zmrużył oczy przed światłem, po czym ponownie spoglądnął na Laylę.

– Umowa stoi. I tak nie przegram. – Wyjął kluczyki z kieszeni. – Czas ucieka. – Posłał jej ostatni uśmiech ponad ramieniem i poszedł do auta.

– Czekaj! A ty o co się zakładasz?

Odwrócił się na śniegu, dziwnie na nią patrząc. Potem powoli podszedł do niej. Kiedy stanął kilka centymetrów przed nią, musiała zmusić swoje nogi, by pozostały na miejscu.

– Jeśli wygram... – zaczął, a jego niebieskie oczy rozgrzewały ją aż do palców u stóp – będę mógł cię pocałować.

Usta mu drgnęły, kiedy spojrzał na jej wargi i z powrotem w oczy. Zniewolona jego spojrzeniem Layla przełknęła ślinę.

Chwilę później szedł po swoich śladach do samochodu i odwracając się tylko na chwilę raz po raz, tak dotarł do drzwi.

– I Laylo... – powiedział zadowolony z siebie. – *Na pewno* wygram.

\*

Pięć godzin później, kiedy zapadł zmrok, Layla weszła do domu. Odkąd straciła pomocnika, praca szła jej powoli. Mniejsza produktywność opłacałaby się, gdyby Seth znalazł sanie, ale chociaż bardzo tego pragnęła, stawka, o jaką walczył, sprawiła, że ścisnęła ją w żołądku. Czy rzeczywiście ją pocałuje?

Czy tego chciała? Wszystko się zmieniło od tamtej chwili na drabinie tydzień temu. Godzinami razem pracowali, rozmawiali, poznawali się. Wybaczyła mu tę niewielką rolę, którą odegrał w porażce z Jackiem i Jessicą. A potem upiekł te pierniczki...

*Przyznaj się, on cię pociąga.*



Kiedy zamykała w nocy oczy, pod powiekami wciąż miała jego widok, gdy stał bez koszulki. Napięte mięśnie, szerokie ramiona. Przypomniała sobie, jak czule ją objął, kiedy stali z Jackiem i Jessicą – jakby chciał ją chronić. Spodobało jej się to, pomimo że była dumna ze swojej niezależności. Podobało jej się też to, jak sprawiał, że przeszywał ją dreszcz i drżało jej serce.

Tak, jeśli wróci do domu z saniami, pozwoli mu się pocałować. I będzie się tym cieszyć – nie miała co do tego wątpliwości. Ale każdy samochód przejeżdżający za oknem mijał dom i jechał dalej. I za każdym razem, gdy buczał jej telefon, była to wiadomość od Coopera albo innego znajomego.

Layla pozbierała gałązki sosny i owoce ostrokrzewu na blat kuchenny. *Weź się w garść, dziewczyno, robota czeka.* Kiedy skończyła przygotowywać dekoracje, ręce bolały ją od wiązania i przycinania. Właśnie układała stroiki na miejscach, gdy usłyszała jakiś hałas przed domem. *Proszę, niech to będą sanie.*

Pobiegła do frontowych drzwi i otworzyła je. Seth siedział z jakimś mężczyzną na przednim siedzeniu sań. Sań ciągniętych przez konia. Zewnętrzne lampy domu oświetlały piękne zwierzę, które prowadziło sanie w poprzek chodnika, po niewielkim wzniesieniu, aż zatrzymało się dokładnie w miejscu, które wcześniej wskazała.

Layla włożyła buty i wyszła na werandę, otulając się ramionami przed zimnem.

– Nadadzą się? – Seth odwrócił się do niej uśmiechnięty.

Schodząc po schodkach z werandy, przyglądała się saniom. Były zabytkowe, czerwone, dwuosobowe, ze spadzistym tyłem i zakrzywionymi płozami. Położyła obie dłonie na piersi.

– Seth, one są idealne!

Przedstawił ją panu Stephensowi, jednemu z klientów jego sklepu, który nie mieszkał w Chapel Springs. Rozmawiali chwilę, kiedy wyprzągał konia. Layla podziwiała, jak świetnie sanie były utrzymane. Czerwone, aksamitne obicia na ławkach, pikowane dopasowanymi guzikami. Zewnętrzna część sań była gładka ze złotymi zdobieniami.

Niedługo później Layla podziękowała panu Stephensowi, który następnie wsiadł na konia i pożegnał się, po czym odjechał ulicą. Kopyta zwierzęcia stukały rytmicznie o ubity śnieg.

– Czy sprostalem twoim oczekiwaniom? – spytał Seth.

– Są piękne. Jak je znalazłeś?

Seth zszedł i zabrał się za przykrywanie sań płachtą.

– Zadzwoń do jakiejś setki znajomych i klientów.

– Setki? – Uniosła brew i podeszła, żeby mu pomóc.

– Może trochę przesadziłem. W końcu ktoś skierował mnie do pana Stephensa. Jakiś czas temu był u mnie w sklepie, miał problem z kominkiem i udało mi się mu pomóc. Zaoszczędził dzięki mnie trochę pieniędzy. Cieszył się, że może się odwdzińczyć.

Kiedy skończyli, lodowaty wiatr poruszył włosami Layli. Schowała ręce do kieszeni, trzęsąc się z zimna.

– Dziękuję ci. Są dokładnie takie, jak sobie wyobrażałam. I w świetnym stanie.

– Chodźmy do środka. Zaraz zamarzniesz.

Nie zamierzała się kłócić. Temperatura spadła po zachodzie słońca.

Zrzuciła buty i zostawiła je obok szafy, po czym podeszła bliżej do ognia. Słyszała, jak za jej plecami zamykają się drzwi i jak Seth zdejmuje płaszcz i buty. A potem wszystko ucichło, z wyjątkiem trzasku płomieni. Zastanawiała się, co on robi tam, z tyłu.

Dołożyła polano do ognia i ogrzała drżące dłonie. Nie mogąc dłużej znieść ciszy, spojrzała przez ramię. Seth opierał się o framugę drzwi ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i przyglądał jej się z enigmatycznym uśmiechem. Żółte światło omywało mu twarz, uwydatniając krótki zarost.

Nagle zdała sobie sprawę, że jej włosy wymknęły się ze spinającej je gumki. Że jej znoszone džinsy i T-shirt były pewnie poplamione Bóg wie czym. Kiedy to sobie wyobrażała, czuła, że nie chce tak wyglądać, gdy Seth będzie ją całował. Czemu nic ze sobą nie zrobiła, gdy go nie było? Jego to jednak chyba nie obchodziło, sądząc po wyrazie jego twarzy.

Nie potrzebowała już zaru kominka, więc odsunęła się, uniosła podbródek i przerzuciła włosy za ramię.

– No co?

– Wygrałem – powiedział cicho.

– Co wygrałeś? – Czy słyszał, jak drży jej głos?

– Nasz zakład. – Jego usta delikatnie się uniosły. – Sanie do północy... Pocałunek...  
Mówi ci to coś?

– W takim razie wygląda na to... – Przygryzła wewnętrzną stronę wargi. – Że oboje  
wygraliśmy.

– Bo dostałaś sanie? – Przechylił głowę na bok i zmrużył lekko oczy.

Miała szansę zachować twarz. Ale straciłaby dobrą zabawę. Zamiast tego uniosła  
brow.

– To też... – Popatrzyła na niego wymownie i uśmiechnęła się, ignorując drzenie  
całego ciała.

Jego oczy pociemniały. Odchylił głowę w tył. Uśmiech pewności zniknął z jego  
twarzy. Czyli zrozumiał. O tak. Wyprostował się, a ręce opadły mu wzdłuż ciała. Zrobił  
krok w jej stronę, potem kolejny.

– Masz przechlapane. – Jego głos był gęsty jak miód. – Wiesz o tym, co nie?

Zbliżał się do niej tak powoli, że jednocześnie ją onieśmiał i rozpałał.

– Obiecanki, cacanki. – Jej oddech się urwał.

Nie potrafiła ustać w miejscu. Zrobiła krok w tył, potem kolejny. Jej plecy uderzyły  
o ścianę. Teraz nie miała drogi ucieczki. Ale szczerze powiedziawszy, nie miała zamiaru  
uciekać. Chociaż czuła, że głęboko w środku trzęsie się jak galareta, chociaż przez jej żyły  
płynęła fala lęku.

A jednak on się zbliżył. Usidlił ją swoim spojrzeniem. Jej serce trzepotało w piersi  
niczym skrzydła ptaka uwięzionego w klatce. Ale nie chciałyby być teraz nigdzie indziej,  
tylko w ramionach Murphy'ego. Nie zatrzymał się, aż ich stopy zetknęły się palcami.  
Chyba przypomniał sobie, jak gwałtownie odsunęła się ostatnim razem, bo oparł się  
dłońmi o ścianę po obu jej bokach. Dwa tygodnie temu ten ruch sprawiłby, że poczułaby  
się jak w pułapce. Ale teraz jej jedynym zastrzeżeniem było to, że on wciąż był za daleko.

Jego wzrok powędrował na jej wargi, a każda komórka jej ciała pragnęła się ku  
niemu wychylić. Ale nie ruszyła się z miejsca, ciesząc się tym, jak jego twarz łagodniała,  
jak jego oczy przebiegały po jej twarzy, jakby ją pieściły. Po jej ramionach przeszedł  
dreszcz.

Seth nachylił głowę. Ich usta spotkały się w delikatnym muśnięciu. Nogi trzęsły się pod nią, puls przyspieszył, serce otworzyło się na oścież. Jak to możliwe, że najdelikatniejsza z pieszczot całkowicie ją rozbroiła?

Wrócił po więcej, a Layla poczuła, że zalewa ją fala gorąca. Przysunęła się bliżej, delektując się jego męskim zapachem, jego smakiem. Zacisnęła ręce, wbijając paznokcie w dłonie.

Jego kciuk odnalazł zakrzywienie jej policzka, dotykając jej z takim pietyzmem, że poczuła, jak topnieje. To był tylko pocałunek, a jednocześnie o wiele więcej. Doświadczała jego czułości, jego troski.

Przypomniała sobie, jak powiedział, że nigdy nie skrzywdziłby jej celowo. Bała się, że nigdy nie znajdzie mężczyzny godnego zaufania, ale dzięki Sethowi zapragnęła spróbować. Może już go znalazła.

Przyłgnął do niej swoim ciepłym, silnym ciałem. Jego dłonie ześliznęły się po jej talii i przyciągnęły ją bliżej, zatrzymując się na plecach.

Layla wyprostowała palce i powędrowała nimi wzdłuż jego ramion, aż po szyję, po czym wplotła je w jego włosy. Były miękkie jak piórko i zimne od mroźnego, nocnego powietrza. Wyobraziła sobie, jakby to było wracać codziennie do domu po taki pocałunek. Prosto w bezpieczny uścisk jego ramion, w objęcia pożądania, które w niej wzbudzał.

Kiedy się rozdzielili, brakowało jej tchu i miała nogi jak z waty. Oparł czoło o jej, a ona zamknęła oczy, wdychając jego zapach. Woda kolońska, śnieg, palone drewno.

– Chwila prawdy – szepnął chwilę później. – Zdobyłbym dla ciebie te sanie nawet bez pocałunku.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się na te słowa, chłonąc ciepło bijące z jego spojrzenia.

– A ja pocałowałabym cię nawet wtedy, gdybyś ich nie zdobył.

Jego oczy rozbłyły. Potarł nosem o jej nos.

– To nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby pocałować mnie drugi raz – powiedział.

– Nic a nic – odparła cicho, zanim ich usta znowu się spotkały.

– Jest idealnie. – Seth otulił ją ramionami i przycisnął jej plecy do swojej klatki piersiowej. – Na pewno zdobędziesz nagrodę publiczności.

Layla rozejrzała się po salonie z nadzieją, że Murphy będzie miał rację. Spędziła wiele godzin w tym tygodniu, dopracowując piętro i obejście domu. Na parterze dodała jeszcze kilka szczegółów – zawiesiła nad sofą rakiety śnieżne, a w kilku innych miejscach czarno-białe zdjęcia.

Seth zgodnie z obietnicą wykończył sanie, które wyglądały teraz dokładnie tak, jak sobie wyobrażała. Wieczorami dużo rozmawiali i robili sobie jedną albo dwie przerwy na całowanie, żeby uciec od monotonii. Stary gramofon stał na stoliku obok sofy, pośród stosów starych płyt z kołędami, a cydr jabłkowy był gotowy do podgrzania na kuchence. Nie zostało już nic do zrobienia.

– Mam nadzieję, że Stanleyowi się spodoba.

– Bez dwóch zdań. – Seth przytulił ją mocniej. Jego oddech poruszał włosy przy jej skroni.

Chociaż ten tydzień był bardzo pracowity, Layla cieszyła się każdą chwilą, którą spędzała z Sethem. Kiedy wpuściła go do swojego serca, szybko wypełnił każdy jego zakamarek. Czasami wydawało jej się, jakby mieszkał w nim od zawsze. I może tak właśnie było.

– Wiesz, że jesteś świetna w tym, co robisz, prawda? – stwierdził. – I nie mówię tak tylko dlatego, że lubię się z tobą całować.

Uśmiechnęła się i pozwoliła na to, żeby jego komplement całkiem w nią wsiąknął. Trudno było jej uwierzyć w siebie. Bywały chwile, w których nie czuła się dość dobra, by dekorować takie piękne domy. Czasami wydawało jej się, że nie należy do jego świata.

– Co się stało?

– Nic.

Odwrócił ją w swoich ramionach i przekrzywił głowę. Jego oczy znajdowały się w cieniu daszka czapki.

– Powiedz mi.

W ciągu tego tygodnia mówiła mu już chyba wszystko i na każdy możliwy temat, nie wyłączając swojego dzieciństwa. Słuchał jej bez osądzania. Czuła, że może być z nim szczerą. To było w nim wspaniałe. To i jeszcze wiele innych rzeczy.

– Sama nie wiem... Czasami wydaje mi się, że nie jestem na to dość dobra.

– Co masz na myśli? – Zmarszczył brwi.

– To takie... – Pokręciła głową. – Pozostałości z dzieciństwa. Chyba. Mała dziewczynka z tej gorszej części miasta... z trudnej rodziny... Takie tam. Może dlatego tak podoba mi się dekorowanie wnętrz, wiesz? Biorę coś schrzanionego i przystrajam, żeby wyglądało na wyjątkowe. – Uśmiechnęła się cierpko.

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał prosto w oczy.

– Hej. Ciebie nie trzeba stroić. Ty już jesteś wyjątkowa.

– Dzięki. – Jego słowa i szczerłość w spojrzeniu zakłuły ją w oczy.

– Twoja tożsamość nie zależy od twojego adresu.

– Wiem.

– Ani od tego, co robili twoi rodzice.

– To też wiem.

Naprawdę wiedziała, ale momentami ta wiedza nie docierała do jej serca.

Seth przesunął kciukami po jej policzkach, przyprawiając ją o dreszcz.

– Bóg stworzył cię wyjątkową, Laylo. Wewnątrz i na zewnątrz. I obdarzył cię niezwykłym talentem.

Łatwiej było jej w to uwierzyć, gdy mówił to Seth. Kiedy patrzył na nią z uwielbieniem. Chciała wpaść w szalejącą głębię jego niebieskich jak ocean oczu.

– Wiesz, że za tobą szaleję – powiedział.

Przygryzła wargę. Jedna jej część bała się, że jej własne wyznanie zaraz wymknie się ust, a druga obawiała się, że nie. Ona też za nim szalała. Zakochała się w nim tak szybko i tak mocno, że aż kręciło jej się od tego w głowie.

– Nie musisz nic mówić – dodał. – Wszystko widzę w twoich oczach.

– Tak ci się wydaje?

– Jestem pewien. – W jego spojrzeniu rozblysło światełko przekory. – A ja zawsze mam rację, wiesz?

– Doprawdy? – Uśmiechnęła się kpiąco.

– Wiesz, w czym jeszcze na pewno się nie mylę?

– Nie mogę się doczekać, aż się dowiem.

Musnął wargami jej usta, po czym odsunął się, uśmiechając się czule.

– Jack umrze z rozpaczy dzisiejszego wieczoru, kiedy będzie musiał siedzieć po drugiej stronie stołu i patrzeć, co stracił.

– Ech, że też musiałeś mi przypominać o tej kolacji.

– Jest za godzinę. I tak byś nie zapomniała.

– Muszę wziąć prysznic. – Westchnęła.

– Przyjadę po ciebie za dziesięć siódma – odparł, po czym znowu ją pocałował, tym razem długo i słodko, aż pożądanie rozpląnęło się powoli we wszystkich jej żyłach.

✱

Jack i Jessica mieszkali w nowoczesnym domu z widokiem na rzekę, na wzgórzu. Dobre studia opłaciły się Jackowi, bo dzięki nim dostał posadę w kancelarii *Nolan, Wells & Webb*. Najwyraźniej dobrze mu płacili.

– Powinnam była zapytać, czy czegoś nie przynieść – powiedziała Layla, kiedy wspinali się po ceglanych schodach na ganek. Poprawiła dekolt swojej czarnej sukienki, zastanawiając się, czy nie powinna była jednak włożyć czegoś innego. Zimny wiatr złapał rąbek sukni, przyprawiając Laylę o gęsią skórę.

– I tak by odmówiła – odparł Seth.

– Ale mimo to powinnam była spytać.

Nacisnął dzwonek obok podwójnych drzwi, wziął jej zimną dłoń i przyłożył sobie do ust.

– Czy mówiłem ci już jak pięknie wyglądasz?

– Dwa razy. – Spojrzała mu w oczy i wypuściła powietrze, które bezwiednie wstrzymywała.

Uśmiechnęła się. Seth potrafił ją uspokajać samą swoją obecnością. Dzięki Bogu był z nią dzisiaj tutaj. Czowała się jak wrak, przez tę dzisiejszą kolację i nadchodzącą decyzję Stanleya.

– Ty też dobrze wyglądasz, przystojniaku.

– Wiem. Taka jedna lisica powiedziała mi, że kolor koszuli pasuje do moich oczu.

– Jaka znowu lisica? – Usta jej drgnęły.

Podwójne drzwi otworzyły się. Za jednym skrzydłem stała Jessica, za drugim Jack. W miarę, jak uchylały się coraz mocniej, z wnętrza wypływało światło, a potem...

– Niespodzianka! – zawołał chór głosów.

Layla rozejrzała się po tłumie wypełniającym jasne, wysokie atrium. Rozpoznała twarze. Przyjacieli Setha, Beckett, Madison, jej rodzina, burmistrz Dawson, ojciec Layli, jej ciotki, Stanley Malcolm...

Seth mocniej ścisnął jej dłoń.

– Ale o co chodzi? – Jego uśmiech wydawał się szczery, jednak wyczuwała napięcie w jego głosie.

Layla przypomniała sobie, żeby też się uśmiechnąć. Jack wprowadził ich do środka.

– Pomyśleliśmy z Jessicą, że musicie mieć przyjęcie zaręczynowe. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu.

– Dziękujemy wam bardzo. – Seth jeszcze raz ścisnął dłoń Layli.

– Tak, dziękujemy. Wszystkim! – powiedziała, rozglądając się po gościach.

– Zaskoczeni? – spytała ciocia Lorraine.

– Całkowicie – odpowiedziała Layla ze stuprocentową szczerością.



Ktoś zdjął jej płaszcz i zabrał torebkę.

– Kolacja za pół godziny – oznajmiła Jessica. – Przywitajcie się!

Zaciągnęła ich w środek tłumu, który udał się do salonu. Z jakichś głośników grała muzyka. Tu i tam wisiały kiście srebrnych i opalizujących balonów. Jeden z nich poleciał aż pod szczyt sufitu katedralnego, a jego biała wstążka zwisała bez ruchu. Layla też chciałaby odlecieć.

Zebrała się wokół nich grupa osób zasypująca ich gratulacjami i pytająca o weselne plany. Layla bardzo starała się utrzymać uśmiech na miejscu, a Seth przycisnął ją do swojego boku i odpowiadał na większość pytań. Wydawało jej się, że powoli próbuje przemieścić się na tyły pokoju, gdzie wysokie drzwi francuskie prowadziły na balkon, obiecując wolność.

Po drugiej stronie pokoju zauważyła zmarszczone brwi patrzącego w jej stronę Becketta. „Czemu mi nie powiedziałeś?” – spytała spojrzeniem. Wzruszył bezradnie ramionami, a ona przypomniała sobie nieodebrane połączenia, które zignorowała pochłonięta gorączką ostatnich prac w domu.

Uśmiechała się i kiwała głową, gdy otoczyły ich jej ciotki. Jak to się stało? To miała być kameralna rodzinna kolacja – sama w sobie wystarczająco koszmarna – ale to...

Kiedy ciotki odeszły, ich miejsce zajął kierownik sklepu Seta z żoną. Głędził o swoim własnym weselu, a żona poprawiała go co dwa zdania.

W pokoju panował hałas: muzyka, śmiechy, rozmowy. Layla próbowała podwinąć długie rękawy, ale były sztywne i nie ustąpiły.

Po drugiej stronie salonu dostrzegła Stanleya Malcolma w garniturze od Armaniego, zmierzającego w ich stronę. Pani Malcolm pomachała do kogoś, a brylanty na jej palcach błysnęły niczym milion gwiazd. Kiedy żona kierownika zadała jakieś pytanie, Layla ponownie zwróciła uwagę na swoich rozmówców, ale to Murphy udzielił odpowiedzi.

Wmieszanie się w tłum było trudne. Prędzej czy później uwaga wszystkich skieruje się na nich – szczęśliwą parę – a ona będzie musiała spojrzeć na wszystkich swoich przyjaciół i członków rodziny i skłamać. Jej gardło i tchawica zacisnęły się, a palce, które trzymała na plecach Seta, zebrały w garść kawałek jego marynarki.

– Nic ci nie jest? – Nachylił się bliżej.

Przytaknęła. Zauważyła, jak z końca pokoju patrzy na nią jej tata. Uniósł szklankę

coli w niemym toaście. Wysiliła się na uśmiech. W jego oczach dostrzegła błysk dumy. Ile lat na to czekała?

A to wszystko kłamstwo. Dlaczego, ach, dlaczego w ogóle ruszyła tą głupią drogą? Seth uwolnił ich od gadatliwej pary i udało im się zrobić kilka kroków, aż zatrzymali ich rodzice Madison, państwo McKinley.

– Masz rumieńce, skarbie – powiedziała pani McKinley po kilku minutach rozmowy o ślubie. – Trochę tu gorąco.

– Właśnie chciałem wyjść z nią na zewnątrz i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. – Seth pociągnął ją za rękę. – Złapiemy państwa potem.

Layla uśmiechnęła się z wdzięcznością i ulgą, kiedy państwo McKinley wygonili ich w stronę balkonu. Udało im się jednak dojść tylko do progu pomiędzy salonem i pokojem dziennym, kiedy zatrzymał ich ojciec Layli. Uściskał ją i podał Sethowi dłoń.

– Ładna z was para.

Dołączyli do nich Beckett i Madison.

– Popatrzcie, stoicie pod jemiolą! – zauważyła Madison z rozbawieniem w spojrzeniu.

Jessica pojawiła się u ich boku.

– Halo, wszyscy! – zawołała, żeby przekrzyczeć hałas. – Gołąbeczki są pod jemiolą!

Głosy ucichły, a w ich stronę zwróciły się wyczekujące spojrzenia. Jej rodzina wycofała się z centrum uwagi, pozostawiając w nim tylko ją i Seta. Przyciągnął ją do siebie i uśmiechnął się.

– Z dziką chęcią – szepnął, po czym ich usta zetknęły się w krótkim dotyku.

Rozległ się grzeczny aplauz i kilka złośliwych buczeń. Layla uśmiechnęła się sztywno, po czym ruszyła w stronę drzwi balkonowych.

Zrobiła dwa kroki, kiedy ktoś zadzwonił kieliszkiem.

– Toast!

Rozległo się głośniejsze dzwonienie i więcej głosów prosiło o toast. Layla stanęła

jak wryta i zerknęła z paniką na Setha. Przełknęła z trudem ślinę i przebiegła spojrzeniem po podekscytowanych twarzach gości, którzy przyszli tu świętować ich zaręczyny. Udawane zaręczyny.

Stanley Malcolm z żoną, burmistrz, lokalni przedsiębiorcy. Ale to nie nimi się przejmowała. Chodziło o jej rodzinę. Przyjaciół. Ojca i brata. Madison i jej rodzinę, zapatrzonych w przyszłych państwa młodych na niby. Na nich. Seth wyczuł jej narastającą panikę i przytulił ją do swojego boku. Ale tym razem to nie wystarczyło. Nawet w najmniejszym stopniu. Jej gardło się zamknęło. Zaschło jej w ustach. Po plecach spłynęła stróżka potu. Spojrzała w jego ciepłe oczy.

– Nie mogę tak dłużej. Musimy z tym skończyć.

Odwrócił się plecami do tłumu, zasłaniając ją przed wzrokiem gości. Rozchylił usta. W jego twarzy dostrzegła odmowę. A potem coś się zmieniło, kiedy popatrzył jej prosto w oczy.

– Dobrze, rozumiem. Naprawdę. Ale to nie musi się odbyć w taki sposób. Posłuchaj tylko, wszystko będzie...

– Ani się waż mówić, że wszystko będzie dobrze – powiedziała, wciąż się uśmiechając. – Nie jest dobrze! Ci wszyscy ludzie myślą, że we wtorek się pobieramy! Przyszli tutaj, żeby świętować nasze zaręczyny. Okłamujemy swoich bliskich z powodu *pracy*.

Nie zdążył jej powstrzymać. Wyminęła go, stanęła na progu salonu i zwróciła się do tłumu:

– Chciałam coś oznajmić.

Zanim goście zdążyli się uciszyć, Seth odwrócił ją i pocałował mocno i pewnie w usta. Położyła mu dłoń na piersi, z zamiarem, by go odsunąć. Ale kiedy jego usta zmiękły, jej opór stopniał. Tłum wiwatował. Ktoś zagwizdał i była to ostatnia rzecz, jaką słyszała. Ostatnia racjonalna myśl, jaka przemknęła jej przez umysł. Chwilę później, gdy cała drżała i nie mogła złapać tchu, Seth odsunął się.

– Nie możesz tak ciągle stać pod tą jemiołą – powiedział miękko.

Zamknęła na moment oczy i wzięła głęboki wdech, próbując się uspokoić, a goście znowu ucichli. Jego pocałunek wymazał wszystko z jej głowy. Potrzebowała chwili, dwóch sekund, żeby zebrać myśli.

– Layla próbowała powiedzieć – odezwał się Seth, patrząc jej prosto w oczy – że

nastąpiła niewielka zmiana planów...

Co on wyrabiał? Spojrzała na niego pytająco. Ścisnął ją za rękę i patrzył na nią pewnie.

– Musimy nieco przesunąć datę ślubu.

– Seth... – szepnęła.

Położył dłoń na jej policzku, wodząc wzrokiem po jej twarzy. Zniżył głos.

– Wiesz, że chcesz pojechać na Hawaie. No proszę cię, Laylo. Ja cię kocham. Już od dawna. Zmieńmy to w rzeczywistość.

Zamrugła. On chciał się z nią ożenić? Naprawdę? *Mysł, Laylo.*

– Ja... myślałam, że wolisz Maui.

– Nie żartuj sobie. – Jego wzrok spochmurniał. – Kochasz mnie?

– Wszyscy się na nas gapią.

– Kochasz mnie, Laylo?

Oczy ją piekły, przełknęła ślinę i wyszeptała prawdę, która krążyła po jej sercu od wielu dni.

– Tak.

Kąciki jego ust uniosły się, a w jego oczach zatańczyły srebrne iskierki.

– Wyjdź za mnie tak naprawdę. Jeśli chcesz poczekać do wiosny albo do lata, to poczekamy. Zaczekam tak długo, jak zechcesz.

– Ekhm! – Dał się słyszeć czyjś głos. – Podobno chcieliście coś oznajmić? – Rozległy się chichoty.

– Co ty na to? – wyszeptał Seth.

Co mogła mu odpowiedzieć, kiedy patrzył na nią wzrokiem pełnym miłości, z sercem pełnym nadziei?

Odchrząknęła, wciąż patrząc mu prosto w oczy, po czym zwróciła się do gości:

– Seth próbuje powiedzieć... że przekładamy ślub... na noc sylwestrową, żebyście wszyscy mogli przyjść.

Rozległy się okrzyki radości, a Seth uśmiechnął się szeroko swoimi słodkimi ustami.

– Nie wytrzymam tak długo.

– Dodatkowe siedem dni? – droczyła się. – Jesteś pewien?

Ktoś ogłosił, że podano kolację i wszyscy poszli w stronę kuchni. Kilkoro gości zatrzymało się przy nich, by wyrazić swoją aprobatę. Stanley, przechodząc obok, położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie mogę się doczekać, aż zobaczę jutro dom. Słyszałem o nim wiele wspaniałych rzeczy.

– A nie mówiłem? – powiedział Seth, kiedy Stanley odszedł. – Będzie zachwycony.  
– Zaciągnął ją do kuchni.

Ktoś otworzył okna. Zimny wiatr poruszył cienkie zasłony i ślizgał się po jej gorącej skórze, przyprawiając ją o dreszcz. Wielkie płatki śniegu zaczęły sypać się z onyksowego nieba. Wirowały i tańczyły na wietrze, po czym zatapiały się w pomarszczonych wodach rzeki.

Layla wtuliła się w Seta w poszukiwaniu ciepła.

– Mam nadzieję, że mówiłeś poważnie o Hawajach.

– Nigdy nie żartuję w sprawie miesiąca miodowego. – Ucałował ją w głowę.

## Epilog

Layla przysiadła na krześle w ciemnym kącie i zdjęła buty na obcasie. Rodzina McKinley przemieniła salę ratusza w srebrno-błękitną krainę cudów. Rozmieszczono tu okrągłe stoły przykryte białymi obrusami, a na każdym stała niewielka kompozycja kwiatowa.

Ludzie utworzyli grupki, w których rozmawiali, śmiali się i tańczyli. Layla rozsiadła się na krześle i kręciła biżuterią na palcach, podziwiając jej wiekowe piękno. Kiedy Seth podarował jej pierścionek i obrączkę po babci, wiedziała, że będzie je nosić do końca życia. Platynowa otoczka wokół brylantu. Wyżłobiony rowek wypełniony diamentami, tworzący drugą otoczkę wokół większego oczka.

Rozpoczęła się jedna z jej ulubionych piosenek country i Layla zaczęła się zastanawiać nad jeszcze jedną rundką po parkiecie, ale jej stopy odmówiły posłuszeństwa.

Ostatnie kilka dni upłynęło w szaleństwie. Cicha Noc okazała się oszałamiającym sukcesem. Dom Setha zdobył nagrodę publiczności, a Layla podpisała umowę z *Malcolm Realty*.

Poświęciła chwilę na to, by odetchnąć w modlitwie dziękczynnej. W najbliższych tygodniach będzie bardzo zajęta. Zajęta robieniem tego, co kochała. Zajęta układaniem sobie życia z Sethem.

Kiedy zwiedzanie domów dobiegło końca, Madison zabrała ją na zakupy. Znalazły prostą, ale piękną suknię ślubną w butik w Louisville. Madison powiedziała, że Layla wygląda w niej szalowo. Seth chyba się z nią zgadzał, sądząc po tym, jak patrzył na Laylę idącą kościelną nawą.

Odszukała spojrzeniem pana młodego. Szedł w jej stronę przez tłum, wbijając w nią wzrok. Był niezmiernie przystojny w białej koszuli i muszce – zrzucił z siebie marynarkę, gdy tylko dotarli na przyjęcie weselne.

Patrzyła, jak się zbliża. Chłonęła wzrokiem jego szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi. Jego ciemne włosy, choć raz uwolnione spod czapki z daszkiem, zawijały się lekko na kołnierzyku koszulki. Oczy błyszczały w świetle lamp, a usta unosiły się w tym jego uroczym uśmiechu.

*Cały mój.*

Już nie mogła się doczekać, aż będzie miała go tylko dla siebie. Noc poślubną mieli spędzić w jego domu, a jutro wylecieć na Maui. Cały tydzień z piaskiem, słońcem

i Sethem. Nie mogła powstrzymać radosnego uśmiechu, kiedy się zbliżył.

Opadł na krzesło obok niej i nachylił się, przyciskając swoje udo do jej.

– Z jakiegoż to powodu tak pięknie się uśmiechasz?

– Z twojego.

Nagrodził ją długim spojrzeniem, po którym nastąpił równie długi pocałunek. Taki, po którym żałowała, że wieczór jeszcze się nie skończył. Położył dłoń na jej policzku i pogłębił pocałunek. Jego palce wplotły się w rozpuszczone włosy na jej szyi, przyprawiając ją o dreszcz.

Piosenka się skończyła, zapiszczał mikrofon. Z głośników dobiegł głos pana McKinleya:

– Moi kochani, powiedziano mi, że czas pożegnać młodą parę. Zapraszam wszystkich na zewnątrz.

Seth odsunął się.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? Powiedziałem mu, że jesteśmy gotowi.

– Czytasz mi w myślach. – Pocałowała go ostatni raz.

Pociągnął ją za rękę, żeby wstała.

– Moje buty! – zawołała, szukając ich gorączkowo.

Pomógł jej je założyć i ruszyli w stronę drzwi, za którymi zebrał się tłum gości weselnych. Uściskała szybko członków rodziny. Tuż za nią pojawiła się Madison i narzuciła płaszcz na jej ramiona.

– Przyda ci się.

– Czy ktoś podprowadził samochód? – zapytała Seta Layla, kiedy wyszli przed budynek.

Posypał się na nich deszcz confetti. Pisnęła i schyliła głowę przed drobinkami.

Seth wziął ją za rękę i przeprowadził przez tunel utworzony przez gości. Wyszli po drugiej stronie chodnika, śmiejąc się i strzepując confetti z włosów i ubrań.

Kiedy Layla uniosła głowę, zamarła na widok tego, co zobaczyła na ulicy. Czekwały na nich zaprzężone sanie. Siedzący na przedzie pan Stephens puścił do niej oko.

– Proszę, żono – powiedział Seth. – Bryka czeka.

Uśmiechnęła się do niego szeroko, kiedy pomógł jej wsiąść na tylne siedzenie. Sanie szarpnęły, gdy usiadł obok niej. Okrył ich kocem, po czym pomachali wiwatującemu tłumowi i odjechali.

Kilka minut później nocną ciszę przerywało tylko rytmiczne stukanie kopyt konia i szelest płóz. Seth poprawił koc i mocniej przytulił Laylę.

– Ciepło ci?

– Tak. – Chociaż powietrze było zimne, pod kocem i w ramionach męża było jej przytulnie. – Nie wierzę, że to zrobiłeś.

Nachylił się bliżej, a jego ciepły oddech poruszył włosy na jej skroni.

– To cię będzie słono kosztować.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie ich zakład i to, jak bardzo im się opłacił.

– Tym razem nie zadowolę się samym pocałunkiem – oświadczył.

– Ach tak?

– Tak. – Pochylił się i pocałował ją w usta. – Ale od tego zaczniemy i zobaczymy, dokąd nas to doprowadzi.

Rozpłynęła się, kiedy znowu ją pocałował. A potem słyszała już tylko bicie własnego serca.





© Amber Zimmerman

Denise Hunter jest autorką wielu bestsellerowych powieści, w tym serii *Chapel Springs* i *Summer Harbor*. Mieszka w Indianie z mężem Kevinem i trzema synami.

Deborah Raney

Styczniowa panna młoda

*Dla Kena, miłości mojego życia*

Rozglądając się po otaczającym ją chaosie, Madeleine Houser odstawiła kubek z kawą na stół w jadalni i pochyliła się, by odsunąć z drogi kolejny karton z rzeczami. Ani drgnął. Próbowała odczytać nabazgraną etykietkę. „Kuchnia – dobra porcelana”. Ach, jak to dobrze, że oparła się pokusie kopnięcia pudła!

Maddie zajrzała do kuchni, skąd gapiły się na nią otwarte szafki z obnażonymi zawiasami. Ich drzwiczki stały poukładane pod ścianą w pustym kąciku śniadaniowym. Nawet po czterech dniach kłuł ją w nos smród świeżej emalii. Nie można było położyć podłogi, dopóki elektryk nie naprawi tego, co zrobił z instalacją. A nie miała odwagi włożyć swojej najlepszej porcelany do szafek, dopóki to wszystko nie zostanie skończone.

W co ta siostra ją wpakowała? Mąż Kate został przeniesiony do Ohio, ale ponieważ matka kobiet mieszkała w domu opieki w Clayburn, Kate błagała Maddie, żeby opuściła ukochany Nowy Jork i przeprowadziła się do domu należącego do niej i Jeda przy Harper Street, na czas remontu i przygotowań do sprzedaży.

– Pisać możesz wszędzie, Maddie – mówiła Kate tonem starszej siostry. – Poza tym będziesz mogła wynająć komuś swój loft, i pomyśl tylko, ile zaoszczędzisz na czynszu.

I tak oto Maddie znalazła się w Clayburn w stanie Kansas, w dziurze na końcu świata, udowadniającej ponad wszelką wątpliwość, że wcale nie może pisać „wszędzie”.

Przetaszczyła z trudem karton, żeby nie stał jej na drodze, i lawirując pomiędzy pudłami, podeszła, żeby nalać sobie kolejny kubek kawy. Zdmuchnęła z oczu kosmyk włosów w kolorze ciemnego blondu i usiadła na jadalnianym krześle. Spośród sterty książek, pudeł i nieprzeczytanej poczty rozsypanej na stole, patrzył się na nią oskarżycielsko otwarty laptop.

Ignorując bałagan, przysunęła komputer bliżej, poprawiła okulary na nosie i usiłowała przypomnieć sobie, na czym skończyła. Ach, tak. Bezduszny właściciel kamienicy właśnie eksmitował młodą wdowę. *O rety, Houser, nie dało się jeszcze bardziej stereotypowo?* No cóż. Nie miała czasu, żeby całkowicie zmieniać fabułę. Tego ranka udało jej się napisać prawie dwa tysiące słów, ale zważywszy na to, jak ostatnio jej szło, może z pięćdziesiąt z nich warto będzie zachować.

Co ona sobie myślała, zgadzając się, żeby wydawca ustalił jej termin na pierwszego stycznia, kiedy była w środku przeprowadzki i remontu?! Już prawie październik!

– Dasz radę, Madeleine – wyśpiewała Janice swoim przebiegłym, redaktorskim tonem. – Jeśli uda nam się wprowadzić tę książkę do księgarń przed przyszłorocznym

Bożym Narodzeniem, pierwszy nakład sprzeda się w miesiąc. No, dawaj. Powiedz, że się uda. Fani Houser błagają o kolejną książkę.

Janice Hudson była od pół roku redaktorką Maddie. Bardzo się zaprzyjaźniły, ale teraz Maddie miała ochotę ją udusić.

Poprawiła zdanie, na końcu którego mrugał kursor, i zmusiła się do powrotu do dziewiętnastego wieku i niedoli swojej głównej bohaterki, Anne Caraway. Biedna Anne. Straciła ukochanego Williama i została wyrzucona z domu wraz z dzieciątkiem, o które musiała zadbać. A teraz Maddie zamierzała wyrzucić Anne Caraway na okrutne ulice Chicago. To zmora wszystkich pisarzy – muszą sprawiać, że ich ukochani bohaterowie cierpią. Wrzucają ich do pieca i dokładają do ognia. Ale bez konfliktu nie ma dobrej historii, a konflikt często oznacza smutek. Tak więc Anne i mały Charlie muszą iść na ulicę. Maddie stuknęła w klawiaturę jak szalona.

Ciche echo kapiącej wody zaburzyło jej koncentrację. Podniosła wzrok znad laptopa i przekrzywiła głowę, nasłuchując. Czy to deszcz? Nie wiadomo, bo okna pokoju zakryte były ciężkimi zasłonami. Będzie musiała je wyrzucić. Ale najpierw musi skończyć książkę. Strząsając z siebie ochotę, by wyjść na zewnątrz i sprawdzić, wróciła do klawiatury. Napisała dwadzieścia słów, zanim *kap, kap, kap* stało się nie do zniesienia.

Odsunęła krzesło i przeszła przez labirynt kartonowych pudeł. Dźwięk dochodził chyba z kuchni, ale tam raczej nic nie ciekło. Omijając stołki do piłowania drewna, pozostawione przez robotników, podeszła do drzwi prowadzących do piwnicy. Piwnice miały to do siebie, że przyprawiły ją o dreszcz, ale na prerii w Kansas – na ścieżce często uczęszczanej przez tornada – trudno było napotkać dom, który by takowej nie miał. Maddie ulżyło, kiedy okazało się, że należąca do Kate i Jeda willa w stylu Tudorów miała tylko małą piwniczkę wielkości szafy.

Było w niej wystarczająco dużo miejsca, by stała się schronem przed szalejącym cyklonem, ale nie dość dużo, by w jej niezliczonych zakamarkach mogło się chować... cokolwiek, co mogłoby wystraszyć Maddie.

Otworzyła drzwi... i westchnęła. Drewniane deski u stóp schodów błyszczały od wilgoci, a z drugiego końca piwnicy dochodził niemożliwy do pomylenia odgłos wody kapiącej do większej ilości wody. Nad schodami wisiała naga żarówka. *Kurczę pieczone!* Przewód połączony ze sznurkiem włącznika był przewieszony przez poszarpaną belkę pod sufitem.

Maddie zrobiła krok do przodu, zatrzymując się z jedną nogą na najwyższym stopniu, a drugą na cienkiej półce, która biegła wzdłuż klatki schodowej. Chwyciła gałkę drzwi, żeby się podeprzeć i zsunęła się po półce, usiłując na ślepo dosięgnąć sznurka.

Półka zaczęła się chwiać. Wyciągnęła rękę po coś, żeby złapać równowagę, ale niestety jej dłoń odnalazła tylko drzwi, które zatrzasnęły się za nią.

Na schodach zrobiło się ciemno. Jakimś cudem, gdy następny raz machnęła na ślepo, odnalazła sznurek. Ale więcej cudów nie było. Kiedy pociągnęła za łańcuszek, światło zamrugało, a potem zaiskrzyło. Usłyszała złowieszczy dźwięk wskazujący na to, że w całym domu wysiadł prąd.

Czy pamiętała, żeby zapisać zmiany w swoim tekście? Stary laptop nie pociągnie długo na baterii; wyłączy się, zanim zadziała automatyczne zapisywanie zmian. Poczowała, że się zsuwa i krzyknęła, gdy uderzyła o stopień. Mocno. Przeszył ją ostry ból w lewej kostce i spadła ze stopni na sam dół.

Kiedy klatka schodowa przestała wirować, zaczęła się z powrotem do kuchni i stanęła ostrożnie na nogi, sprawdzając ich wytrzymałość. *Auć!* Jej kostka zdążyła już spuchnąć do wielkości małego grejfruta.

Przemoczona i obolała, pokuśtykała do bezprzewodowego telefonu wiszącego na ścianie. Brak sygnału. A jej telefon komórkowy leżał na górze w pokoju gościnnym, podpięty do ładowarki. Na całe szczęście w jadalni był jeszcze telefon stacjonarny. Poszperała w szufladzie biurka i wygrzebała z niej książkę telefoniczną, w której odnalazła numer do swojej sąsiadki, Ginny Ross. Ginny odebrała po drugim sygnale.

– Ginny? Witaj, tu Madeleine Houser z domu obok. Czy działa u ciebie prąd?

– Tak. Przynajmniej tak mi się wydaje. Momencik...

Maddie usłyszała, jak otwierają się jakieś drzwiczki, a potem dźwięk przypominający dzwonek kuchenki mikrofalowej.

– Wszystko działa normalnie.

– Kurczę pieczone! Chyba wywaliłam kolejny bezpiecznik. I mam wodę w... *Auć!*

– Madeleine? Co się stało? Nic ci nie jest?

– W porządku... – Maddie wzdrygnęła się i usiadła na krześle przy biurku. – Spadłam ze schodów i skręciłam sobie kostkę.

– Przestraszyłaś mnie. Myślałam, że kopnął cię prąd.

Maddie zaśmiała się cierpko.

– Nie jest aż tak dramatycznie. Przepraszam, że cię niepokoję. Nie chciałam po prostu dzwonić do elektryka, gdyby okazało się, że to zwykła...

– Zaraz u ciebie będę.

Telefon ucichł, a Maddie siedziała i gapiała się na słuchawkę jeszcze przez kilka sekund, zanim zorientowała się, że Ginny mówiła poważnie. Maddie poznała swoją sąsiadkę zaledwie dwa tygodnie temu, ale już pokochała tę kobietę. Miała osiemdziesiąt cztery lata, od ćwierćwiecza była wdową i wydawała jej się uosobieniem słowa *dziarski*. Była tak niezależna, jak wiele trzydziestoparoletnich koleżanek Maddie z Nowego Jorku. Dobrze było mieć przy sobie mądrą, starszą kobietę, z którą można było porozmawiać, podczas gdy umysł jej mamy był wyniszczony przez chorobę Alzheimera.

– Hop, hop! – Z wiatrołapu dobiegł wesoły głos Ginny.

– Wejdz, proszę! Tylko patrz pod nogi!

Ginny wpadła do kuchni, lawirując pomiędzy stołami do cięcia drewna i drabinami.

– Coś ty sobie zrobiła? – Schyliła się i obejrzała kostkę Maddie. – Rety! Jesteś pewna, że to nie złamanie?

– Raczej nie. – Potarła skórę wokół opuchlizny.

Ginny przysunęła bliżej drugie krzesło i pomogła sąsiadce unieść stopę wyżej. Potem podeszła do zamrażarki i pogrzebała w niej, aż wydobyła paczkę mrożonego groszku.

– Proszę bardzo. – Owinęła mrożonkę ręcznikiem kuchennym i przyłożyła do kostki Maddie. Rozejrzała się po kuchni, ogarniając wzrokiem panujący w niej chaos. – Jak masz skończyć książkę w takim bałaganie?

Maddie nie mogła powstrzymać łez, które zbierały się w niej od tygodni i wreszcie postanowiły wypłynąć.

– Och, Ginny, mam już takie opóźnienie, że nie wyobrażam sobie, jak skończę na czas. A bez prądu kompletnie nic nie zrobię.

– Ależ oczywiście. – Ginny pokręciła głową ze współczuciem i ponownie rozglądnęła się po pomieszczeniu. – To niemożliwe. Pozwoliłabym ci pisać u mnie w domu, ale obawiam się, że przy uczniach, którym udzielam lekcji gry na fortepianie, ta rudera wydałaby ci się niebem na ziemi.

– Doceniam to, Ginny. – Maddie otarła łzę i zmusiła się do uśmiechu. – Ale to nie jest twój problem. Coś wymyślę. Może po prostu pójde do biblioteki...

– Żartujesz? Zebrałyby się wokół ciebie tłum gapiów zadreńczający cię pytaniami. – Ginny pstryknęła palcami i zwróciła się do Maddie z triumfalnym uśmiechem: – Znam idealne miejsce. Mój przyjaciel Arthur Tyler ma olbrzymi dom, który stoi całkiem pusty, odkąd umarła jego Annabeth. Prowadzili tam popularny pensjonat, zanim zdrowie Annabeth się pogorszyło. Teraz Arthur rzadko tam bywa i wiem, że nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli pojedziesz tam pisać. Pewnie i tak nie będziesz chciała nocować w tym miejscu, ale możesz wykorzystać jeden z pokoi jako gabinet. Arthur jest profesorem, wykłada w college’u. Ciągłe mówi, że chce już skończyć pracować, ale tego nie robi.

Maddie zawahała się.

– Gdzie jest ten dom, Ginny? – Cały pomysł sąsiadki sprawiał, że czuła się niezręcznie, ale musiała coś zrobić. Na pewno nie uda jej się skończyć książki tutaj.

– Kilka mil za miastem na wschód, przy Hampton Road. Piękne miejsce. Spokojne. Rodzice Annabeth prowadzili pensjonat przez wiele lat. Oczywiście nazwali go jej imieniem. Spędziliśmy tam z Groverem czterdziestą rocznicę ślubu. Trochę śmiesznie było nocować dwie mile od domu, ale podobało się nam. Było romantycznie... – Spojrzenie Ginny stało się odległe, a na jej policzki wstąpił delikatny rumieniec. – Pozwól, że zadzwonię do Arthura. A ty sprowadź tu hydraulika i elektryka. Resztę zostaw mnie.



Maddie stanęła w drzwiach pensjonatu i wzięła głęboki wdech. Światło słoneczne rzuciło szafranowe plamy na lśniące, drewniane podłogi, sprawiając, że zasłony i tapicerki rozblęły niczym klejnoty. Pomimo kontuzji kostki poczuła się lepiej, stojąc w przestronnym przedpokoju i zaglądając do schludnych pokoi pozbawionych kartonowych pudeł.

– Arthur powiedział, że masz się czuć jak u siebie. – Ginny wrzuciła klucze do przepastnej kieszeni swetra i przejechała dłonią po dębowej półce nad kominkiem. Opuszki jej palców zostawiły ślady na warstwie kurzu. Mlasnęła językiem i pokręciła głową. – Annabeth zawsze dbała o to, żeby było tu nieskazitelnie czysto. Nawet po tym, jak zachorowała. Biedny Arthur...

– Czy Annabeth była twoją przyjaciółką?

– Oj tak! Bardzo bliską. Zarówno ona, jak i Arthur. Jej śmierć była dla nas straszna.

Ginny wzięła do ręki ciężki, cynowy świecznik i wytarła z niego kurz swoim rękawem.

– To bardzo przykre.

Starsza kobieta przytaknęła, ale zaraz potem rezolutnie zadarła podbródek i uśmiechnęła się.

– Pokazałabym ci resztę domu, ale obawiam się, że twoja kostka nie byłaby zadowolona z wycieczki po klatce schodowej. Arthur powiedział, że możesz urządzić sobie gabinet do pracy w jednym z pokoi gościnnych. On sam mieszka na niższej kondygnacji i nie korzysta z całego domu, więc na pewno możesz się rozgościć tutaj, w pokoju dziennym, jeśli chcesz. Albo w tej sypialni.

Ginny otworzyła szerokie francuskie drzwi w salonie, za którymi ukazał się pięknie urządzony pokój gościnny, umeblowany staroangielskimi antykami.

– To jedyny pokój gościnny na piętrze. A jedyna łazienka jest tutaj. – Maddie wychyliła głowę i zobaczyła współczesną umywalkę na cokole tuż za drzwiami, które najwyraźniej zasłaniały wannę.

Ginny zamknęła pomieszczenie i zaprowadziła sąsiadkę przez szerokie łukowe drzwi do jadalni. Po lewej stronie otwarta klatka schodowa prowadziła w dół, do mieszkania, w którym, jak przypuszczała Maddie, mieszkał właściciel pensjonatu. Strome

schody uzbrojone były w dębową balustradę, a pośrodku jadalni, na orientalnym dywanie stał ogromny, okrągły, antyczny, dębowy stół. Ściany zdobiły staromodne tapety w odcieniu śliwki z błyszczącymi, złotymi detalami. Na przepięknym wiekowym bufecie stała srebrna zastawa do herbaty i kosze z herbatami i dżemami. Otwarte drzwi z tyłu prowadziły do małej kuchni, w której na półkach wystawione były naczynia, kosze i słoiki z przetworami.

– Jesteś pewna, że pan Tyler nie będzie miał nic przeciwko temu, że rozłożę się tutaj? – Maddie skinęła głową w stronę stołu.

– Tu będzie idealnie – zauważyła Ginny wyraźnie zadowolona z siebie. – Pójdę już, żebyś mogła zabrać się do pracy.

– Och, Ginny, tu *naprawdę* jest idealnie. Nie wiem, jak ci dziękować!

– Po prostu skończ tę książkę, kochana. – Ginny puściła do niej oko. – Zostały mi już tylko trzy rozdziały do końca ostatniej powieści Houser i potem zabraknie mi świeżego materiału do czytania.

Ginny wyszła przez frontowe drzwi i Maddie została sama w błogosławionej ciszy starego domu. Wyjęła laptopa z torby i położyła na stole, po czym ustawiła krzesło tak, aby mieć piękny widok przez łukowe drzwi do holu. Podpięła zasilacz do prądu i do komputera. Kiedy była już zadowolona z ułożenia, wyjęła torebkę z lunchem i pokuśtykała do kuchni, żeby ją odłożyć.

Wnętrze lodówki było puste, nie licząc puszek z napojami i opakowania mielonej kawy. Maddie położyła lunch na środkowej półce z dziwnym uczuciem, jakby nie była do tego upoważniona. Ale Ginny powiedziała, że Arthur Tyler nalegał, by się rozgościła i do woli korzystała również z kuchni.

Wyrzuciła wilgotny, zużyty filtr z ekspresu do kawy i znalazła świeży w szufladzie pod blatem. Kiedy napój się parzył, Maddie wróciła do jadalni, żeby skończyć rozkładać swój pisarski warsztat. Wyładowała rzeczy z torby, kładąc słownik i kilka książek po lewej stronie, a notatnik z piórem po prawej.

Wsunęła do laptopa płytę z muzyką Mozarta. Klasyczne dźwięki wypełniły pokój. Maddie odetchnęła głęboko, rozsiadając się w wyściełanym brokatową tkaniną krześle, następnie zdjęła buty i ułożyła opuchniętą stopę na krześle obok. Ponadczasowa melodia, zapach świeżej kawy i wiktoriańskie wnętrza przeniosły ją w przeszłość. A kiedy położyła dłonie na klawiaturze, słowa wypłynęły spod jej palców z łatwością, której nie doświadczała od miesięcy. *Nie znam cię, Arthurze Tyler, ale niech ci Bóg błogosławi za twoje hojne leciwe serce.*

Maddie pisała przez następne dwie godziny, wstając tylko po to, żeby dolać sobie kawy. Fabuła śmiało posuwała się naprzód, kiedy grzeczne *miau* sprawiło, że spojrzała znad ekranu.

Ogromny, szaro-biały kocur wetknął głowę między belki balustrady i gapił się na nią. Pokonał kilka ostatnich stopni i dostojnie podszedł do Maddie. Niespiesznie wyprężył grzbiet, ocierając się o jej kostkę, po czym przysiadł na jej prawej stopie.

Kobieta zdjęła okulary i odłożyła je na stół.

– Witaj, kocie. – Wyciągnęła dłoń, żeby pogłaskać jego lwi łeb. – Nic mi o tobie nie powiedzieli.

Zwierzę zamruczało w odpowiedzi i przysunęło się bliżej Maddie. Choć w domu nie było tak chłodno, jak można by się tego spodziewać po wiktoriańskiej architekturze i wysokich sufitach, ciepło kota było bardzo przyjemne. Stary zegar na ścianie nad klatką schodową tykał w uspokajającym rytmie, a ona pisała przez kolejną godzinę, podczas gdy zwierzak drzemał.

Słumiony kurant zegara i burczenie w brzuchu wyrwały Maddie ze świata Anne Caraway i przywróciły do teraźniejszości. Przebierając palcami i zdejmując lewą stopę z siedzenia krzesła, szturchnęła puszystego gościa.

– Przepraszam, kocurku, ale muszę wstać i trochę rozprostować kości.

Kot ziewnął, przeciągnął się cicho i przyjaźnie miauknął, po czym podążył za nią do kuchni. Maddie wyjęła lunch z lodówki i zjadła go, opierając się o kuchenny blat i wciąż myśląc o swojej historii. Choć jej kostka pulsowała, dobrze było wstać i nieco się rozciągnąć. Kiedy skończyła kanapkę, napełniła zlew ciepłą wodą z pianą i pozmywała naczynia, układając je na staromodnej drucianej suszarce. Zapomniała już, jaka to przyjemność krzątać się po urządzonej kuchni, więc poświęciła jeszcze kilka minut na to, by ją wysprzątać, zanim wróciła do komputera.

Jej koci przyjaciel gdzieś przepadł. Wybrzmiał kurant zegara, oznajmiający, że upłynęło kolejne pół godziny, i kiedy Maddie uniosła wzrok, zdziwiła się, że była już druga trzydzieści. Sprawdziła statystykę wyrazów i uradowała się, gdy zobaczyła, że udało jej się napisać prawie trzy tysiące słów. Jeszcze kilka takich dni i zacznie wierzyć, że uda jej się zdążyć w terminie. Zapisała plik, zamknęła laptopa i zaczęła zbierać swoje rzeczy. Zanim wyszła, napisała liścik do właściciela pensjonatu.

*Szanowny Panie,*

*bardzo dziękuję za umożliwienie mi pracy w Pańskim uroczym domu. To był*

*nadzwyczaj spokojny dzień i udało mi się osiągnąć o wiele więcej, niż się spodziewałam. Bardzo doceniam Pańską szczodrość i jeśli jest Pan pewien, że to nie kłopot, chętnie przyjadę również jutro.*

*Madeleine Houser*

*PS Pański kot to wspaniały towarzysz. Zadbał o to, żeby podczas pracy nie marzły mi stopy. Jak on się wabi? Bo to „on”, prawda?*

\*

Następnego ranka hydraulik i elektryk zjawili się na progu punktualnie o ósmej. Maddie zostawiła im wskazówki, po czym spakowała laptopa i książki do swojej mazdy i pojechała osiem przecznic dalej do domu opieki, żeby odwiedzić mamę przed kolejnym dniem pracy w pensjonacie.

Kiedy weszła, przywitała ją pielęgniarka w recepcji.

– Pani jest córką Mildred Houser, prawda?

Maddie przytaknęła.

– Jak ona się dziś czuje?

– Tak samo jak zwykle, jak sędzę. – Pielęgniarka posłała jej bardzo wymowne spojrzenie.

Maddie udała się w mozolny marsz korytarzem. Jej matka siedziała krzywo na krześle w swoim pokoju, patrząc za okno pustym wzrokiem, którym Maddie zaczynała gardzić. Było to dla niej uderzające, że kobieta wyglądała starzej i o wiele słabiej w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat niż Ginny w wieku osiemdziesięciu czterech.

– Dzień dobry, mamó. – Wzięła jej chudą dłoń w swoją.

Żadnej odpowiedzi.

– Masz zimne ręce. Może chcesz sweter? – Nie patrząc na Maddie, jej matka wyciągnęła dłoń przed siebie i ruchem przypominającym machanie skrzydła ptaka potarła coś niewidzialnego na szybie okiennej.

– Jest piękny dzień, mamó. Wrzesień już się kończy. Może dziś wieczorem pójdziemy na spacer, gdy wrócę.

Mogłaby równie dobrze mówić do ściany. Westchnęła, podeszła do szafy i wyjęła

z niej cienki sweter. Kiedy zaczęła zamykać przesuwane drzwi, zauważyła coś opartego o ścianę w odległym kącie szafy – kilka starych lasek, które razem z Kate kupiły dla mamy, gdy zaczęła tracić równowagę. Pod wpływem chwili Maddie sięgnęła po jedną z nich i wypróbowała ją. Znacznie zmniejszyła ucisk w kostce.

– Pożyczę ją sobie na kilka dni, mamó. Dobrze?

Brak odpowiedzi. Zamknęła drzwi szafy i podeszła okryć ramiona mamy swetrem. Pogłaskała jej drobną dłoń.

– Muszę już lecieć, ale przyjadę jeszcze dziś przed kolacją.

Matka odwróciła głowę od okna i popatrzyła na laskę, i w górę, na twarz córki. Przez moment Maddie wydawało się, że widzi w jej wilgotnych oczach błysk świadomości. Ale znikł tak szybko, jak się pojawił, pozostawiając Maddie ze znajomym, tępym bólem w sercu. *Och, mamó. Tak bardzo za tobą tęsknię.*

\*

Maddie przyjechała do pensjonatu przed dziewiątą. Wcześniej nie zauważyła, w jak pięknym otoczeniu znajdował się ten uroczy dom. Osłonięty pasem żółtnicy pomarańczowej od wschodu i skupiskiem topoli od południa, dwupiętrowy budynek stał niczym wartownik na kansaskiej równinie. Od drzew i krzewów ustrojonych w kolory wczesnej jesieni bił wrześnieowy chłód, ale różowe i herbaciane róże wciąż kwitły, wspinając się po treliazu przed wejściem.

Wysiadła z samochodu i wzięła głęboki wdech wiejskiego powietrza. Usiłując skorzystać z laski mamy, przewiesiła sobie torbę z laptopem i torebkę przez ramię i wetknęła pod pachę paczuszkę z lunchem. Chwiejnym krokiem weszła po schodach na szeroką, otaczającą cały dom werandę, znalazła klucz w skrzynce na listy obok drzwi i weszła do środka.

Na stole w jadalni znalazła liścik napisany schludnym, męskim pismem na rewersie wiadomości, którą sama zostawiła poprzedniego dnia.

*Szanowna Pani,*

*bardzo się cieszę, że miło spędziła Pani tutaj czas. Przepraszam za kurz i pajęczyny. Pensjonat jest trochę zaniedbany od czasu śmierci mojej żony, ale niezmiernie mi miło, że Pani z niego korzysta. Proszę przychodzić tu tak długo, jak tylko Pani zechce.*

*Dziękuję też za pozmywanie naczyń. Bardzo przepraszam, że zostawiłem w kuchni taki bałagan. Rzadko miewam gości w dni powszednie, ale wynająłem jeden z pokoi w nocy z wtorku na środę i nie zdążyłem posprzątać przed wyjściem na zajęcia na ósmą*

*rano. Postaram się lepiej spisywać w przyszłości.*

*Arthur Tyler*

*PS Kot wabi się Alex. I tak, to jest „on”. Mam nadzieję, że nie zachowuje się jak wstrętny szkodnik. Jak Pani pewnie już zauważyła, nie ma pazurów, więc lepiej nie wypuszczać go zbyt daleko na zewnątrz, ale proszę się nie krępować i wygonić go na dół, jeśli jednak okaże się wstrętnym szkodnikiem. Ginny powiedziała mi, że ma Pani niezwykle nagłący termin, więc nie wybaczyłbym sobie, gdybym chociażby pośredniczył w uniemożliwieniu Pani jego dotrzymania. (Przyznaję, że nie czytałem jeszcze żadnej z Pani księzek, ale jeżeli Ginny postawi na swoim, to zapewne wkrótce się to zmieni).*

Maddie uśmiechnęła się, chowając liścik do torby na laptopa. Jakież z tego pana uroczy starszy dżentelmen! Ginny mówiła jej, że Arthur Tyler jest emerytem, ale wciąż wykładał język angielski w college’u w Wichicie. Zastanawiała się, czy napisał tak długą wiadomość dlatego, że był profesorem angielskiego, czy dlatego, że był samotny. Pewnie jedno i drugie.

Ustawiła laptopa i włączyła ekspres do kawy. W czasie gdy napój się parzył, wysprzątała kuchnię. Pod zlewem znalazła ścierkę i płyn do polerowania mebli, więc wyczyściła stół i bufet w jadalni. Nie znosiła sprzętać swojego domu, ale tu było inaczej. Poza tym przynajmniej tyle mogła zrobić, jeśli właściciel nie chciał od niej zapłaty za czas, który tu spędzała.

Kiedy ponętny aromat kawy irish cream wypełnił jej nozdrza, Maddie wlała ją do dużego kubka i postawiła obok laptopa. Ale zanim otworzyła plik ze swoją powieścią, napisała piórem kolejny list do pana Tylera.

*Szanowny Panie,*

*Alex w ogóle nie zachowuje się jak wstrętny szkodnik! Naprawdę bardzo się cieszę jego towarzystwem. Kiedyś sama miałam kota, jako mała dziewczynka, ale odkąd zaczęłam pisać, nie mam czasu zajmować się zwierzętami. Proszę ani chwili dłużej nie przejmować się kurzem i pajęczynami. Nawet ich nie zauważyłam.*

Przeczytała jeszcze raz ostatnią linijkę. To nie do końca prawda. Skreśliła ją i poprawiła na: „Ledwie je dostrzegłam”. Podpisała list, po czym ułożyła palce na klawiaturze i szczęśliwa zanurzyła się w świecie Anne Caraway.

Arthur Tyler zaparkował na podjeździe i westchnął głęboko. Przyjaźnie wyglądający szyld przed domem mówił: „Witamy w *Pensjonacie u Annabeth*”, ale dla niego to nigdy nie będzie już przyjazne miejsce. Nie bez jego ukochanej Annie.

Jeśli tak się czuł mając trzydzieści dziewięć lat, nie mógł sobie wyobrazić, że dożyje tak podeszłego wieku jak Ginny. Pani Ross była przede wszystkim przyjaciółką Annie, ale kiedy rak wyssał z Annabeth jej młode życie, starsza kobieta wzięła Arta pod swoje skrzydła. Jakby za sprawą konspiracji obu kobiet, przyjaźń Ginny przeniosła się na niego. To był ostatni dar, jaki dostał od Annie i był za niego wdzięczny.

Annie odeszła już dwa i pół roku temu. Czasami wydawało mu się to całą wiecznością i usiłował sobie przypomnieć dźwięk jej głosu, dotyk jej skóry pod swoimi palcami. Bywały jednak takie momenty, kiedy wydawało mu się, że w każdej chwili może wejść po schodach z tym swoim chochlikowym uśmiechem i blaskiem w oczach, który mówił, jak bardzo go kochała.

Zaparkował przed garażem, zamknął drzwi pick-upa i obszedł podjazd, żeby dostać się do skrzynki na listy. Pierwszy dzień października przywiał chłodny wiatr, więc Art postawił kołnierz kurtki. Otworzył półokrągłe drzwiczki skrzynki. Same śmieci. Kilka świątecznych katalogów oraz rachunek za gaz, który będzie oburzająco wysoki, a w przyszłym miesiącu jeszcze wyższy, bo teraz zostawiał ogrzewanie włączone również w ciągu dnia, na czas pobytu autorki – przyjaciółki Ginny. Ale cóż to za różnica? I tak nie miał na co wydawać pieniędzy.

„Zatrzymajcie się i we Mnie uznajcie Boga” [1]. Te słowa przepłynęły przez jego umysł, karcąc go za jego postawę.

– Wybacz, Boże – szepnął, a zwirowy podjazd chrząknął pod jego stopami.

Obszedł dom i przekręcił klucz w bocznych drzwiach prowadzących do dolnego mieszkania. Wszedł do pustego foyer. Ciche *tup, tup, tup* na schodach wywołało lekki uśmiech na jego twarzy. Alex. Jeszcze jeden dar od Annie.

Nie znosił kotów – a przynajmniej tak mu się wydawało – dopóki ten parszywy włóczęga przygarnięty przez Annie nie wdarł się prosto do jego serca. Teraz zwierzak witał go komiczną mieszaniną mruczenia z miauczeniem, wyprężył grzbiet i otarł się mocno o nogi Arta.

– Cześć, Alex. Co na kolację? – Art podrapał kota po podbródku.

Położył pocztę na blacie w aneksie kuchennym i powiesił kurtkę w szafie w sypialni. Alex dreptał za nim, kiedy wchodził po schodach do pensjonatu, żeby upewnić się, że przyjaciółka Ginny zamknęła za sobą drzwi na klucz i wyłączyła ekspres do kawy. Cieszył się, że jego dom służył jej za miejsce ucieczki. Annie byłaby przeszczęśliwa, gdyby wiedziała, że w ich gniazdku przebywa prawdziwa pisarka – i tutaj tworzy.

Annie przeczytała wszystkie książki Madeleine Houser. Zadbła o to Ginny, podarowując jej najnowsze powieści pod choinkę.

On nigdy nie zwracał na nie większej uwagi, sam bowiem wolał klasykę. Uczył o Tolstoj, Dostojewskim, Dickensie i Jane Austen podczas wykładów na uczelni. I robił to z pasją. Zawsze też droczył się z Annie o czytane przez nią babskie romansidła. Założył, że takie właśnie powieści pisała Madeleine Houser, chociaż nie mieściło mu się w głowie, jak ktoś w wieku Ginny mógł w ogóle pamiętać, co to romans. Uśmiechnął się cierpko. *I kto to mówi, Tyler? A ty pamiętasz?*

Och, ależ tak. I w tym cały problem. Zmiotł te wspomnienia, jakby były pajęczynami.

Kiedy wszedł po schodach do jadalni pensjonatu, jego wzrok spoczął na czymś leżącym pod stołem. Przyjrzał się temu bliżej – była to gładka drewniana laska z rzeźbioną rączką. Najwyraźniej autorka upuściła ją i nie mogła dosięgnąć jej pod stołem. Ciekawe, że o niej nie wspomniała. Wyobraził sobie starszą panią idącą bez laski chwiejnym krokiem po schodach werandy i przeszedł go dreszcz. Ostatnią rzeczą, jaka była mu potrzebna był pozew do sądu. Ale gdy rozejrzał się po pokoju, zauważył, że meble błyszczą się w zachodzącym słońcu. Wielki powrót ścierki Madeleine Houser.

Kobieta przychodziła do pensjonatu już cztery dni z rzędu i za każdym razem Arthur wracał do czystszej domu niż poprzedniego dnia. Na pewno nie była *aż tak* niedołączna.

Na stole spostrzegł kartkę papieru zapełnioną znajomym pismem. Weszło im już w nawyk pisywanie liścików, w których ustalali szczegóły swojej umowy. Artowi nawet podobała się ta krótka wymiana korespondencji. Ha! Ciekawe, co o nim mówiło to, że czerpał przyjemność z wymiany liścików ze starszą panią, której nawet nie widział na oczy?

Podniósł kartkę i przeczytał.

*Szanowny Panie,*

*jeszcze raz dziękuję, że otworzył Pan przede mną swój dom. Hydraulik już uporał się z problemem cieknącej wody, ale prace nad instalacją elektryczną przeciągają się,*



*a fachowiec, który miał położyć dziś podłogi, powiedział, że ma tygodniowe opóźnienie w innych zleceniach. Bardzo przepraszam. Naprawdę nie mam zamiaru zamęczać Pana moimi problemami. Wspominam o nich tylko, żeby wyjaśnić, dlaczego wciąż korzystam z Pana gościnności. Bardzo proszę – jeżeli stanie się to uciążliwe, mam nadzieję, że mi Pan o tym powie. Mogę pisać w bibliotece, jeśli Panu przeszkadza.*

*Nie chcę być wścibska, ale zauważyłam też, że Alex był dziś nieco przygaszony. Czy Pan też to zauważył? Nie widziałam go całe popołudnie. Mam nadzieję, że nic mu nie jest. Bardzo polubiłam mojego małego podgrzewacza.*

*Jeszcze raz dziękuję*

*Madeleine Houser*

Arthur odłożył list i schylił się, by podnieść Alexa.

– Dobrze się czujesz, kolego? – Kot wyglądał na całkowicie zdrowego, mrużąc w jego ramionach. Art podrapał go porządnie po podbródku. – Może pani Houser nie zdaje sobie sprawy, jaki z ciebie staruszek.

Odłożył Alexa na podłogę i usiadł przy stole, żeby odpowiedzieć na list. Odwrócił kartkę od Madeleine Houser i napisał:

*Droga Pani,*

*po pierwsze, proszę mnie już nie przepraszać. Jestem zachwycony, że Pani tu przebywa, zwłaszcza dlatego, że każdego wieczora, gdy wracam do domu, w zlewie jest mniej brudnych naczyń, a w pokoju więcej wypolerowanych mebli. Usługi sprzątające na pewno nie były częścią naszej umowy, ale muszę przyznać, że nie chcę zbyt głośno narzekać. Mówiąc poważnie – doceniam Pani pomoc w porządkach bardziej, niż może to sobie Pani wyobrazić.*

*Po drugie, proszę mówić mi po imieniu. Słyszę panie Tyler sto razy dziennie z ust studentów i chociaż nigdy nie poznałem Pani osobiście, bardzo chciałbym, żebyśmy zwracali się do siebie po imieniu.*

*Po trzecie, jak Pani już pewnie zauważyła, zostawiła Pani dziś tutaj swoją laskę. Znalazłem ją pod stołem i odłożyłem w kuchni. Mam nadzieję, że nie brakowało jej Pani zbyt długo.*

*I ostatnia sprawa: jeśli chodzi o Alexa, będę miał na niego oko, ale nie zauważyłem nic dziwnego. To potworny leń, a poza tym posuwa się w latach – jak my wszyscy zresztą. Ale dziękuję za troskę. Przekażę mu, że Pani o niego pytała.*

Uśmiechnął się na ten mały żart, nabazgrał przy nim wesołą buźkę i podpisał się imieniem. Miał nadzieję, że starsza pani czerpie tyle samo radości z tej wymiany listów, co i on.

Zszedł z powrotem do swojego mieszkania już lżejszym krokiem. Musiał zrobić sobie kanapkę i ocenić eseje, które oddali mu studenci angielskiego.

Pod koniec następnego tygodnia Maddie popadła już w wygodną rutynę. Przed wyjściem z domu konsultowała prace z robotnikami, wpadała z szybką wizytą do domu opieki i zazwyczaj siadała w swoim prowizorycznym biurze w jadalni pensjonatu o dziewiątej rano.

W piątkowy poranek wpuściła elektryka, a następnie wyszła obładowana paczkami do wysłania. Jakimś cudem miała też przy sobie kolejne dziesięć rozdziałów, które zamierzała przesłać Peggy Barton, korektorce jej pierwszych szkiców. Redaktorzy nie oczekiwali, że złoży do wydawnictwa idealny tekst, jednak Maddie wzdrygała się na samą myśl o tym, że profesjonalni redaktorzy mieliby oglądać pierwsze wersje jej tekstów. Zawsze zatrudniała więc kogoś, aby przeczytał i poprawił jej prace, zanim wysłała je do wydawnictwa.

Kate poprosiła też Maddie, żeby przekazała jej kilka rzeczy ze schowka, więc miała ze sobą dodatkowo trzy pudła gotowe do wysyłki do siostry.

Zaparkowała przed uroczym budynkiem poczty i obeszła samochód, by zabrać rzeczy z siedzenia pasażera. Chociaż wciąż wolała swoją lewą nogę, jej kostka miała się o wiele lepiej i Maddie oddała mamie laskę dzień po tym, jak zabrała ją z pensjonatu. Ułożyła paczki w stos, podniosła je i zamknęła drzwi samochodu, popychając je biodrem, po czym poszła wzdłuż chodnika.

Kiedy podeszła do podwójnych drzwi, wyszedł z nich jakiś ciemnowłosy mężczyzna i przytrzymał je dla niej.

– Bardzo dziękuję. – Uśmiechnęła się do niego znad wieży paczek.

– Żaden problem. – Uśmiech, jakim ją obdarzył, wywołał coś dziwnego w jej wnętrzu.

*Zapomnij, Houser* – ostrzegła samą siebie, zerkając na odbicie odchodzącego mężczyzny w szklanej szybie. *Pewnie jest żonaty. A poza tym postanowiłaś zrezygnować z facetów, zapomniałaś?*

Nieznajomy przywitał się serdecznie z jednym stałym klientem, a potem zatrzymał się na chodniku, żeby porozmawiać z jakimś starszym małżeństwem. Ach, to małomiasteczkowe życie. Clayburn było chyba jednym z ostatnich miast w Ameryce, w którym nie funkcjonowało dostarczanie przesyłek do domu, więc poczta była tu ważnym miejscem spotkań dla lokalnej społeczności. Podobało jej się to, że wszyscy się tutaj znali. W Nowym Jorku nikt nie kłopotał się na tyle, by wymienić z sąsiadami coś

więcej niż grzeczne skinienia głowy.

Oddała paczki do wysyłki, odebrała pocztę z trzech dni i odjechała w stronę *Pensjonatu u Annabeth*. Po dwóch tygodniach codziennego pisania w tym miejscu parkowanie na podjeździe wydawało się jak powrót do domu. Nie była przekonana, czy uda jej się pisać w willi przy Harper Street, kiedy będzie już nadawała się do zamieszkania. Zaczynała żałować swoich modlitw o to, żeby hydraulik i elektryk pospieszyli się ze swoją pracą.

Zaniosła rzeczy do domu, rozłożyła laptopa na stole w jadalni, po czym przejrzała listy. Zaproszenie na ślub i dwie kartki oznajmiające narodziny dzieci. *Wspaniale*. Chyba wszystkie jej koleżanki z Nowego Jorku albo wychodziły za mąż, albo zostawały mamami. Pobyt w Kansas przynajmniej dawał dobrą wymówkę do unikania tych imprez, które tylko przypominały jej o tym, że była sama.

Odepchnęła tę myśl i szybko nastawiła ekspres, a następnie chwyciła ścierkę do kurzu. Przez cały czas przygrywał jej Mozart. Zapach świeżej kawy wdarł się do salonu, w którym właśnie sprzątała, i poprawił jej nastrój. Odłożyła ścierkę, napełniła wielki kubek i wzięła się do pracy nad powieścią.

Kiedy zegar wybił jedenastą trzydzieści, Maddie mogła się pochwalić dwoma tysiącami słów i poskarżyć na sztywny kręgosłup. Zapisała zmiany w pliku i wstała, żeby się rozciągnąć. Jej wzrok powędrował w kierunku zdobionej klatki schodowej na końcu holu, prowadzącej do pokoi gościnnych na piętrze. Korciło ją, żeby zwiedzić resztę domu, ale bała się wspinać po schodach ze skrzyżowaną kostką. Ostrożnie pokręciła stopą na różne strony i schyliła się, żeby ją potrzeć. Opuchlizna już prawie całkowicie zeszła i ból już nie doskwierał.

Przez te dwa tygodnie zdążyła dwa razy odkurzyć wszystkie meble na parterze. Może nadszedł już czas na to, żeby zobaczyć, w jakim stanie było pierwsze piętro?

Pokryte grubym dywanem schody zaskrzypiały pod jej ciężarem, a Maddie poczuła się dziwnie winna, jakby się zakradała. Ale pan Tyler powiedział, że może korzystać z dowolnego pokoju w domu, więc na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, że się rozejrzy.

Była w połowie drogi, kiedy ciszę przerwał dzwonek do drzwi i sprawił, że serce załomotało jej w piersi. Zeszła cicho z powrotem i zerknęła przez zasłonę w oknie frontowego wejścia. Na podjeździe zobaczyła volkswagena Ginny Ross, a ona sama stała na werandzie.

Maddie otworzyła drzwi, czując się jak dziecko szperające w poszukiwaniu prezentów.

Ginny wyciągnęła rękę z białą torbą, na której Maddie dostrzegła złote „M” z logo *McDonalda*.

– Mam nadzieję, że jeszcze nie jadłaś lunchu. Kupiłam cheeseburgery.

– Niech ci Bóg wynagrodzi! Chodźmy zjeść. Nawet o tym nie myślałam, ale rzeczywiście umieram z głodu, a przywiozłam sobie tylko masło orzechowe.

– Nie mogę zostać na długo. Masz dużo pracy, a mój uczeń przychodzi wcześniej na lekcję fortepianu.

Maddie zaprowadziła ją do jadalni. Przesunęła książki i papiery na jedną stronę stołu, podczas gdy Ginny rozpakowała torebkę i wyjęła z niej dwa tłuste burgery owinięte w papier i duże frytki. Smakowity zapach wdarł się do nosa Maddie i sprawił, że jej żołądek zaburczał w proteście. Poszła do kuchni po serwetki i szklanki z wodą i lodem, z wdzięcznością odkładając swoją starą, zaschniętą kanapkę.

Maddie dosiadła się do Ginny, a starsza pani pochyliła głowę i pomodliła się przed posiłkiem, kończąc słowami:

– I proszę, pomóż Madeleine dotrzymać terminu.

– Dziękuję, Ginny – powiedziała, głęboko wzruszona.

– No i jak ci idzie praca nad książką?

– Bardzo dobrze, mam wrażenie. Czasami trudno mi powiedzieć. Nie potrafię być obiektywna, bo za mocno przywiązuję się do swojej pracy. Ale jestem przekonana, że gdyby nie to wspaniałe miejsce, które dla mnie znalazłaś, posuwałabym się naprzód dość kulawo.

Ginny skinęła głową.

– À propos, twoja kostka wygląda o wiele lepiej – zauważyła.

– Jest mi o wiele lepiej, dziękuję.

– A jak tam dom twojej siostry? Robotnicy robią postępy?

– Powoli, ale robią – odparła Maddie z ustami pełnymi cheeseburgera. Połknęła i otarła kropelkę keczupu z kącika ust. – Szczerze powiedziawszy, Ginny, trochę obawiam się dnia, w którym skończą.

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo wtedy nie będę już miała wymówki, żeby przyjeżdżać do tego cudownego domu. Jest w nim coś... wyjątkowego. – Otrząsnęła się. – Ale wiem, że narzucam się panu Tylerowi, i nie chcę nadużywać jego gościnności.

– Nonsens – zaprotestowała Ginny. – Jesteś tu bardzo mile widziana. Jeszcze wczoraj Arthur mówił mi, jak dbasz o czystość. To chyba on ma poczucie winy.

– To nic takiego, naprawdę. Czasami trochę pozamiatam i wytrę kurze z rana, gdy czekam, aż zaparzy się kawa.

– Arthur przedstawił to inaczej. Mówił, że to o wiele więcej. Prosił, żebym ci przekazała, że możesz przyjeżdżać tu przez tyle tygodni, na ile masz ochotę.

– Pan Tyler musi być przemiłym człowiekiem. Chciałabym go kiedyś poznać i podziękować mu osobiście.

W oczach Ginny rozblęskło coś dziwnego.

– Cóż, może w najbliższym czasie zaaranżujemy jakieś spotkanie.

Gdy Maddie przyglądała się sąsiadce, nagle uderzyła ją myśl, że być może Ginny Ross i Arthura Tylera łączy coś więcej niż zwykła przyjaźń. Jakież to byłoby cudowne, gdyby żywiłowa staruszka miała romans. Nigdy nie zastanawiała się dogłębnie nad życiem miłosnym osiemdziesięciolatków, ale poznała Ginny już na tyle dobrze, że potrafiła sobie to doskonale wyobrazić. A gdyby Ginny – w wieku ponad osiemdziesięciu lat – udało się znowu odnaleźć miłość, może dla Madeleine Houser również była jakaś nadzieja.

Odegnęła tę myśl, gdy tylko zaświtała jej w głowie. Pięć lat temu, po tym, jak Rob Clevenger z nią zerwał, zdecydowała raz na zawsze, że romanse przynoszą o wiele więcej szkody niż pożytku.

Niestety Rob nie był pierwszym mężczyzną, który złamał jej serce. Najwyraźniej małżeństwo nie było tym, co przewidział dla niej Bóg. Pobłogosławił jej na wiele innych sposobów – na przykład ciepłą relacją, jaką miała ze swoją siostrą i dwiema siostrzenicami. Udaną karierą pisarską i możliwością podróżowania po całym świecie. A teraz również przyjaźnią Ginny.

Nie. Powinna być zadowolona i czuć się spełniona właśnie poprzez to wszystko. Poza tym musiała teraz zadbać o mamę. Nie miała czasu na randki.

– Nie sądzisz, Madeleine? – Głos Ginny wyrwał ją z zamyślenia.

Miała w sobie dość przyzwoitości, by się zarumienić.

– Przepraszam, Ginny, odpłynęłam myślami. Co mówiłaś?

Jej sąsiadka oparła się na krzesło i przyglądała się jej przez chwilę.

– Zastanawiałam się, czy nie byłoby lepiej dla Arthura, gdyby sprzedał ten dom. Ten pensjonat.

– Na pewno ma mnóstwo roboty z jego utrzymaniem.

– Och, ale nie o to chodzi. Chodzi o Annabeth. Na pewno wiąże z tym miejscem wiele wspomnień. Mieszkali tutaj przez całe swoje małżeństwo, wiesz?

– Nie wiedziałam.

– No cóż, ja uważam, że powinien zamknąć ten rozdział i żyć dalej. Ma przed sobą jeszcze wiele lat, a marnuje je na usychanie z tęsknoty za nią. Była wspaniałą kobietą – cudowną przyjaciółką – ale odeszła i on musi się z tym pogodzić.

Maddie uśmiechnęła się do siebie. Zastanawiała się, czy Ginny zdawała sobie sprawę z tego, jak przejrzyste są jej zamiary.

Kiedy Ginny wyszła, Maddie rozmyślała nad tym wszystkim, co starsza pani jej powiedziała, i w jej umyśle zaczął kiełkować pewien pomysł. Może gdyby Maddie spotkała się z Arthurem Tylerem – i nieco lepiej go poznała – mogłaby rozruszać sprawy pomiędzy nim i Ginny Ross. Jeśli pan Tyler był tak ograniczony w sprawie randkowania, jak mężczyźni, z którymi ona się spotykała, prawdopodobnie nie miał pojęcia, jakie uczucia żywi do niego Ginny.

Hmmm... Może znalazła właśnie załączek nowej powieści. W jej umyśle wirowały fantastyczne możliwości, które przeplatały się z historią Anne Caraway.

Nawet nie podnosiła wzroku znad ekranu, dopóki jej koncentracji nie zmaćcił odległy dźwięk silnika kosiarki. Odsunęła krzesło i poszła wyjrzeć przez okno w salonie. Krzepki nastolatek, z krótko przystrzyżonymi włosami i w workowatej bluzie, pchał kosiarkę w tę i z powrotem po trawniku przed domem. Maddie przypomniała sobie, że pan Tyler wspominał w jednym z listów, że w piątki na podwórku będzie pracował jakiś licealista.

Wróciła do klawiatury i pisała płynnie, aż zegar w przedpokoju wybił czwartą. Spakowała swoje rzeczy i napisała krótki liścik do pana Tylera. Wciąż czuła się niezręcznie, zwracając się do starszego mężczyzny Art, tak jak prosił. Zdecydowała się na jego pełne imię: Arthur.

*Drogi Arthurze,*

*moje podziękowania puszczasz już pewnie mimo uszu...*

Rety, miała nadzieję, że on nie miał problemów ze słuchem. Nie chciała, żeby wziął to dosłownie. Ach, trudno. Był w końcu profesorem. Na pewno domyśli się jej intencji.

*...ale nie mogę wyjść z tego cudownego domu, nie podziękowawszy najpierw gospodarzowi, którego nigdy nie widziałam.*

*Kolejny raz mam za sobą bardzo owocny dzień pracy. Czasami spokój i cisza są tu tak niezmacone, że zapominam zrobić sobie przerwę na lunch. Na całe szczęście nasza droga wspólna przyjaciółka przybyła mi dziś z pomocą. Ginny Ross przywiozła lunch do pensjonatu, wpadając z przemiłą wizytą. Zdałam sobie przez to sprawę, że przez ostatnich kilka dni tak rzadko bywałam we własnym domu, że stęskniłam się za sąsiedztwem Ginny. Chyba nigdy w życiu nie spotkałam tak cudownej i bezinteresownej kobiety – i tak pełnej energii! Nie mogę za nią nadążyć!*

Maddie przeczytała to, co napisała. Miała nadzieję, że nie zachwala Ginny w zbyt oczywisty sposób. Ale czy można być zbyt oczywistym wobec mężczyzn? Podniosła pióro z przebiegłym uśmiechem.

*Ginny przekazała mi, że nie masz nic przeciwko temu, żebym przyjeżdżała również w przyszłym tygodniu. Jeśli jesteś pewien, że nie jest to z mojej strony nadużyciem, chętnie skorzystam z Twojej uprzejmości. Robotnicy robią postępy w remoncie mojego domu, ale wszystko idzie o wiele wolniej, niż sobie wyobrażałam. W każdym razie samotność, którą odnalazłam tutaj, w Twoim pensjonacie, pozwala mi wierzyć, że uda mi się zdążyć dokończyć książkę w terminie. Jeszcze raz najserdeczniej dziękuję.*

*Milego weekendu*

*Madeleine Houser*

\*

W następny poniedziałek w drodze do domu Maddie zatrzymała się koło poczty, żeby odebrać przesyłki. Zleciła ich przekazywanie z Nowego Jorku do Kansas, ale przychodziły z opóźnieniem. Jej skrzynka była w ostatnim czasie przygnębiająco pusta. Schyliła się i zajrzała przez małe okienko w drzwiczkach. Coś przyszło. Przekopala



torebkę w poszukiwaniu klucza. W skrzynce znalazła rachunek od Mason Electric i awizo oznajmiające, że miała też do odebrania pakunek o większym gabarycie.

Zabrała kartkę, podeszła do lady i podała ją urzędnikowi. Mężczyzna poszedł w głąb budynku i wrócił minutę później z kopertą w formacie przypominającym wydruk z komputera, wysłaną jako priorytet. Co to mogło być? Peggy na pewno nie zdążyła jeszcze zrobić korekty ostatniej porcji tekstu, którą Maddie jej przesłała. Zabrała paczkę do samochodu i otworzyła ją nożykiem, który trzymała w schowku.

W środku był wydruk, ten przygotowany dla Peggy, złowieszczo pozbawiony czerwonego atramentu. Na wierzchu leżał krótki liścik pod szeroką białą gumką spinającą wszystko w całość.

*Bardzo Cię przepraszam, że to odsyłam, Madeleine, ale dostałam pracę na pełny etat i nie mogę już dłużej poprawiać Twoich książek. Próbowałam się z Tobą skontaktować, zanim wysłałaś tekst, ale numer, który mi podałaś, nie odpowiadał, a moje e-maile do Ciebie nie docierały. Mam nadzieję, że nie sprawiłam Ci kłopotu.*

Kiedy Maddie zrozumiała, co oznaczał list Peggy, uderzyła otwartą dłonią w kierownicę.

Awarie elektryczności, ciekące rury, korektorzy rezygnujący z pracy – wszystko sprzysięgło się przeciwko niej, by nie zdążyła złożyć książki do redakcji na czas. Rzuciła wydruk na stos książek i magazynów na siedzeniu pasażera i wsunęła kluczyk do stacyjki. Powinna jeszcze odwiedzić mamę, zanim pojedzie do domu, ale nie była pewna, czy poradzi sobie z jeszcze jedną przygnębiającą rzeczą.

Nagle do jej oczu napłynęły łzy, które otarła wierzchem dłoni.

– Boże, nie zniosę więcej. Proszę, pomóż mi...

Jej modlitwę przerwało czyjeś stukanie w szybę. Westchnęła i zanim otworzyła okno, chwyciła chusteczkę z pudełka leżącego na podłodze i schyliła głowę, żeby dyskretnie wytrzeć policzki.

Nie знаła mężczyzny pochylającego się nad jej samochodem z zatroskaną miną. Moment. Nie, to był ten przystojny facet, który przytrzymał jej drzwi na poczcie w zeszłym tygodniu.

– Przepraszam, że panią niepokoję, ale... – Uśmiechnął się przepraszająco. – Zauważyłem, że wygląda pani na bardzo zmartwioną. Czy wszystko w porządku?

Potwornie zawstydzona tym, że przyłapano ją na płaczu, wzruszyła się na ten

troskliwy gest ze strony nieznanego – na dodatek zachwycającego nieznanego. Te intensywnie niebieskie oczy. Wydawał jej się dziwnie znajomy.

– Ja tylko... – Wysiliła się na uśmiech. – Odebrałam w poczcie złe wiadomości.

– Ach. Przykro mi. Mam nadzieję, że to nic poważnego...

– Nie, skądże. – Pokręciła głową i zaśmiała się. – To jedna z tych rzeczy, z których pewnie za kilka tygodni będę się śmiać, ale teraz... To po prostu za dużo. Ale dziękuję, że pan zapytał. To bardzo uprzejme z pana strony.

Sięgnęła do kluczyka w stacyjce, chcąc uciec przed słodkim, uważnym spojrzeniem mężczyzny. On wzruszył ramionami i pochylił głowę.

– Przepraszam, że się wtrąciłem. Mam nadzieję, że wszystko się ułoży.

– Proszę się nie martwić. Na pewno tak będzie.

Uniósł dłoń na pożegnanie i pospieszył przez ulicę. Patrzyła przez lusterko, jak wsiada do starego pick-upa marki Chevrolet. Pokręciła głową, zadziwiona przyjaznym nastawieniem ludzi ze Środkowego Zachodu. Nic dziwnego, że Kate i Jedowi podobało się wychowywanie dziewczynek w Clayburn.

Czując dziwny przyływ energii, Maddie pojechała do domu opieki i usiadła w jadalni ze swoją mamą, podczas gdy ta dłużyła w jakimś jedzeniu, które jej podano. Mama była cicha, ale jej nieobecny wzrok był mniej uderzający. Posłała nawet córce ukradkowe spojrzenie pełne obrzydzenia, gdy pan Bender rozlał kawę na lniany obrus. Maddie wróciła do domu ponownie pełna nadziei.

Kiedy weszła do kuchni i włączyła światła, z zachwytem zauważyła, że drzwiczki szafek były umieszczone z powrotem w zawiasach, a podłoga została oczyszczona w oczekiwaniu na położenie płytek.

– Dzięki Ci, Panie Boże. – Wyszeptana przez Maddie modlitwa odbiła się stłumionym echem od ścian pustego pomieszczenia.

Kiedy przechodziła przez dom, zatrzymała się przed starym pianinem, na którym ćwiczyły jej siostrzenice. Pochyliła się nad klawiaturę i zagrała nieśmiały akord. Pianino było niestety rozstrojone, ale odsunęła stołek i usiadła za nim. Jej skostniałe palce błędziły po klawiszach i wreszcie odnalazły prostą melodię, której nauczyła się w dzieciństwie.

Nie przywozła ze sobą pianina ani żadnych swoich nut z Nowego Jorku – poza tym i tak czytanie ich nie szło jej najlepiej. Grała głównie ze słuchu. A teraz wystukiwała

sobie tę piosenkę, ciesząc się tym mało wymagającym zajęciem. Pianino zawsze miało na nią terapeutyczny wpływ.

Brzdąkała przez pół godziny, zatracając się w muzyce. Gdy wydarzenia tego dnia ponownie odgrywały się w jej wyobraźni, uśmiechnęła się na myśl o tym, jak Arthur Tyler zawrócił w głowie jej sąsiadce, i snuła plany, by zbliżyć do siebie Ginny Ross i właściciela pensjonatu.

Ale planowanie wciąż przerywało jej wspomnienie twarzy przystojnego, miłego nieznajomego spod poczty.

Było już ciemno, kiedy Arthur skończył załatwiać wszystkie sprawy i wstąpił jeszcze po burgera z frytkami na wynos, żeby zabrać go do domu na kolację. To był długi dzień – a to dopiero poniedziałek.

Od lat powtarzał sobie, że pora skończyć z pracą wykładowcy. Dojazdy stawały się męczące, a gdy nadejdzie zima, będą jeszcze gorsze. Ale gdyby rzeczywiście odszedł z pracy, co robiłby ze swoim czasem?

Zawsze mógł ponownie zacząć reklamować pensjonat i wrócić do prowadzenia go na pełnych obrotach, ale od śmierci Annie nie miał do tego serca. To jednak byłoby lepsze od dojeżdżania do pracy codziennie godzinę w jedną stronę. Tak naprawdę lubił utrzymywać pensjonat i wykonywać w nim rozmaite prace. Nawet podobało mu się przygotowywanie prostych śniadań dla weekendowych gości. Nie szło mu tylko dopracowywanie szczegółów. To była działka Annie – świeże kwiaty, świece zapachowe, czysta pościel w każdym pokoju.

Pani Houser nieświadomie dała mu do zrozumienia, że nie miał pojęcia, co oznaczało utrzymanie tego miejsca w porządku. Jaką różnicę robiło samo zmieciecie pajęczyn i wypolerowanie blatów. Gdyby miał dość dużo gości, mógłby zatrudnić kogoś do takich prac.

Prawdę powiedziawszy, już teraz mógł sobie pozwolić na to, żeby kogoś zatrudnić. Nawet po odłożeniu pieniędzy na przyszłą edukację siostrzenic Annie, spadek, który otrzymała po śmierci rodziców dawał mu możliwość rezygnacji z pracy, kiedy tylko chciał.

Ale w tym był cały kłopot. Arthur sam nie wiedział, *czego* chciał. Odkąd jego żona odeszła z tego świata, życie straciło blask i pewność. Upłynęło sporo czasu, odkąd ostatnim razem poczuł pasję do czegokolwiek. Jego przyjaciel, Dave Sanders, nieraz sugerował mu, że zapal potrzebny do rozpoczęcia życia na nowo zapewniłaby mu zmiana miejsca. Może rzeczywiście powinien sprzedać pensjonat i się przeprowadzić? Ale trudno było mu sobie wyobrazić, w jaki sposób opuszczenie Clayburn – swojego Kościoła, wszystkich ludzi, których pokochał zarówno on, jak i Annie, miałoby sprawić, że czułby się bardziej spełniony w życiu.

Pomyślał o Madeleine Houser. Według Ginny autorka opuściła swój dom w Nowym Jorku i przeprowadziła się do Kansas, żeby być blisko matki. Jeśli Art sądził, że byłoby to trudne w jego wieku, jakie trudne musiało to być dla kogoś tak... ustatkowanego, jak pani Houser, i w jej wieku? Może ją o to zapyta. Ich korespondencja pogłębiła się przez te wszystkie tygodnie, kiedy przychodziła pisać do pensjonatu,

a wymiana listów z nią stała się jasnym punktem jego szarych dni.

Alex przywitał go pod drzwiami, wspinając się łapami na jego nogi błagając o kawałek hamburgera. Podczas dzielenia się kolacją z kotem, Art próbował też wyjaśnić swój dylemat w liście do autorki.

*Droga Pani,*

*głowię się nad pewną sprawą i naszła mnie dziś myśl, że może będzie Pani mogła podzielić się ze mną cennymi uwagami na jej temat.*

*Mówiąc całkiem szczerze, od śmierci żony czuję się trochę tak, jakbym utknął w miejscu. Chociaż nie potrafię sobie tego wyobrazić, moi przyjaciele zasugerowali mi, że powinienem sprzedać pensjonat, wyprowadzić się z Clayburn i uciec od wspomnień, z jakimi wiąże się dla mnie to miejsce. Ponieważ Pani ma za sobą taką przeprowadzkę, jaką doradzają mi moi przyjaciele, zastanawiam się, co Pani powie o ich sugestiach. Nie chcę, by kłopotowała się Pani udzielaniem mi męczących porad, ale jeśli ma Pani na ten temat jakieś szybkie uwagi, będę niezmiernie wdzięczny, jeśli się Pani ze mną nimi podzieli.*

*Mam nadzieję, że pisanie wciąż dobrze Pani idzie. Raz jeszcze powtórzę, jak bardzo doceniam to, że Pani dba o porządek w domu. W ostatnim czasie w pensjonacie jest zdecydowanie jaśniej. Jeśli jest jeszcze coś, co mógłbym zrobić, żeby Pani pobyt tutaj był bardziej komfortowy, lub by ułatwić Pani dotrzymanie terminu, proszę bezwzględnie dać mi znać.*

*Udanego pisania*

*Art*

Przeczytał to, co napisał, i musiał uśmiechnąć się na formalny ton, którego używał, gdy pisał do Madeleine Houser. Całkiem inny niż cięte, szybkie notatki, które bazgrał na marginesach prac studentów. Być może było to czymś naturalnym, by wczuwać się we wrażliwość odbiorcy, ale kiedy czytał swoją krótką wiadomość, przypomniał sobie długie listy, jakie wymieniał z babcią po wyjeździe na studia.

Często prosił babcię o radę – czasami nawet wtedy, kiedy dokonał już jakiegoś wyboru. Na przykład w sprawie małżeństwa z Annie. Było mu miło, gdy babcia utwierdzała go w decyzjach. W rzadkich przypadkach, kiedy Opal Tyler wyrażała nieprzychylną opinię, Art zawsze dokładnie ją rozpatrywał. Jego serce rosło na samo wspomnienie.

Zostawił liścik na stole w jadalni, gdzie pani Houser znajdzie go rano. Byłoby miło

spotkać kiedyś przyjaciółkę Ginny. Powiedzieć jej, jak bardzo jej książki podobały się Annie. Może sam powinien w końcu przeczytać jedną z tych powieści? Ginny twierdziła, że Madeleine Houser była całkiem dobrze znaną autorką w swoim gatunku.

Mogło to też mieć znaczenie marketingowe, gdyby chciał kiedyś znowu reklamować pensjonat – „W tym domu pisała Madeleine Houser”. Oczywiście, jeśli Madeleine Houser nie miałaby nic przeciwko temu, żeby wymienić jej nazwisko w broszurach. Ale raczej by nie miała. Czyż większość autorów nie zabiega o każdą formę reklamy?

✱

Maddie ponownie przeczytała list, już układając sobie w głowie odpowiedź. Wydawało jej się trochę dziwne, że pan Tyler prosił ją o radę, ale cieszyła się z okazji wyrażenia swojej opinii. Uniosła pióro, pocierając podbródek w zamyśleniu.

*Drogi Arthurze,*

*przede wszystkim, jeśli mamy się zwracać do siebie po imieniu, to musi to działać w obie strony. Proszę mówić do mnie „Madeleine”.*

*Przyznaję, że czuję się nieco dziwnie, próbując Ci doradzić. Na pewno jesteś o wiele mądrzejszy i masz więcej rozsądku do podejmowania takich decyzji niż ja, ale chyba rzeczywiście mogę się z Tobą podzielić moimi doświadczeniami (i postaram się przy tym nie napisać kolejnej powieści – ha!). Może w tym, przez co przesłałam, znajdziesz niewielką pomoc dla siebie.*

*Byłam bardzo szczęśliwa, mieszkając w Nowym Jorku. Ale mąż mojej siostry został przeniesiony do pracy do innego stanu, a moja matka mieszka w domu opieki tutaj, w Clayburn. Siostra przekonała mnie, że pisać mogę wszędzie... No cóż, tę historię już znasz!*

*Tak czy inaczej, przeprowadziłam się trochę wbrew swojej woli i z nastawieniem, którego nie można nazwać chrześcijańskim. Przez jakiś czas pozwalałam sobie na pielęgnowanie tego nastawienia i, jak się pewnie domyślasz, sprawy tylko się pogorszyły.*

*Kiedy wreszcie zaczęłam przypuszczać, że Bóg przyłożył rękę do tego wszystkiego, zaczęłam dostrzegać wiele dobrych rzeczy wynikających z mojej przeprowadzki. Zmusiła mnie ona do wyjścia poza strefę, która stała się zbyt komfortowa. Przede wszystkim cieszę się z tego, że mogę być blisko mamy w ostatnich latach jej życia. Chociaż zмага się z końcową fazą choroby Alzheimera i już mnie nie poznaje, czas spędzony z nią jest prawdziwie błogosławiony. A poza tym, co oczywiste, Bóg postawił w moim życiu kochaną Ginny.*

*Ale dosyć o mnie. Ponieważ Cię nie znam i nie wiem, z jakich powodów przyjaciele doradzają Ci przeprowadzkę, trudno jest mi cokolwiek podpowiedzieć. Nie wiem, czy jesteś człowiekiem wierzącym, ale wiem na pewno, że Ginny traktuje Cię z ogromnym szacunkiem, więc pewnie zrozumiesz moją perspektywę. Wierzę, że jeśli poszukasz w tej sytuacji Boga, On poprowadzi Cię do podjęcia właściwej decyzji. Być może na pierwszy rzut oka nie będzie się ona wydawała właściwa, może być trudna i wiązać się z poczuciem samotności przez jakiś czas, podobnie jak to było w moim przypadku, ale żyję już dość długo, by mieć pewność, że Bóg potrafi wziąć kawał ziemi porośnięty chwastami i przemienić go w przepiękny i pachnący kwiatowy ogród.*

Maddie zaczęła się podpisywać, zadowolona, że znowu udało jej się dyskretnie szepnąć dobre słowo o Ginny, ale nagle w jej głowie zaświtała myśl. Ciekawe, dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej. Uniosła pióro.

*Ponieważ nie wahałeś się, by poprosić mnie o pomoc, czy mogę teraz ja poprosić o nią Ciebie? W zeszłym tygodniu dostałam przygnębiającą wiadomość, że nie mogę już liczyć na moją korektorkę. Wiem, że uczysz angielskiego i zastanawiałam się, czy może wśród Twoich znajomych nie znalazłby się ktoś, kto zechciałby wykonać dla mnie taką pracę. W wydawnictwie mam wspianą redaktorkę, ale potrzebuję kogoś, kto przejrzy mój tekst w poszukiwaniu prostych literówek i błędów gramatycznych, niespójności i nieścisłości w fabule, itd. Mógłby to zrobić nawet sumienny student. Jeśli znasz kogoś, kto podjąłby się tego zadania w dość szybkim czasie, będę bardzo wdzięczna za kontakt z tą osobą. Termin złożenia tekstu upływa w styczniu i zaczyna mnie to przerażać! (Oczywiście zapłacę za tę usługę rynkową stawkę).*

*Będę o Tobie myślała, skoro mocujesz się z podjęciem swojej trudnej decyzji. Dziękuję Ci też z góry za każdą pomoc w znalezieniu korektora.*

*Z wyrazami przyjaźni*

*Madeleine Houser*

W następnym poniedziałek Art zamknął drzwi do swojego gabinetu na uczelni i poszedł na miejsce parkingowe. Na zaśmieconym siedzeniu pasażera leżał jego telefon komórkowy, wyświetlający powiadomienie o nowej wiadomości. Dustin. Włożył kluczyk do stacyjki i odsłuchał nagranie.

Dustin Brevits, licealista, który dbał o trawnik przed pensjonatem, miał już zaległości w koszeniu. A teraz dostał jeszcze odsiadkę po lekcjach i znowu wymigał się od swojego obowiązku. Art uderzył pięścią w deskę rozdzielczą i rzucił telefon na siedzenie. Na piątek i sobotę miał umówionych gości. Ostatnie deszcze i łagodna pogoda sprawiły, że trawa rosła jakby znowu było lato, a do weekendu trawnik będzie wyglądał jak dżungla.

Westchnął. Będzie musiał sam go skosić. Nie żeby miał coś przeciwko tej pracy, ale od niedawna wcześniej zapadał zmrok i podczas drogi powrotnej z pracy do domu oglądał zachód słońca. Może uda mu się poprzestawiać godziny dyżurów w ten piątek i wrócić wcześniej, żeby skosić przynajmniej główne trawniki. Kwiaty będą musiały się obyć bez koniecznego przycinania.

Teraz już rozumiał, dlaczego pani Houser była taka sfrustrowana utratą korektorki. Nie ma nic tak irytującego, jak ludzie, na których nie można polegać. Ale przecież – uderzył się pięścią w czoło – miał powiesić na tablicy ogłoszeń na swoim wydziale informację o poszukiwanym korektorze tekstów. I na kim tu nie można polegać?!

Moment. Przecież i tak chciał przeczytać jedną z powieści pani Houser. Dlaczego sam nie zaoferował swojej pomocy w korekcie? Sądząc po jej schludnie napisanych listach, raczej nie znajdzie dużo błędów do poprawy w jej książce. Nie mówiąc już o tym, że zaczynał się czuć odrobinę winny z powodu ilości prac domowych, które autorka wykonywała za niego.

Przeszedł wczoraj przez dom i uradował się, widząc, jak wspaniale był wysprzątnięty. Nie będzie musiał w ogóle przygotowywać parteru na przyjazd gości. Trzeba jednak doprowadzić do porządku zarezerwowany przez nich pokój na drugim piętrze. Laska pani Houser z pewnością nie pozwoliła jej na wspinaczkę po stromych schodach na poddasze.

Z jedną ręką na kierownicy i jednym okiem zerkając na ruch drogowy, przetrząsnął swoją teczkę w poszukiwaniu notesu i długopisu i zanotował kilka enigmatycznych skrótów, które miały mu służyć za przypomnienie.

Zjechał z Hampton Road i podjechał pod pensjonat w momencie, w którym piękny,



kansaski zachód słońca ozłacał horyzont. Zaparkował pick-upa, wyskoczył z niego i podszedł do skrzynki na listy, zachwycając się odcieniami różu, turkusy i pomarańcza, których żaden malarz nie byłby w stanie oddać.

Kiedy szedł ku wejściu do swojego mieszkania na niskim parterze, w bezwietrznym jesiennym powietrzu rozbrzmiewał chrzęst żwiru pod jego stopami. Jak mógłby kiedykolwiek opuścić to miejsce? Dave chyba oszalał.

Rzucił teczkę i kurtkę na zagracony stolik i poszedł sprawdzić, co słychać na górze. Na szczycie schodów powitał go Alex tym swoim komicznym pół mruczeniem, pół miauczeniem. Stół w jadalni był pusty. Hmm. Przez trzy i pół tygodnia, w trakcie których tu przychodziła pani Houser, tylko raz nie zostawiła mu listu. Art sprawdził w kuchni. Była tutaj na pewno. Czysty dzbanek po kawie, miska, filiżanka i spodek stały elegancko ułożone na suszarce.

Sam się zdziwił, że ogarnęła go fala rozczarowania z powodu braku liściku. Może jednak Dave miał rację. Może faktycznie Arthur powinien wreszcie zacząć żyć.

Alex dreptał za nim, kiedy wspinał się po pokrytych dywanem schodach na piętro i otworzył wąskie drzwi, za którymi ukazała się klatka schodowa prowadząca do apartamentu na poddaszu, zarezerwowanego przez mających przyjechać w ten weekend gości. To był pokój Arta i Annie, zanim pensjonat zaczął odnosić taki sukces. Później zdecydowali się na remont mieszkania na niskim parterze i udostępnienie apartamentu gościom. Art trzymał przez chwilę dłoń na mosiężnej gałce, próbując przygotować się psychicznie do wejścia. Wciąż było mu trudno wkraczać do tej przestrzeni, z którą wiązało się tyle słodkich, intymnych wspomnień.

Pstryknął włącznik światła i zaczął wchodzić po schodach. Powietrze u ich szczytu zrobiło się chłodne. Podszedł do antycznej komody stojącej pod najdalszą ścianą. Gładką, dębową powierzchnię pokrywała warstwa kurzu, a wiszące nad komodą fazowane lustro było zamglone od brudu. Pochylił się pod niskim stropem i wszedł do nowoczesnej łazienki, przylegającej do pokoju. W ramie z żarówkami otaczającymi lustro jedna była do wymiany. Okno wychodzące na ciągnące się na północy pola sorga było uchylone na kilka centymetrów, a na parapecie roiło się od zdechłych much. Maleńki pajaczek uciekł do odpływu dużej wanny z hydromasażem. Arthur postanowił zapamiętać, by po kolacji przynieść środki czyszczące i sprej przeciw owadom.

Kiedy wszedł z powrotem do pokoju i zamknął za sobą drzwi do łazienki, jego wzrok spoczął na owalnej ramce, której wypukłe szkło chroniło zdjęcie znajdujące się wewnątrz. Chociaż bardzo chciał się odwrócić, zdjęcie przyciągało go z siłą, z jaką magnes przyciąga stal.

Fotografia w odcieniach sepii wyglądała tak autentycznie, jak antyczna rama –

dokładnie tak, jak chciała jego żona. Ale stoicko spokojna para stojąca ramię w ramię to Art i Annie Tyler, mniej więcej w 2001 roku. Ujęcie zrobiono w czasie ich miesiąca miodowego u fotografa w westernowym miasteczku w Durango w stanie Kolorado. Annie wybrała dla nich kostiumy, łącznie z wąsami, które Art miał na zdjęciu.

Arthur przebiegł palcami po szkle, delikatnie ścierając z niego kurz. W jego gardle urosło coś wielkiego, kiedy patrzył przez szybę w oczy Annie. Chociaż miała poważny wyraz twarzy i wyraźnie pozowała – tak długo, jak wymagał tego czas ekspozycji w starym aparacie – w jej oczach coś błyszczało.

Pamiętał ten dzień, jakby to było wczoraj. Kiedy wyszedł z przebieralni ubrany w stare ciuchy w westernowym stylu, z wąsami pod kolor włosów, Annie wybuchnęła histerycznym śmiechem. Fotograf miał nie lada kłopot, by uchwycić poważną pozę, jaką ona sobie umyśliła. Później Annie oprawiła dumnie tę odbitkę i wykaligrafowała na niej swoim pismem napis: „Pan i Pani Tyler”.

Art potrząsnął głową, żeby odegnąć to przejmujące wspomnienie.

– Chodź, Alex – powiedział. – Robota czeka.

Kot ruszył z uniesionym ogonem w ślad za nim w dół po schodach.

✱

Maddie gapiała się na list, nie do końca pewna, co powinna odpisać. Arthur Tyler zaproponował jej, że sam zrobi korektę jej książki. Byłoby cudownie, gdyby profesor angielskiego jako pierwszy przeczytał tekst, bardzo pomocne mogło być też męskie spojrzenie na jej historię – nawet jeśli byłoby to spojrzenie kogoś, kto należał do przedstawicieli pokolenia, które żyło, nim jeszcze jej czytelnicy się urodzili. Ale jak mogłaby go prosić o jeszcze jedną przysługę? Już tak wiele jej zaoferował... Ona jednak była zdesperowana.

Zanim zdążyła zmienić zdanie, wzięła pióro i przyjęła jego ofertę z taką gracją, z jaką tylko umiała.

*Drogi Arthurze,*

*mam szczerą nadzieję, że nie składasz mi propozycji korekty mojego tekstu z jakiegoś altruistycznego czy wręcz rycerskiego poczucia obowiązku. Chociaż nigdy się nie spotkaliśmy, obawiam się, że tak właśnie mógłbyś postąpić. (Słowa „obawa” używam oczywiście w sensie dokładnie przeciwnym. Jakże bym chciała, by w moim pokoleniu było więcej mężczyzn obdarzonych tą cechą!)*

*Z przyjemnością przyjmuję twoją ofertę, pod trzema warunkami:*

*Pozwolisz mi zapłacić Ci pełną stawkę za wykonaną pracę.*

*Będziesz do bólu szczery i krytyczny w stosunku do mojego tekstu.*

*Nie będziesz się krępował, by w którymkolwiek momencie rzucić tę pracę, bez względu na powód, bez wyjaśnień i poczucia winy.*

*Zostawiam tu pięć pierwszych rozdziałów mojej powieści. Jeśli zgadzasz się na powyższe punkty, możesz zabrać się do pracy.*

*Na pewno masz już dość mojego słowotoku, ale jeszcze raz dziękuję Ci za każdą pomoc, jaką okazałeś mi w mojej próbie dotrzymania terminu. Możesz się spodziewać zasłużonej wzmianki na stronie z podziękowaniami!*

*Spokojnego wieczoru*

*Madeleine Houser*

Kiedy to zadanie miała już za sobą, podłączyła komputer i wzięła się do pracy. Skończyła dwudziesty siódmy rozdział, ale nagle poczuła, że nie wie, co powinno być dalej.

Wstała, żeby rozciągnąć skurczone mięśnie i chodziła od pokoju do pokoju na parterze, nie zauważając już nawet znajomego uroku domu, kiedy roztrząsała w głowie swoją opowieść. Nie zaświtała jej żadna odkrywczą myśl.

Nauczyła się już nie panikować, gdy tak się działo – chociaż było to trudne, zważywszy na goniący ją termin. Przeszła przez hol ciągnący się przez cały dom, a jej tenisówki wydawały przy każdym kroku irytujące piski. Kiedy doszła do schodów we foyer, przypomniała sobie, że nigdy jeszcze nie była na piętrze od dnia, gdy Ginny zaskoczyła ją pysznymi cheeseburgerami. Chwilowo zapominając o powieści, Maddie wkroczyła na schody.

Drzwi w głównym holu, tuż za klatką schodową, stały otwarte i Maddie weszła do saloniku, który stanowił część apartamentu umeblowanego w wiktoriańskim stylu, burzliwym lecz eleganckim, z porcelanową wanną na rzeźbionych nogach w łazience.

Pokój przylegający do apartamentu był bardziej surowy, z dekoracjami i dębowymi meblami w stylu art déco. Krążyła powoli po pokojach, zatrzymując się na dłużej przy błyskotkach zmyślnie ustawionych na antycznych komodach i szafach. Pomieszczenia były mniej więcej takie, jak sobie wyobrażała, pasowały wystrojem do starego, wiktoriańskiego domu, jednak z niepostrzeżeniem wplecionymi elementami

zapewniającymi współczesny komfort. Udekorowanie tych pokoi wymagało oczywiście niezwyklej troski i wielkiego talentu.

Maddie poczuła się podekscytowana na myśl o całkiem nowej części domu, którą mogłaby odkurzyć i wypolerować. Jeszcze zarobi na swoje utrzymanie.

Kiedy wróciła do holu, żeby zejść na dół, jej wzrok przykuły jeszcze jedne drzwi. Spróbowała przekręcić gałkę i zdziwiła się, gdy drzwi otworzyły się, ukazując wąską klatkę schodową pokrytą dywanem. Czując się nieupoważniona, weszła po stopniach i z ulgą odkryła, że na górze znajdował się kolejny przytulny apartament dla gości. Schyliła się, by wyjrzeć przez lukarnę u szczytu schodów i aż westchnęła. Okno wychodziło na wielkie połacie pól i rząd starych topoli, które na tle nieba wyglądały jak szafiry.

W porównaniu z tym widokiem majestat Nowego Jorku zbladł. Maddie klęczała tam przez dłuższą chwilę, zaskoczona ponownie tym, jak głęboko to otwarte niebo i preriowy krajobraz ją poruszały. Wreszcie wstała i rozejrzała się po apartamencie, uradowana, że znalazła w nim półkę pełną książek swoich ulubionych autorów. Jej oczy rozszerzyły się, kiedy zauważyła swoje cztery pierwsze powieści, wydane w twardych okładkach, stojące na najniższej półce. Ginny wspominała jej, że Annabeth Tyler była jej fanką. Te książki na pewno należały do pani Tyler. Obwoluty były w nienaruszonym stanie, tak jakby książki nigdy nie zostały przeczytane. Ale niektórzy ludzie zdejmują obwoluty przed czytaniem.

Przeszła przez pokój i zajrzała do dużej, nowoczesnej łazienki, w której znajdowała się nawet wanna z hydromasażem. Pan Tyler na pewno spodziewa się gości w ten weekend, bo pokój aż lśnił. Każdy chromowany detal i każda drewniana powierzchnia błyszcząły. W pokoju wciąż dało się wyczuć cytrynowy zapach środków czyszczących i mleczka do polerowania drewna. Maddie zaczynała się zastanawiać, czy w pensjonacie bywali jeszcze czasem jacyś goście – i właśnie dostała odpowiedź.

Kiedy wyszła z łazienki, jej wzrok przyciągnął stary portret wiszący na ścianie na wprost. Dobrze ubrana młoda para zeszywniała w poważnej pozie, patrząca się przed siebie. Maddie widywała podobne fotografie, kiedy poszukiwała historycznych źródeł do swoich powieści. Zawsze fascynowało ją patrzenie na takie zwyczajne, czasem dziwnie znajome twarze, gapiące się na nią z przeszłości, a ten portret nie stanowił wyjątku. Wypukłe szkło, za którym się znajdował, trochę deformowało obraz, co było typowe dla starych ram, a przez co trudno było przyjrzeć się zdjęciu dokładnie. A jednak te twarze ją intrygowały. Nutka łobuzerstwa w spojrzeniu kobiety. I ten mężczyzna, który kogoś jej przypominał. A może to jakaś sławna postać, ktoś, kogo widziała już kiedyś podczas grzebania w materiałach historycznych?

Jej fascynacja urosła jeszcze bardziej, gdy przeczytała podpis na dole ramy: „Pan

i Pani Tyler”. To musiał być ich weselny portret, sądząc po odświętnych strojach. Jakim przystojnym człowiekiem był młody Arthur Tyler.

Umiała sobie prawie wyobrazić, jak mógł wyglądać teraz – czarne loki i wąsy już pewnie siwe, gładkie policzki opalone i pomarszczone od uśmiechu. Nie mogła się doczekać, aż pozna go osobiście, żeby sprawdzić, czy jej przypuszczenia się sprawdzą. Jeśli tak, będzie mogła całkowicie zrozumieć zauroczenie Ginny.

Rozejrzała się po pokoju z nadzieją, że znajdzie bardziej współczesny portret Tylerów, ale w jedyną ramę w apartamencie oprawione było srebrne lustro. Maddie przyglądała się przez chwilę swojemu odbiciu, zbierając włosy z karku i przytrzymując je w koku podobnym do tego, jaki miała na zdjęciu Annabeth Tyler. Patrząc z powrotem na obraz i przystojnego młodego Arthura Tylera, poczuła dziwną tęsknotę.

Wszyscy bohaterowie jej powieści byli mężczyznami żyjącymi przed wiekami. Ludźmi honoru, prawymi i uczciwymi. Dżentelmenami, których siła nie polegała na wulgarności i struganiu macho. Jedyni jej rówieśnicy, których poznała, a którzy posiadali te cechy, byli zajęci. Pozwoliła włosom opaść na ramiona i westchnęła głęboko.

Kiedy schodziła ze schodów, w jej głowie pojawił się pomysł. Poszukiwała twarzy Jonathana Barlowe’a, głównego męskiego bohatera jej powieści, który zawróci jej nieszczęsnej bohaterce w głowie i wpuści ją do swojego serca. Właśnie go znalazła. Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu. Zastanawiała się, jak poczuje się pan Tyler, kiedy powie mu, że jego zdjęcie posłużyło za model dla jednej z postaci. Nie. Nie chciała, żeby się przeraził. Na razie musi to pozostać jej małą, słodką tajemnicą, ale wiedziała, że będzie przychodziła do tego pokoju każdego dnia, żeby popatrzeć w oczy swojego nowego bohatera, by zejść na dół pełna inspiracji i zasiąść do komputera. Ach, jakże zazdrościła Anne Caraway.

Art podziękował urzędnikowi na poczcie, wsunął bloczek znaczków do kieszeni i podszedł do drzwi, upychając portfel do tylnej kieszeni spodni, kiedy przez nie przechodził. Podniósł wzrok w samą porę, by przytrzymać drzwi młodej atrakcyjnej kobiecie, która podobnie jak on, była zajęta upychaniem rękawiczek i kluczyków do torebki. O mały włos by się zderzyli, ale grzecznie się wyminęli, po czym równocześnie aż drgnęli z zaskoczenia.

To była ta kobieta z białej mazdy – ta, którą w zeszłym tygodniu widział zapłakaną z powodu jakichś złych wieści, jakie otrzymała pocztą. W jej zielonych oczach błysnęła iskierka świadcząca o tym, że ona też go rozpoznała. Uśmiechnęła się, a jej policzki nabrały uroczego różowego koloru.

– O, dzień dobry.

Nie chciał jej zawstydząć, ale zaryzykował, utrzymując przyjazny i pogodny ton głosu.

– Wygląda pani o wiele lepiej, niż kiedy spotkałem tu panią poprzednim razem.

– Wszystko się ułożyło. – Rumieniec na jej policzku pogłębił się. Spojrzała na niego z potulnym uśmiechem i zaczęła coś mówić, ale przerwała, kiedy podeszła do nich Mabel Bachman, posunięta w latach żona burmistrza Clayburn, obładowana wielkimi paczkami.

Art pospieszył, by przytrzymać jej drzwi. Zielonooka pomachała mu delikatnie i poszła do swojego samochodu. Do czasu gdy Art skończył pomagać pani Bachman z wewnętrznymi drzwiami budynku, mazda ruszyła już ulicą na północ.

Czuł się dziwnie rozczarowany. Chciał się przedstawić atrakcyjnej nieznajomej. Nie sądził, żeby była mężatką. Nie miała obrączki. Zauważył to, kiedy chowała rękawiczki do torebki. Jakoś nie umiał sobie wyobrazić, żeby zamężna kobieta jeździła taką sportową mazdą – zwłaszcza że siedzenie pasażera wyglądało jak szafka na dokumenty połączona z biblioteką. Nie żeby miał zamiar uganiać się za tą zielonooką piękną. Na pewno jest nowa w Clayburn. Nigdy wcześniej jej nie widział, a znał w mieście chyba wszystkich – przynajmniej z widzenia, jeśli nie z nazwiska. Pomyślał, czy nie zapytać kolegów, z którymi grywał w golfa, czy któryś z nich nie wie, kim ona może być. Ale nie. Nie chciał się w to pakować.

Arthur pojechał do domu, nakarmił Alexa i zrobił sobie szybką kanapkę, którą zabrał na górę, by zjeść ją w trakcie czytania dzisiejszej porcji tekstu pozostawionej mu

przez Madeleine Houser. Na stole w jadalni leżał schludnie ułożony plik zadrukowanych kartek. Dobrze. Najwyraźniej zgodziła się, żeby poprawiał jej książkę. Poszedł do kuchni po coś do picia. Gdy nalewał sobie wody do szklanki, schylił się, by wyjrzeć za okno. Zarośnięty trawnik przed domem falował na wietrze. Zapisał sobie w pamięci, że ma przyjechać w piątek na tyle wcześnie, by zdążyć go skosić, zanim zjawią się sobotni goście.

Wróciwszy do jadalni, odczytał liścik, uśmiechając się na zbiór zasad przedstawionych przez autorkę i obietnicę umieszczenia jego nazwiska na stronie z podziękowaniami. Przeczesał dłonią włosy. Jeśli książka okaże się szmirą, będzie musiał wymyślić jakiś zgrabny sposób, żeby wymigać się od tego wątpliwego zaszczytu. Koledzy z uczelni do końca życia nie daliby mu zapomnieć, gdyby jego nazwisko pojawiło się w podziękowaniach w jakimś tanim romansidzie.

Strącając okruszki chleba z dłoni, odsunął talerz z kanapką i przyciągnął do siebie wydruk. Wyjął długopis z kieszeni. Alex wskoczył mu na kolana i przekręcił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, muskając Arthura ogonem w nos, zanim wreszcie się ułożył.

– Hej, kolego, jak sądzisz? Spodoba mi się to, co napisała ta pani? – Poglaskał grube futro kota, a Alex włączył w odpowiedzi swój koci silniczek.

Bezwiednie gładząc jedną ręką puszysty grzbiet, Arthur Tyler zaczął czytać.

✱

W piątek rano Maddie wyszła do garażu, obładowana torbą z laptopem i materiałami źródłowymi, które miały jej być potrzebne. Myślami pogrążona w nowej scenie powieści o Anne Caraway, przekręciła kluczyk w stacyjce. Nic.

*No, świetnie!* Spróbowała ponownie, z takim samym rezultatem. Wzdychając ciężko, wysiadła z samochodu i obeszła go, żeby otworzyć maskę. Na silnikach samochodowych знаła się mniej więcej tak jak na komputerach – czyli wcale. Nie wydobywał się żaden dym ani nie kapały żadne płyny, więc zamknęła klapę i pobiegła do domu, żeby zadzwonić po mechanika.

Godzinę później, jej mazda była już w warsztacie *Bud's Automotive*, a ona dzięki uprzejmości właściciela kierowała się jego monstrualnym buickiem na zachód w stronę Main Street.

Była już spóźniona, ale nie miała siły odwiedzić mamy poprzedniego wieczora, więc zatrzymała się jeszcze na targu i kupiła bukiet stokrotek, które niestety nie wyglądały na najszcześliwsze, po czym ruszyła do domu opieki.

Mama miała kolejny zły dzień, wierciła się i rzucała zmęczonym głosem nieskładne

sylaby. Chyba nawet nie zdawała sobie sprawy, że córka jest przy niej. Maddie została tylko na chwilę, by włożyć kwiaty do nietłukącego się wazonu i porozmawiać krótko z pielęgniarką. Czuła się winna, że nie spędza z mamą więcej czasu, ale co to była za różnica, skoro ona nawet nie odróżniała jej od pielęgniarki, która przyniosła tacę ze śniadaniem?

Pojechała do pensjonatu zdeprymowana i zdołowana, ale kiedy tylko jej oczom ukazał się wiktoriański dom, jej nastrój się poprawił. Usiłowała nie myśleć o tym, jak niewiele pracy zostało do ukończenia remontu domu Jeda i Kate. Kiedy robotnicy położą ostatnie kafelki, Maddie nie będzie już miała wymówki, by tu przyjeżdżać.

Odpędziła te myśli, weszła do pensjonatu i rozstawiła komputer, po czym od razu wkroczyła po schodach na drugie piętro, żeby złożyć wizytę swojemu nowemu bohaterowi. Mężczyzna za owalnym szkłem był tak przystojny, jak zapamiętała – tak przystojny, jak w jej marzeniach.

Znowu uderzyło ją to, że wyglądał znajomo. Często zdarzało jej się to z bohaterami, których kreowała. Miała w myślach zaledwie zarys postaci, otwierała jakiś katalog i od razu spoglądała na nią idealna twarz. Zawsze wycinała ich zdjęcia dla inspiracji.

Ale bohater Anne Caraway już dawno dał się poznać. Maddie zapamiętała męskie rysy twarzy młodego Arthura Tylera. Kwadratową szczękę, stalowe spojrzenie jego jasnych oczu. Chociaż na fotografii w odcieniach sepii nie było widać wyraźnie, wyobrażała sobie, że były to oczy w urzekającym, szaroniebieskim kolorze. Och, gdyby tylko urodziła się kilka dekad wcześniej!

Lustrowała wizerunek Annabeth Tyler – filuterny błysk w spojrzeniu, miłość wypisaną na jej twarzy, tak namacalną i nieodpartą. Zainspirowana, Maddie pospieszyła na dół, by wnieść pasję do powieści.

Pisała gładko, przerywając tylko na szybki kubek kawy i bajgiel, który kupiła tego ranka w nowo otwartej knajpce *Main Street Deli*. Opowieść płynęła, a Maddie wreszcie miała wizję idealnego zakończenia. Jej palce biegały po klawiaturze. Nie mogła się doczekać, aż skończy i przeczyta całość, doda subtelne niuanse, szczegóły, charakterystykę, które sprawiały, że jej powieści miały unikatowy styl.

Krótko po trzeciej po południu zaskoczył ją dźwięk silnika przed domem. Ach, no tak. To właśnie dziś ten licealista miał kosić trawnik. Rozkojarzona, odsunęła krzesło i wstała, żeby się przeciągnąć i rozmasować zeszywniały kręgosłup.

Przeszła przez hol do pokoju dziennego i rozsunęła ciężkie zasłony. Chociaż człowiek koszący trawnik był odwrócony do niej plecami, Maddie widziała, że nie był to przyszyżony na jeża nastolatek, który zazwyczaj wykonywał tę pracę. Ten mężczyzna



miął lśniące, czarne włosy, które podwijały się nieco przy jego opalonym karku. Był też starszy – Maddie sądziła, że przed czterdziestką. Wysoki i szczupły, ale nawet pod T-shirtem z długim rękawem, który miał na sobie, widać było, jak napinają mu się mięśnie, kiedy manewrował kosiarką po łamliwej, jesiennej trawie.

Kiedy mężczyzna dotarł do krawędzi podjazdu i odwrócił się w stronę domu, westchnęła i zasunęła zasłonę z powrotem. Znała tego człowieka. To ten facet z poczty. Ten, który przyłapał ją, gdy rozpaczała nad zwróconym przez Peggy wydrukiem.

Uchyliła ostrożnie zasłonę, wyjrzała ponownie i przyglądała mu się przez chwilę. Kiedy w końcu wróciła do jadalni i usiadła przy komputerze, nie mogła się skupić. Cały czas myślała o przystojniaku z poczty. Ten sam mężczyzna właśnie kosił trawnik przed miejscem, z którego uczyniła swój dom pracy twórczej. Próbowwała nie zwracać uwagi na rozczarowanie, które poczuła, odkrywszy, że najwyraźniej zatrudniano go do takich prac. Było to z jej strony małostkowe i krytykanckie – tym bardziej, że zbyt łatwo wysnuła taki wniosek.

– Poza tym – powiedziała cicho sama do siebie – rynek matrymonialny nie jest dla ciebie, Houser, zapomniałaś?

Gdzieś w jej podświadomości zaświtało coś uporczywego, ale nie potrafiła tego nazwać.

Wreszcie usłyszała, jak silnik kosiarki się wyłączył, a kilka minut później żwir na podjeździe zatrzeszczał pod kołami samochodu. Spojrzała na zegar nad klatką schodową. Już i tak pora kończyć.

Zastanawiała się nad tym, czy nie zostać kiedyś do wieczora, aż pan Tyler wróci do domu. Mogłaby go wreszcie poznać i może szepnąć jakieś słówko o Ginny. Ale dziś nie był odpowiedni moment. Widok nieznanego z poczty tutaj, w pensjonacie, sprawił, że czuła się dziwnie rozstrojona. Chciała po prostu wrócić do domu i wyłączyć się.

✱

Art oddał kosiarkę do ostrzenia w punkcie serwisowym *Mike and Milt's* i pojechał z powrotem do pensjonatu. Kiedy podjechał pod dom, zauważył, że buick Madeleine Houser zniknął. Pensjonat wyglądał czysto i schludnie otoczony świeżo przyszczyżonym trawnikiem i Art podziwiał swoje dzieło z satysfakcją. Jeśli pogoda będzie łaskawa, odbierze kosiarkę w przyszłym tygodniu i odstawi do garażu, naostrzoną i gotową na nowy sezon. Ale jeśli to długie lato się nie skończy, będzie musiał prawdopodobnie jeszcze raz kosić, zanim kosiarka pójdzie w chwilowe zapomnienie.

Koszenie nawet mu się podobało. Wysilek fizyczny, słońce na twarzy i październikowy wietrzyk chłodzący jego skórę dawały mu satysfakcję i... czy to była

nadzieja?

W jego myślach krążył werset z Księgi Rodzaju, który pastor Rennick czytał w ubiegłą niedzielę: „Będą zatem istniały, jak długo trwać będzie ziemia: siew i żniwo, mróz i upał, lato i zima, dzień i noc” [2]. Cytat ten oczywiście odnosił się do Bożej obietnicy udzielonej Noemu, że nigdy więcej nie zniszczy ziemi potopem.

A jednak, kiedy Art patrzył na północ, w poprzek autostrady, na dojrzewające pola sorga i drzewa w jesiennej chwale, czuł, jak w jego sercu rośnie nadzieja, którą niosła ze sobą obietnica Boga. Tragiczne wydarzenia się zdarzają. Ale jeśli przyjrzeć się uważnie, można dostrzec w nich Boże piękno tak, jak ukazuje się ono w złotych, umierających liściach. Życie toczy się dalej, a Bóg dał mu siłę i odwagę do tego, by żyć dalej. Pewność jutra, nowych żniw na polu, wiosny po długiej zimie.

Nawet po Annie.

\*

Arthur zameldował swoich weekendowych gości i zaprowadził do pokoi, a potem, po kolacji, z Alexem wygodnie usadowionym na kolanach, rozsiadł się w fotelu z tekstem Madeleine w ręce i czerwonym długopisem w pogotowiu. Długopis jednak przez większość czasu pozostawał w spoczynku, ponieważ Art był zafascynowany historią. Poprzedniego popołudnia przeczytał dwa rozdziały i już wtedy był pod wrażeniem... i skruszony swoim przedwczesnym osądem twórczości pani Houser. Teraz, w połowie trzeciego rozdziału, był zdumiony, jak autorka pozwoliła mu uwierzyć, że książka została napisana w 1871 roku. A mimo to odnalazła również równowagę w dotarciu do wrażliwości współczesnego czytelnika. To rzadkość.

Pisarka bez dwóch zdań zrobiła porządne rozeznanie. Historyczne opisy były bardzo dokładne. To, jak przedstawiła pożar Chicago mroziło krew w żyłach. Wydawało mu się, że słyszy wokół siebie trzaskanie i huk płomieni wielkiej pożogi. Jej opisy postaci były wielowarstwowe, a przeplatające się misternie zależności między nimi sprawiały, że strony przewracały się same. Najbardziej podobał mu się główny bohater. Chociaż nie przepadał za historiami miłosnymi, Jonathan Barlowe zaintrygował go – potrafił z łatwością utożsamić się z tym mężczyzną pełnym wad.

Przerwał lekturę tylko na chwilę, żeby nagryzmolić krótki liścik do Madeleine Houser.

*Jestem zachwycony Pani historią, Pani Houser. Nie miałem pojęcia, co mnie omijało przez te wszystkie lata. Skończę te chude pięć rozdziałów, które mi Pani zostawiła, jeszcze zanim położę się spać, a potem czeka mnie cały weekend bez wzmianki o losach Anne Caraway, małego Charliego i oczywiście najważniejszego bohatera – Jonathana Barlowe'a. (Błagam, niech mi Pani nie mówi, że jest Pani jedną z tych okrutnych autorek,*

*które uśmiercają ukochane postaci bez powodu!)*

Art narysował wesołą buźkę obok ostatniego zdania, żeby przypadkiem się nie obraziła – bo może rzeczywiście była jedną z tych okrutnych autorek. Podpisał się, wziął wydruk do ręki i przeniósł się z powrotem do Chicago z roku 1871.

W następny poniedziałek rano Maddie odzyskała swoją mazdę – z nowiutkim akumulatorem i rachunkiem na prawie dwieście dolarów, ale auto jeździło jak nowe. Spakowała komputer, książki i kilka batonów zbożowych, które zamierzała zawieźć mamie, nim pojedzie pracować w pensjonacie. Ekipa od kafelkowania wreszcie przyjechała i Maddie musiała lawirować pomiędzy robotnikami (barczystym ojcem i synem) i ich skrzynkami na narzędzia, żeby dotrzeć do tylnych drzwi. Już prawie udało jej się uciec, kiedy zadzwonił telefon.

– Czy mogę rozmawiać z Madeleine Houser?

– Tak, przy telefonie.

– Mówi Arthur Tyler... *Z Pensjonatu u Annabeth*. Czy rozmawiam z tą Madeleine Houser? Autorką? – Niski, ochrypnięty głos mężczyzny brzmiał dokładnie tak, jak Maddie sobie wyobrażała.

– Ach, tak, pan Tyler! Dzień dobry! Miło mi pana słyszeć.

Usłyszała stłumiony odgłos ciężkiego kaszlu.

– Najmocniej przepraszam. Chyba się rozchorowałem. Zastanawiałem się... czy planuje pani przyjechać dziś pracować w pensjonacie?

– Cóż, tak. Planowałam. Ale na pewno nie muszę, mogę zmienić plany... – Starła się brzmieć radośnie pomimo tego, że odczuwała rozgoryczenie na taką perspektywę.

– Nie, nie. Proszę przyjechać. Chciałem tylko, żeby pani wiedziała, że zostaję dziś w domu, w łóżku. Nie chciałem, aby pani się zaniepokoiła, słysząc jakieś dziwne odgłosy dobiegające z mieszkania na dole. Ja...

– Ależ nie, nie chcę panu przeszkadzać. Może będzie najlepiej, jeśli...

– Nie. Proszę. Nie próbuję pani zniechęcać do przyjeżdżania tutaj. Sądząc po tym, jak się teraz czuję, pewnie prześpię cały dzień. Nie będę miał powodów do tego, żeby opuszczać mieszkanie i w ogóle nie będzie mi przeszkadzało, że ktoś będzie w domu. Przyzwyczyliłem się do tego, że mam nad głową gości. Chciałem tylko panią ostrzec, że ktoś będzie na dole, to wszystko... Na wypadek gdyby pani usłyszała, jak hałasuję.

Młodsza połowa ekipy kładącej płytki tłukła gumowym pobijakiem o deski podłogi i śpiewała fałszywie do muzyki z iPod'a. Maddie wstrzymała oddech. Jeśli zostanie

w domu i będzie próbowała pracować w tym zoo, nie uda jej się napisać absolutnie nic.

– Jest pan pewien? – spytała do słuchawki.

– Całkowicie. Proszę czuć się jak u siebie. – Pan Tyler odchrząknął i parsknął śmiechem. – Ale muszę panią ostrzec, że rezerwuję sobie dziś towarzystwo naszego słynnego kociego podgrzewacza do stóp.

Maddie zaśmiała się do telefonu.

– Doskonale to rozumiem. Brzmi pan tak fatalnie, że bez wątplenia potrzebuje pan usług Alexa bardziej niż ja.

Odłożyła słuchawkę na stojak i gapiła się na nią nieobecny wzrokiem. Z powodu fotografii w sypialni Maddie miała inny obraz Arthura Tylera – nawet jeśli zdjęcie miało z pół wieku. Wydawało jej się, że go poznała poprzez te cudowne listy, które jej zostawiał, ale dziwnie było teraz słyszeć głos, który krył się za tymi wiadomościami. Stał się dla niej mniej więcej kimś takim, jak jedna z postaci jej książek – nienamacalną, a jednak bliską jej sercu. Ale kiedy usłyszała dzisiaj jego ochrypnięty głos, stał się aż nadto prawdziwy i nagle poczuła się dziwnie, wychodząc do pensjonatu oraz wiedząc, że pan Tyler będzie na dole, w swoim mieszkaniu.

Trzask zamykanego wieka skrzynki z narzędziami przywrócił ją do rzeczywistości. Arthur spodziewał się jej, a ona nie chciała oddzwaniać i ryzykować, że zakłóci mu spokój. Pokonując przeszkody, które stanowiły materiały do remontu podłogi, zebrała swoje rzeczy i uciekła z domu.

Pod wpływem impulsu zatrzymała się przy *Main Street Deli* i kupiła dwa pojemniki rosółu na wynos. Jeden odgrzeje sobie na lunch, a drugi zostawi w lodówce dla pana Tylera. Być może rosół pomoże mu pokonać przeziębienie, a ona będzie miała jeszcze jeden sposób na to, by się odwdzińczyć.

✱

Arthur Tyler odłożył telefon na stolik nocny, wyłączył lampkę i usiadł na łóżku, gapiąc się na przeciwległą ścianę. *Dziwne*. Wydawało mu się, że głos kobiety, z którą rozmawiał, brzmiał, jakby należał do kogoś młodszego. O wiele młodszego...

Ale z zatkanymi zatokami pewnie miał problemy ze słuchem. Pokręcił głową i sięgnął po chusteczkę, a potem wydmuchał nos tak głośno, że Alex wyskoczył ze swojego legowiska u stóp łóżka i zasyczał.

– W porządku, kolego. Wracaj spać. – Art pogładził szaro-białe futro, które komicznie się zjeżyło.

Kot okręcił się dwa razy w kółko, klapnął z powrotem na łóżko i ponownie zamruczał. Art wetknął stopy w ciepłe miejsce, które dostarczył mu kot, wsunął się pod puchową kołdrę i odpłynął w drzemkę wspomaganą przez działanie leków.

Jakiś czas później obudził go odgłos czyichś kroków – zdecydowanie kobiecych – tuż nad głową. Alex zeskoczył z łóżka i podreptał do holu na zwiady. Art spojrzał na zegar na stoliku nocnym. 8.45. To pewnie Madeleine Houser. Głowa mu pulsowała. Tłumiąc kaszel, skurczył się pod kołdrą.

Usłyszał Alexa kroczącego miękko po schodach na górę, a potem młody głos, który znał z telefonu, gruchający do kota. To by było na tyle, jeżeli chodzi o ogrzewanie stóp.  
*Zdrajca.*

Zaciekawiony, wygramolił się z łóżka i podszedł do schodów. Słyszał dźwięk otwierania i zamykania lodówki, a potem płynącej z kranu wody i pracy ekspresu do kawy. Z zatkanym nosem nie wyczuwał jej aromatu, ale nie miałby nic przeciwko jednej filiżance. Dobrze by mu zrobiła na to drapanie w gardle.

Miał ochotę narzucić bluzę na T-shirt, włożyć dres i iść się przedstawić, ale nie śmiał wystawiać jej na kontakt z parszywym wirusem. W jej wieku taka infekcja mogłaby wywołać zapalenie płuc.

Zamiast tego poszedł do swojego aneksu kuchennego i zagotował szklankę wody w mikrofalówce. Wsypał do niej dwie łyżeczki starej kawy instant i zamieszał. Kompletnie niesatysfakcjonująca, ale musi wystarczyć. Kiedyś się przełamie i kupi ekspres do kawy do swojego mieszkania.

Ponownie usłyszał panią Houser mówiącą coś na górze, prawdopodobnie do jego zdradzieckiego kota. Niosąc kubek parującej kawy, przeszedł do przepierzenia pomiędzy klatką schodową i częścią mieszkalną, starając się pozostać poza zasięgiem wzroku, na wypadek gdyby pani Houser znalazła się u szczytu schodów. Nie chciał przyprawić jej o zawał serca.

– No już, kociaku – powiedziała. – Idź. Wracaj na dół. Musisz dzisiaj zostać ze swoim panem. Sio, Alex. Nic dla ciebie nie mam.

Jakie to słodkie. Usiłowała wygonić Alexa z powrotem na dół. Lubił tę kobietę. I jej głos – coś w jego brzmieniu bardzo mu odpowiadało. Był melodyjny, z delikatnym wschodnim akcentem. Jednak miał problem z dopasowaniem tego głosu do obrazu autorki, który wytworzył sobie w wyobraźni.

Czując, jak kręci mu się głowie, Art poszedł półprzytomny do swojego pokoju

i wczółgał się pod kołdrę. Odpłynął w sen, rozmyślając o tym, jak miło jest mieć kogoś na piętrze, krzątającego się po kuchni i korzystającego z jego biednego, zlekceważonego domu.

✱

Maddie nie mogła się skupić, wiedząc, że Arthur Tyler był praktycznie tuż pod nią. Kilka razy słyszała jego głęboki, ciężki kaszel i miała ochotę podgrzać rosół, który ze sobą przywiozła i zanieść mu na dół. Ale nie chciała go zawstydząć, zastając go w szlafroku – albo i gorzej.

Zignorowała Alexa i skupiła się na edycji rozdziału, który napisała poprzedniego dnia. Kot wreszcie pospacerował z powrotem do swojego pana.

W południe podgrzała pojemnik z zupą. Chociaż stąpała bardzo ostrożnie, podłoga w starym domu skrzypiała przy każdym jej kroku. To jakiś cud, że pan Tyler nie wpadł jeszcze na górę i nie kazał jej się wynosić.

O czternastej, napisawszy boleśnie niewiele, spakowała laptopa i książki. Zanim wyszła, zostawiła jeszcze krótki liścik.

*Drogi Panie,*

*bardzo mi przykro, że jest Pan chory. Mam nadzieję, że nie przeszkadzałam Panu dzisiaj za bardzo. To chyba jednak był zły pomysł, bym przyjeżdżała tutaj w tych okolicznościach. Obawiam się, że każde skrzypienie i szmer w domu brzmiały dla Pana jak stado wielbłądów. Bardzo za to przepraszam i mam nadzieję, że kiedy Pan czyta ten list, czuje się już lepiej. Zostawiłam dla Pana trochę cudownego rosółu z nowo otwartej Main Street Deli. Jak Pan zapewne wie, badania udowodniły, że rosół ma właściwości lecznicze przy przeziębieniu. Mam nadzieję, że Panu posmakuje. Nawet jeśli nie wyleczy z tego, co Panu dolega – jest naprawdę przepyszny.*

*Chyba będzie lepiej, jeśli nie przyjadę do pensjonatu, aż powie mi Pan, że czuje się lepiej i jest Pan w stanie wrócić do pracy.*

*Modłę się o to, by szybko wrócił Pan do zdrowia.*

*Madeleine Houser*

*PS Przepraszam za kradzież Alexa dziś rano. Mam nadzieję, że nie pomyślał Pan, że zwabiłam go tu jakimiś kocimi przysmakami. Przysięgam, że przyszedł sam.*

Narysowała wesołą buźkę obok postscriptum i położyła list na stole.

Jadąc do domu, walczyła ze zniechęceniem spowodowanym utratą całego dnia pisania. Musi się po prostu nauczyć pracy w niesprzyjających warunkach.

Kiedy kilka minut później wjechała na podjazd pod swoim domem, Ginny Ross była właśnie na zewnątrz, zamiatając pierwsze jesienne liście z ganku swojego domu. Maddie zaparkowała w garażu i obeszła dom, żeby porozmawiać z sąsiadką.

– Och, witam panią, panno Madeleine. – Ginny machnęła miotłą, żeby strącić ogromny, czerwony liść klonu na trawę.

Maddie spojrzała na miotłę, a potem w górę, na korony klonów i dębów, na których było jeszcze mnóstwo liści.

– To trochę syzyfowa praca, nie sądzisz?

– Och, wiem o tym, ale to dobre ćwiczenie. Poza tym miło jest pobyc na dworze w taki piękny dzień.

– Pogoda jest przecudna – zgodziła się Maddie.

Ginny oparła miotłę o balustradę ganku.

– To ile słów dziś napisałaś?

Maddie westchnęła.

– Niezbyt wiele, niestety. Pan Tyler został dziś w domu, bo jest chory i nie potrafiłam się skupić.

– Arthur był w domu? – Przez twarz Ginny przemknął dziwny wyraz. – Poznałaś go?

– Nie. Leżał w łóżku, źle się czuł. Biedak okropnie kaszle.

Ginny mlasnęła.

– Ojejku. To chyba rzeczywiście nie miałaś ciszy potrzebnej na pisanie.

– Nawet nie o to chodzi... Po prostu czułam się dziwnie, będąc w jego domu, podczas gdy on był na dole.

Ginny nie odpowiedziała, tylko wzięła miotłę i znowu zaczęła zamiatać.



- Masz już plany dotyczące kolacji, Ginny? Zapraszam cię do tej nowej knajpki.
- Och, nie musisz tego robić, kochana.
- Wiem, że nie muszę, ale chcę.
- No cóż. Co prawda chciałam sprawdzić, co tam można dostać...
- No to jesteśmy umówione. O szóstej?
- Świetnie. Zatrąb klaksonem, jak będziesz gotowa. Spotkamy się na podjeździe.

Ginny wróciła do zamiatania, a Maddie pomyślała, że jej przyjaciółka nagle zaczęła się poruszać nieco zwawiej.

\*

– Cóż, trudno mi to przyznać, ale ten rosół jest prawie tak dobry, jak mój. – Ginny zanurzyła łyżkę w misce, żeby nabrać kolejną porcję bogatego wywaru. Siedziała naprzeciw Maddie w przytulnej łóży w *Main Street Deli*.

Maddie uśmiechnęła się i posmarowała masłem pszenny tost.

– No to twój musi być wyśmienity. – Nagle wpadł jej do głowy pomysł i próbując zachować rzeczowy ton głosu, ubrała go w słowa: – Ginny, powinnaś ugotować trochę swojego domowego rosółu dla pana Tylera. To może mu pomóc się wyleczyć.

To było idealne otwarcie, którego potrzebowała Maddie, by zbliżyć tych dwoje do siebie. Ginny nie musiała wiedzieć, że Maddie zabrała już dla Arta trochę zupy z *Deli*.

– Może właśnie tak zrobię. – Ginny pokiwała głową. Jej oczy błyszczały. – Możesz mu ją jutro zabrać, kiedy do niego pojedziesz.

Maddie gorączkowo poszukiwała w głowie sposobu, by naprowadzić swój plan z powrotem na właściwe tory.

– Ale... Dopóki będzie się źle czuł, postanowiłam pracować w domu. Nie chcę mu przeszkadzać. Ale ty mogłabyś pojechać i...

– Nonsens! – powiedziała Ginny. – Jeśli przyjedziesz z jedzeniem, na pewno nie będzie narzekał. Poza tym najwyższy czas, żebyście się poznali.

Złapana w pułapkę, którą sama zastawiła, Maddie postanowiła się nie kłócić.

\*

Ginny zadzwoniła wczesnym rankiem we wtorek i powiedziała, że poproszono ją o pomoc przy przygotowaniu stypy w kościele i że rosół dla Arthura Tylera musi poczekać jeden dzień. Wdzięczna za odroczenie, Maddie spędziła poranek w domu, robiąc pranie i sprząając tak, jak to tylko było możliwe przy fachowcach kładących podłogę w kuchni.

Kiedy skończyła prace, zadzwoniła do swojej redaktorki w Nowym Jorku, żeby omówić kilka kwestii, które pojawiły się w trakcie pisania. Janice była rozgadana i podekscytowana i Maddie rozłączyła się pełna dobrych myśli. Naprawdę dobrze jej zrobił jeden dzień przerwy od pisania. Jej opowieść wciąż dojrzewała gdzieś w tle i Maddie czuła, że gdy usiądzie do komputera, słowa popłyną same.

Popołudnie spędziła, siedząc przy mamie w dużym ogrodzie zimowym w domu opieki. Sięgnęła po Biblię i zaczęła czytać jej cicho ze zniszczonego tomu. Nie wiedziała, czy mama rozumiała lub chociaż słyszała te słowa, ale Maddie odkryła, że Pismo Święte często wydawało się uspokajać zarówno matkę, jak i ją samą.

Czytała właśnie na głos fragment z Pierwszego Listu do Koryntian:

– „Gdy zaś przyjdzie to, co jest doskonałe, zniknie to, co jest tylko częściowe. Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce. Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno; wtedy zaś [zobaczymy] twarzą w twarz: Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany” [3].

Czy tak czuła się mama? Oglądała świat jakby w zamazanym zwierciadle? Ale przecież ten fragment nie został napisany tylko dla ludzi dotkniętych demencją. Również Maddie widziała niejasno w porównaniu z tym, co będzie, gdy zobaczy Jezusa twarzą w twarz. Umysł mamy zrujnowała choroba, ale jej dusza czekała na to, aż będzie mogła ulecieć ku swojemu Stwórcy. To niesamowita myśl.

Zamknęła Biblię i pogładziła zimną dłoń matki.

– Kocham cię, mammo.

Siedziały razem w ciszy przez długą chwilę i Maddie próbowała cieszyć się towarzystwem swojej rodzicielki.

Krótko przed siedemnastą w szerokich drzwiach pojawiła się ubrana na biało pielęgniarka.

– Pani Houser? Czy jest pani gotowa, by przejść do jadalni?

Mama zmięła w palcach postrzępiony rąbek swetra i nawet nie uniosła wzroku. Maddie położyła delikatnie dłoń na jej ramieniu.

– Mamo, pora na kolację. Przejdziemy do jadalni?

Matka spojrzała jej w oczy, ale jej wzrok nie wskazywał na to, że ją rozpoznała. Maddie machnęła ręką w stronę pielęgniarki.

– Ja ją zaprowadzę.

Ujmując wychudzone dłonie, wstała i delikatnie pociągnęła mamę, by stanęła obok niej. Postarała się zrównać swój krok z szuraniem chorej na alzheimera kobiety i razem ruszyły wzdłuż długiego korytarza.

Następnego ranka, zanim przyjechali robotnicy, Maddie usłyszała wesołe powitanie Ginny dobiegające spod tylnych drzwi domu. Smakowity zapach rosółu zawiódł Maddie do kuchni.

– Dzień dobry. – Ginny postawiła garnek zupy na ręczniku kuchennym na stole i rozejrzała się po pomieszczeniu, omiatając wzrokiem nowe płytki podłogowe i granitowe blaty.

– Coraz ładniej to wygląda.

– Zaczynam dostrzegać światelko w tunelu. – Maddie przejechała dłonią po gładkiej powierzchni. – Fachowiec od blatów skończy dopiero w przyszłym tygodniu, ale zajmie mu to tylko kilka dni. Potem zostanie już tylko malowanie.

– A wtedy nie będziesz już musiała jeździć do pensjonatu – zauważyła Ginny. – Na pewno odczujesz ulgę, gdy nie będziesz musiała taszczyć swoich rzeczy w tę i z powrotem każdego dnia.

– Tak, chyba masz rację.

Sama była zaskoczona tym, jak spochmurniała na tę myśl. Może gdy wysprząta nową kuchnię i schowa naczynia, poczuje się inaczej. Ale kiedy znajdzie na to czas?

– Nie będę cię dłużej zatrzymywać. – Starsza pani poklepała garnek z zupą. – Powiedz Arthurowi, że musi to tylko postawić na palniku i trochę podgrzać. Nie chcę, żeby wygotował cały smak. Albo może odgrzejesz to za niego, Maddie? Ty też się poczęstuj. – Ginny odwróciła się, kiedy doszła do tylnych drzwi z chytrym błyskiem w oczach. – Wystarczy dla was obojga. Możecie zjeść razem lunch.

– Och, cóż... Dziękuję. Pan Tyler na pewno to doceni. – Próbowała ukryć rozczarowanie.

Jeśli Ginny będzie to dalej ciągnąć w taki sposób, Maddie za chwilę będzie karmić tego człowieka łyżką.

Sąsiadka klasnęła w dłonie niczym kwoka dyrygująca kurczętami.

– Jedź już. Nie zatrzymuję cię.

Kiedy Maddie skręciła w Hampton Road kilka minut później z ładunkiem zupy,

zastanawiała się, w co właściwie dała się wpakować.

\*

Art usłyszał silnik samochodu na podjeździe i usiadł zdezorientowany na łóżku. Przez całą noc przewracał się z boku na bok, raz rozpalony, raz drżący z zimna. Sięgnął do stolika nocnego po chusteczkę i wydmuchał nos. Wirus go powalił, ale nareszcie udało mu się zwalczyć gorączkę.

Żwir zatrzeszczał i auto się zatrzymało. Madeleine Houser najwyraźniej zdecydowała się jednak na przyjazd. Przerzucił nogi przez krawędź łóżka i poszedł do aneksu kuchennego, aby podgrzać wodę na kawę. Żałował, że nie poszedł na piętro wcześniej, żeby zdążyć zaparzyć sobie prawdziwej kawy przed przyjazdem pisarki.

Podszedł do okna wychodzącego na podjazd. Był zaskoczony widokiem białej mazdy – spodziewał się starego buicka pani Houser.

Poczuł szarpnięcie w sercu. Czy miał na dzisiaj umówionych gości, o których zapomniał? Próbował sobie przypomnieć, gdzie poprzednio widział ten samochód. Dostrzegał czyjeś ruchy w aucie, ale nie potrafił powiedzieć czyje i ile było w nim osób.

Wciągnął dzinsy i popędził na górę, gdzie w biurku w salonie trzymał kalendarz z rezerwacjami. Coś huczało mu w uszach, kiedy wertował kartki kalendarza, usiłując sobie przypomnieć, jaki dziś dzień. Środa. Aż do weekendu nie miał umówionych gości.

Odgłos klucza przekręcanego w zamku frontowych drzwi, tylko kilka metrów od niego, zadziałał jak zastrzyk adrenaliny prosto w żyłę. To pewnie Madeleine Houser. Dziwne, bo nie słyszał, żeby jej auto podjeżdżało pod dom.

Unosząc wzrok, spojrzął w antyczne lustro zawieszzone nad biurkiem i zobaczył swoje odbicie. *Rety!* Jego zuchwę porastał dwudniowy zarost, włosy sterczały w czterdziestu różnych kierunkach, a na nosy mógłby konkurować z reniferem Rudolfem. Przerazi biedną kobiecinę na śmierć!

Zamknął szybko kalendarz i pognął z powrotem przez dom, praktycznie zeskakując ze schodów na dół, do swojego mieszkania. Nie mogąc złapać tchu, z sercem dudniącym w uszach, Art oparł się o krzesło barowe w aneksie kuchennym. Ponad jego głową zamknęły się frontowe drzwi i przy wejściu dało się słyszeć ciche kroki.

Potem nastąpiła powtórka z litanii poniedziałkowych porannych dźwięków – włączanie komputera, woda nalewana do dzbanka. Co do cholery...? Czy pani Houser pozbyła się gościa z białej mazdy?

Wkrótce ekspres do kawy zaczął bulgotać i syczeć. Zatoki Arta były dziś

zdecydowanie mniej zatkane i smakowity aromat drażnił jego powonienie.

Kroki przeszły przez dom i wyszły na zewnątrz. Być może poszła porozmawiać z kierowcą nieznanego samochodu. Art wrócił zaciekawiony do okna i wyrzwał. Ani śladu buicka pani Houser – ani jej samej – za to mazda wciąż stała zaparkowana na podjeździe. Jej kierowcą była kobieta – wysiadła i schylała się, zabierając jakieś rzeczy z tylnego siedzenia.

Zawiał silniejszy wiatr i siłowała się z zamykającymi się drzwiami, próbując utrzymać je jednym kolaniem i jednocześnie wyciągnąć coś ze środka. Wreszcie stanęła prosto, przodem zwrócona w stronę domu, trzymając w rękach jakieś naczynie. Rozwiewane przez wiatr włosy opadły jej na twarz, więc odchyliła głowę do tyłu, bezowocnie usiłując odgarnąć grubą grzywkę z oczu. Odwróciła się lekko i zamknęła drzwi samochodu biodrem – bardzo kształtnym biodrem, co nie umknęło jego uwadze.

Gdzie zniknęła pani Houser? Kobieta odwróciła się i przeszła chodnikiem w kierunku domu. W jednej chwili coś kliknęło w umyśle Arta. Biała mazda. Oczywiście! To ta kobieta z poczty – urocza pani Zielonooka. Idzie jego chodnikiem.

Następny oddech uwiązał mu w gardle z cichym chrapnięciem. Co ona tu, na Boga, robiła? I dlaczego przywiozła jedzenie? Nie zamierzał otwierać drzwi. Nie w tym stanie.

No i gdzie była Madeleine Houser? Był pewien, że dosłownie chwilę temu słyszał, jak wychodziła. Może powie Zielonookiej o jego niedyspozycji.

Znowu wyrzwał na podjazd. Nigdzie ani śladu buicka. Tylko po co pani Houser miałyby rozstawiać komputer, parzyć sobie kawę, a potem nagle wyjść? To nie miało sensu. Chyba że czegoś zapomniała i musiała szybko pojechać po to do domu. Na pewno o to chodziło.

Art nasłuchiwał dźwięku dzwonka, ale zamiast tego usłyszał, jak otwierają się frontowe drzwi i skrzypi podłoga nad jego głową. Oparł się o ścianę zasłaniającą klatkę schodową. Dobiegły go dźwięki otwieranej i zamykanej lodówki, nalewania kawy, a potem miarowe stukanie klawiatury komputera. Co to wszystko miało znaczyć?

Alex prześliznął się obok niego i podreptał schodami na górę.

– Och, witaj, Alex – zagruchał znajomy głos. – Znowu jesteś niegrzecznym kocurkiem? Będę miała przez ciebie kłopoty. Idź sobie już. Wracaj na dół i ogrzewaj panu Tylerowi stopy.

Art zamknął oczy i uniósł podbródek.

*Tyler, ty idioto! Jak mogłeś być taki głupi?*

Wiedziony impulsem, pobiegł do sypialni i otworzył część szafy, która należała kiedyś do Annie. Siostra i siostrzenice Annabeth pomogły mu spakować jej ubrania i buty ponad rok temu, ale na dwóch półkach z tyłu szafy wciąż stała część kolekcji jej ulubionych książek. Art przyklęknął przed półką i przebiegł palcami po grzbietach, gorączkowo poszukując jednego, konkretnego tytułu.

Oto i on. *Pieśń nadziei* autorstwa Madeleine Houser.

Art wysunął książkę z półki. Wiedział, co znajdzie, jeszcze zanim otworzył okładkę. Odwrócił książkę i uchylił tylną zakładkę zakurzonej obwoluty, gapiąc się na zdjęcie.

A na niego, z fotografii spoglądała znajoma para hipnotyzujących, zielonych oczu.

Ta piękna kobieta z poczty – ta, która sprawiła, że serce zabiło mu nieco szybciej – to Madeleine Houser. Zielonooka była autorką wciągającej powieści, w którą zanurzał się przez kilka poprzednich wieczorów. Ta urocza istota – ta, która pisała do niego wspaniałe listy, których Art tak wyczekiwał każdego wieczoru – to przyjaciółka Ginny. *Młoda* przyjaciółka Ginny. I spędziła prawie każdy dzień tego miesiąca w tym domu – w *jego* domu!

Jak to możliwe, że jego wyobrażenia do tego stopnia mijały się z prawdą? Co się stało z siwą staruszką? Tą, która poruszała się o lasce i jeździła monstrualnym buickiem? Czemu Ginny nic mu nie powiedziała? Ale przecież... co niby miała mu powiedzieć? Ginny nie mogła wiedzieć, że zauroczyła go cudowna nieznajoma z poczty. Jeszcze raz spojrzął na zdjęcie Madeleine Houser na obwolucie książki. Gdyby poszedł za radą Ginny, przeczytałby jedną z powieści pani Houser i już dawno by się zorientował.

Art oparł się plecami o łóżko i usiadł z głową w dłoniach, śmiejąc się cicho sam do siebie, w miarę, jak każdy aspekt jego gigantycznej pomyłki – którą sam wytworzył w swoim umyśle – wychodził na jaw.

Dwadzieścia minut później poczuł muśnięcie miękkiego futra na swojej gołej ręce.

– Alex, ty draniu. Od początku wszystko wiedziałeś, nieprawdaż?

Zachichotał i podrapał kota po podbródku, po czym podniósł się z podłogi i poszedł przez hol do łazienki.

Najwyższy czas wziąć prysznic, ogolić się i przedstawić uroczej, utalentowanej – i jakże młodej – Madeleine Houser.

✱

Maddie usłyszała na dole dźwięk płynącej wody. Pan Tyler najwyraźniej wstał z łóżka. Może przyjdzie na górę i będzie mogła zaproponować mu miskę zupy przyrządzonej przez Ginny. Jej sąsiadka na pewno się ucieszy.

Czuła lekkie podekscytowanie, ale też zdenerwowanie na myśl o tym, że wreszcie pozna swojego tajemniczego gospodarza – i bohatera jej powieści. Ale o tym, rzecz jasna, nie wspomni. Na samą myśl po jej policzkach i karku wspięła się fala żaru.

Zapisała najnowszy rozdział na komputerze i poszła do kuchni, żeby podgrzać rosół. Jeśli pan Tyler nie przyjdzie na górę, może ona znajdzie w sobie odwagę, aby zejść do niego z porcją zupy. Oczywiście po to, by zachwalać Ginny.

Znalazła w koszyku na lodówce paczkę grzanek i położyła na tacy serwetkę, a także szklankę zimnej wody. Pod wpływem impulsu wyszła jeszcze na frontowy ganek i ucięła jedną z więdnących róż z krzaka przed domem. Włożyła ją do wazonika, który znalazła w szafce.

Podziwiając swoje dzieło, przemieszała zupę raz jeszcze i nasłuchiwała dźwięków z dołu, ale tam panowała cisza. Nikt już nie puszczał wody. Może wrócił do łóżka. Na pewno nie chciała go budzić. Nie wiedząc, co powinna zrobić, zmniejszyła płomień palnika i wróciła do komputera, żeby napisać kolejną scenę powieści.

Po kilku bezproduktywnych chwilach miauknięcie Alexa sprawiło, że spojrzała znad klawiatury. Na schodach kilka metrów od niej usłyszała kroki. Ach, a więc rzeczywiście nie spał. Nareszcie miała poznać nieuchwytnego Arthura Tylera.

Wyprostowała się w krześle, zdjęła okulary, zwilżyła usta i schowała włosy za uszy. Ale głowa, która pojawiła się nad poręczą nie należała do pana Tylera. To był... ten facet od trawnika. Mężczyzna z poczty. Maddie wzięła gwałtowny wdech, zaalarmowana, że ten człowiek wszedł do domu bez pukania.

– O, dzień dobry – powiedziała, usiłując wyglądać na spokojną. Odepchnęła krzesło i wstała, uradowana, że dzieli ich masywny dębowy stół. – Przyszedł pan skosić trawnik? – Przesunęła się w stronę frontowych drzwi.

– Trawnik? – Mężczyzna gapił się na nią tak, jakby mówiła w suahili.

– Ehm... Pan Tyler został dzisiaj w domu, jest chory – wyjaśniła. – Jest na dole. Mogę... mogę go zawołać, jeśli pan sobie życzy.

Pod jego speszonym spojrzeniem czuła się niebywale niekomfortowo.



– Madeleine?

Maddie przełknęła ślinę. Skąd znał jej imię? A dziś nie był ten dzień tygodnia, w który zazwyczaj koszą trawnik. Jej serce waliło nieregularnie, walczyła o oddech.

Mężczyzna pokonał ostatnie dwa schody, a Maddie cofnęła się o krok, uderzając o krzesło, które miała za sobą. Położył dłoń na klatce piersiowej.

– Pani Houser, *ja* jestem Arthur Tyler.

– C... co takiego? – Co to za wariat?

– Przepraszam, jeśli panią wystraszyłem. – Pokręcił głową. – I to prawda, że zostałem dziś chory w domu. Ale... chyba już nie zarażam. Pomyślałem, że może najwyższy czas się przedstawić. – Czekał, patrząc na nią z czymś w rodzaju rozbawienia.

– Pan jest Arthurem Tylerem? A ja myślałam...

– Tak, jestem Art Tyler. Myślała pani, że jestem kimś innym?

Maddie sięgnęła do tyłu, wyczuła dłonią brokatowe obicie siedzenia krzesła i opadła na nie.

– Przepraszam. Jestem... Trochę zagubiona. Myślałam... – Prawda zaczynała się przed nią otwierać i zachichotała. – Cóż. Myślałam, że jest pan...

Czekał ze zmarszczonymi, ciemnymi brwiami. Zaczęła jeszcze raz.

– Z jakiegoś powodu założyłam, że jest pan przyjacielem Ginny. Wiem, że naprawdę tak jest, ale sądziłam, że jest pan w jej wieku. Myślałam, że jest pan stary. – Wiedziała, że mówi nieskładnie, ale jej mózg z niewyjaśnionych przyczyn miał kłopot z przyswojeniem oczywistej prawdy.

Arthur Tyler odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się.

– Pani myślała, że *ja* jestem stary? – spytał, kiedy wreszcie złapał oddech. – Ja myślałem to samo!

– Że jest pan stary? – Może rzeczywiście był wariatem.

Znowu się zaśmiał.

– Nie, nie. Myślałem, że to *pani* jest stara. Ginny powiedziała, że ma przyjaciółkę pisarkę i ja od razu wywnioskowałem...

– Najwyraźniej oboje wywnioskowaliśmy to samo. – Jej myśli wirowały, desperacko próbując rozwikłać, o co chodziło w tym całym skandalicznym scenariuszu.

– Tak – powiedział Arthur, a w jego głos wdarła się nutka podejrzliwości. – Nie przypominam sobie, żeby nasza wspólna przyjaciółka zrobiła cokolwiek, by wyprowadzić nas z błędu.

Maddie pomyślała przez chwilę, przypominając sobie złośliwy błysk w oku Ginny tego ranka.

– Ma pan rację. Na pewno powiedziałam coś, co wskazywałoby na mój tok myślenia... Chwila moment! A pomyśleć, że to ja próbowałam... – przerwała, czując, że się rumieni.

– Co?

Maddie znowu zachichotała.

– Próbowałam wyswatać Ginny z panem. Myślałam, że się w panu podkochuje. A przez cały ten czas...

Arthur Tyler zrobił krok w jej kierunku, a w jego oczach błysnęło zrozumienie – w tych oczach, które teraz, z bliska, były dokładnie w tym odcieniu szaroniebieskiego, jaki wyobrażała sobie Maddie.

– Ginny Ross próbowała wyswatać *nas*. O to chodziło?

Maddie uśmiechnęła się i kiwnęła powoli głową, przypominając sobie, jak jej sąsiadka nalegała, by osobiście dostarczyła rosół.

– Mam przeczucie, że dokładnie o to jej chodziło.

Arthur odsunął krzesło od jadalnianego stołu, odwrócił je i usiadł na nim okrakiem, kładąc ręce na oparciu.

– No proszę. Materiał na książkę. Nie, nie o to mi chodziło. – Uśmiechnął się dokładnie tak jak Jonathan Barlowe.

Siedzieli i patrzyli na siebie, kręcąc głowami. Wreszcie Arthur uwolnił krzesło z objęć swojego szczupłego ciała, wstał i wyciągnął dłoń.

– Madeleine Houser, nazywam się Arthur Tyler. Bardzo miło mi wreszcie cię poznać. Prawdziwą siebie.

Maddie ujęła jego dłoń i uśmiechnęła się szeroko.

– Mnie też bardzo miło cię poznać. Po całej naszej wymianie korespondencji chciałabym powiedzieć: „Wydaje mi się, jakbyśmy już dobrze się znali”, ale jestem teraz tak zdezorientowana, że obawiam się, że to nie byłaby prawda.

– Nie. – Zaśmiał się. – Dla mnie też. – Spuścił nieco głowę. – Ale zdecydowanie chciałbym to nadrobić.

W kuchni pachniało rosółem z kurczaka, kawą i ledwie wyczuwalną nutką kobiecych perfum. Po trzech dniach spędzonych z wyłączonym zmysłem powonienia, Art traktował każdy wdychany zapach jak świeże doznanie.

Uśmiechnął się do siedzącej naprzeciwko niego kobiety i wziął do ust kolejną łyżkę aromatycznej zupy.

– Mmm... Przepyszne – powiedział, gdy przełknął makaron. – Czuję, że już mi lepiej. Już wiem, czemu ludzie mówią, że rosół ma walory medyczne. – Puścił do niej oko.

– A ja rzekłabym, że wchodzi łatwiej niż niejedno lekarstwo.

Madeleine Houser otarła kącik ust papierową serwetką.

Przez kilka minut jedli w ciszy – niezwykle komfortowej ciszy, zważywszy na to, że poznali się dopiero dwadzieścia minut temu.

A jednak przyglądając się jej, Art czuł się tak, jakby znał duszę tej młodej kobiety siedzącej z nim przy stole. Serce rosło mu na myśl o tych cudownych odkryciach, których dopiero co dokonał. I pomyśleć, że oboje mieli na swój temat wyobrażenia całkowicie mijające się z prawdą. Za każdym razem, kiedy myślał o komedii omyłek, która sprowadziła ich do tej chwili, chciało mu się śmiać na całe gardło.

Madeleine uniosła wzrok i przyłapała go, jak się w nią wpatrywał, ale lekkie zakrzywienie jej kształtnych warg powiedziało mu, że jej myśli były podobne.

– Czyli przez cały ten czas wyobrażałaś sobie mnie jako kuśtykającego staruszka?

– Nie do końca. – Przekrzywiła głowę. – Raczej dystyngowanego i... energicznego.

Art był zauroczony karmazynowym rumieńcem, który wspinał jej się po szyi.

– Bardzo chciałbym użyć podobnych przymiotników, by opisać wyobrażenie, jakie miałem o pani Madeleine Houser, leciwej autorce, ale będąc szczerym, myślałem sobie, że jesteś po prostu *stara*.

– Hej! – Posłała mu dokładnie takie spojrzenie, jakie chciał wywołać.

Uniósł nieco głowę i wzniosł palec wskazujący.

– Ach, ale może pomówmy o mojej opinii na temat tajemniczej nieznajomej z poczty.

– Może lepiej nie – zaprotestowała. Ale jej uśmiech zdecydowanie wskazywał na coś wprost przeciwnego.

– Desperacko zapragnąłem lepiej ją poznać. – Zawahał się. – Czy mogę zapytać, co cię tak zasmuciło tamtego dnia... W samochodzie?

Madeleine odłożyła łyżkę, zastanowiła się przez chwilę, po czym zachichotała jak mała dziewczynka.

– Co?

Oparła łokieć na stole i położyła podbródek na dłoni.

– Byłam zła, bo moja korektorka właśnie zwróciła mi wydruki z listem, w którym oznajmiła swoją rezygnację.

– O... – Kolejny kawałek układanki wskoczył na miejsce. – Hej! Czy nie powiedziałaś mi wtedy, że prawdopodobnie pewnego dnia będziesz się z tego śmiać?

Zaśmiała się ponownie dźwiękiem, który Art już zaczynał kochać.

Kiedy jej rozbawienie nieco osłabło, w jej ton wstąpiło zadumanie.

– Naprawdę... nie sądziłam, że ten dzień nadejdzie tak szybko.

– Bardzo się cieszę, że tak się stało.

– Ja też. – Nagrodziła go kolejnym uśmiechem.

– Twoja książka jest cudowna, Madeleine. Mogę tak do ciebie mówić? – Brzmiało dobrze, ale wolał się upewnić.

– Przyjaciele mówią do mnie Maddie.

– Niech więc będzie Maddie. – Kiwnął głową. – Naprawdę. Książka jest świetna.

– Dziękuję, Arthurze...

– Proszę cię. Przyjaciele mówią do mnie Art.

– Dobrze, Art. – Uniosła podbródek. – Denerwowałam się... Tym, że będziesz ją czytał.

– Co? Ty denerwowałaś się opinią jakiegoś starego pryka?

– Polubiłam tego starego pryka. I szanuję jego opinie. – W jej oczach pojawił się błysk złości. – Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, jak traktować opinię takiego smarkatego chłystka jak ty.

Gdyby wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia, prawdopodobnie upadłby na kolana i się jej oświadczył. Ale udało mu się powstrzymać i po prostu cieszyć się jej inteligentnym poczuciem humoru.

Maddie. Tak, to imię idealnie pasowało do Zielonookiej. Podskoczyła z krzesła, poszła do kuchni i wróciła z dzbankiem wody, po czym napełniła mu szklanę.

– Dziękuję. Nie musisz mi usługiwać, wiesz?

– Nie przeszkadza mi to. Nie czujesz się najlepiej. A poza tym nigdy nie będę w stanie odplacić ci za to, że pozwoliłeś mi ot tak zająć swój dom.

– À propos... – Zwinął serwetkę w kulkę i odsunął krzesło. – Pozwolę ci już wrócić do pracy.

Pozbierał miski i łyżki i zaniósł je do kuchni.

– Udawaj, że mnie tu nie ma – dodał jeszcze, wtykając głowę z powrotem do jadalni. – Zajmę się naczyniami. A ty wracaj do tej opowieści. Jestem już gotowy na nowe rozdziały.

Poszedł z powrotem do kuchni i nalał gorącej wody do zlewu. Myjąc naczynia, słuchał rytmicznego *stuk, stuk, stuk* wydawanego przez klawiaturę komputera. Gdy wycierał blaty, ponownie usłyszał chichot Maddie.

Zajrzał do jadalni.

– Czy nasza opowieść przybrała humorystyczny ton?

Spojrzała na niego i przyglądała mu się przez chwilę.

– No dobra, mogę ci powiedzieć. Jesteś moim bohaterem.

– Wow... Dlatego że pozmywałem?

– Nie. Ze względu na zdjęcie na górze. – Wskazała na sufit.

Czekał z ręcznikiem kuchennym w dłoni.

– Wtajemniczysz mnie? Czy wolisz zostawić mi liścik? – Wyszczrzył zęby.

Uśmiechnęła się krzywo i pochyliła głowę.

– W pokoju na górze zobaczyłam zdjęcie, na którym jesteś z żoną. To staromodne. Myślałam, że tak wyglądałeś, jak byłeś młody – zanim dowiedziałam się, że nie jesteś stary – to znaczy... – Pokręciła głową. – To strasznie skomplikowane.

Czekał. Nawet cieszyła go jej niezręczność.

– Potrzebowałam twarzy dla mojego bohatera i... Cóż. Pożyczyłam twoją. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

Art uśmiechnął się szeroko.

– Nic dziwnego, że tak bardzo polubiłem tego Jonathana Barlowe'a.

Maddie zaśmiała się i zrobiła się ponętnie różowa na twarzy. Pochlebiała mu ta implikacja.

– Ginny mówiła, że twoja żona... Annabeth... zmarła – prawie wyszeptła.

Na dźwięk imienia Annie urwał mu się oddech, ale wyraz współczucia na twarzy Maddie głęboko go poruszył.

– Tak. – Spojrzał na podłogę. – Na raka. W kwietniu miną trzy lata.

– To naprawdę przykre. Była bardzo piękna.

Pokiwał głową, niezdolny wykrztusić ani jednego słowa. Nagle desperacko zapragnął zmienić temat, więc odwrócił się w stronę klatki schodowej.

– Przeszkadzam ci w pracy...

– Ależ skąd. – Odsunęła swoje krzesło od stołu. – Nie zamierzam wyrzucać cię z twojej własnej jadalni. Pójdę już. Przyjadę znowu, gdy wyzdrowiejesz.

– Proszę, nie jedź, Maddie. I tak miałem wziąć się do roboty. Na dole mam prace do poprawy.

– No... Jeśli jesteś pewien...

– Absolutnie. Bardzo miło było wreszcie cię poznać. – Uśmiechnął się i znowu wyciągnął dłoń. – Madeleine.

Podawała mu swoją, a róż jej policzków znowu zakwitł.

– Ciebie też... Arthurze.

Na dole wyjął stos esejów studentów pierwszego roku i zabrał je do wysokiego stołu barowego w kuchni. Ale myśli o Annie – i o kobiecie nad jego głową – nie dawały mu się skupić.

Kobięcy śmiech płynął w dół klatki schodowej niejedną raz. Nie wiedział, czy Zielonooka pisała śmieszny scenę, czy tak jak on przypominała sobie jakąś sytuację, jakiś opatrnościowy zwrot akcji, który doprowadził do ich dzisiejszego spotkania.

Wiedział tylko, że w tym domu zbyt długo nie dało się słyszeć kobiecego śmiechu.



Następnego ranka, kiedy Maddie wyszła z zaparowanej łazienki, z włosami wilgotnymi po prysznicu, zamrugała do niej automatyczna sekretarka. Odsłuchiwała wiadomość, nakładając makijaż.

– Witaj, Maddie, mówi Art. Chciałem tylko ci powiedzieć, że zupa Ginny działała cud i dzisiaj wracam do pracy, więc dom jest cały dla ciebie. Proszę, czuj się jak u siebie. Zostawiłem ci liścik... Tam, gdzie zawsze. To tyle. Pa.

Na dźwięk głosu Arthura oprócz dreszczu, który przebiegł po jej kręgosłupie, poczuła ukłucie winy. Wyczuła też nutkę wahania i zastanawiała się, co ona oznaczała. Marzyła o Arthurze Tylerze – o Arcie – zarówno za dnia, jak i we śnie, odkąd wczoraj wyszła z pensjonatu. Zakochała się – i to po uszy.

Ale jak to możliwe? Przecież nawet go nie знаła. Czy zauroczyła ją sama idea bycia zakochaną? Gapiła się w lustro, przeczesując szczotką włosy.

– Nie wiesz, co to miłość, Houser.

Ale jakże pragnęła się dowiedzieć.

Kiedy siedziała wczoraj naprzeciwko Arta nad miską rosółu z makaronem, kiedy śmiali się razem i rozmawiali, wydawało jej się, że są starymi, dobrymi przyjaciółmi. Uśmiechnęła się do swojego odbicia. „Starymi”. Wiedziała też coś o jego marzeniach i pragnieniach. W pewnym sensie flirtowali ze sobą, odkąd on odpisał na jej pierwszy liścik. Tylko nie zdawali sobie z tego sprawy.

Maddie zastanawiała się, co też mógł czuć tego ranka. Czy tak samo jak ona zauważał rodzącą się między nimi więź? Chociaż Annabeth zmarła już kilka lat temu, jego wczorajsza reakcja wskazywała jasno, że wciąż oplakuje jej utratę. Będzie musiała zachowywać się ostrożnie i delikatnie.

Wyjechała do pensjonatu ze stadem motyli w brzuchu, w zupełnie nowy sposób wyczekując listu od Arthura. Weszła do środka i pospieszyła do jadalni. Nie kłopotząc się nawet, by ustawić i włączyć komputer, podniosła kartkę papieru leżącą na stole.

W miarę jak czytała, jej serce szybowało i pikowało na zmianę, niczym latawiec na nieprzewidywalnym, kansaskim wietrze.

*Droga Maddie,*

*nie Pani Houser, nie Madeleine, ale droga Maddie. Wciąż usiłuję pouklądać w głowie te wszystkie nieporozumienia, które powstrzymywały nas przed spotkaniem aż do wczoraj. Jednak wydaje mi się, że tak było najlepiej. Myślę, że gdybyśmy spotkali się tamtego pierwszego dnia, kiedy przyjechałaś, by pisać w pensjonacie, nigdy nie udałoby się nam poznać i wzbudzić takiego szacunku do siebie nawzajem, jaki mamy teraz. (Przynajmniej mam nadzieję, że podzielasz te odczucia).*

*Chyba powinnaś wiedzieć, że odgrodziłem się wewnętrznym murem od kobiet – zwłaszcza pięknych, utalentowanych i wolnych. Moje małżeństwo było niezwykle udane, ale skończyło się tragicznie. A ponieważ jesteśmy ze sobą szczerzy od samego początku, przyznam się przed Tobą do wielkiej obawy, iż nigdy więcej nie będę w stanie kogoś tak pokochać. Nie chciałbym, żebyś oczekiwała czegoś, czego być może nie będę w stanie Ci dać.*

*Możliwe, że bardzo się pospieszyłem, dzieląc się z Tobą tym wszystkim – oraz wyrażając teraz tę prośbę – ale to, co mówiłem wczoraj, to prawda: chciałbym lepiej Cię poznać. Czy pójdziesz ze mną na kolację? Na prawdziwą – ośmielę się to tak nazwać – randkę? Jeśli źle odczytałem Twoje sygnały i nie jesteś zainteresowana – proszę, żebyś była ze mną szczerą i żebyś mi wybaczyła. Ale jeśli się nie myliłem – czy masz wolny najbliższy sobotni wieczór? Mam dwa bilety na koncert uczelnianej orkiestry symfonicznej. (Słyszałem też ostatnio o nowej restauracji blisko kampusu. Możemy coś zjeść przed koncertem).*

*Muszę przyznać, że nieco się denerwuję tym następnym krokiem w naszej przyjaźni. Szczerze mówiąc, uwielbiałem tę uroczą, starszą, bezpieczną Madeleine Houser. Trochę mi smutno, że nie ma już jej w moim życiu. Ale mam przeczucie, że jej młodszy odpowiednik równie szybko zdobędzie moje serce. Tak naprawdę chyba już je zdobył.*

*Mam nadzieję, że dzisiaj wieczorem, po powrocie do domu znajdę Twoją odpowiedź, ale jeśli potrzebujesz kilku dni na przemyślenia, oczywiście zrozumiem.*

*Twój przyjaciel, Art*

Maddie odczytała wiadomość jeszcze raz, pieszcząc w dłoni gładki papier. Jak miała teraz skończyć powieść, zdążyć w terminie, *oddychać*, kiedy on w swoim liście tak otwarcie przyznawał się do wahania i składał tak kruchą obietnicę?

Przeczytała treść i poczuła się bardziej zagubiona niż kiedykolwiek wcześniej. Czego on tak naprawdę chciał? Na początku wydawało się, że napisał romantyczną uwerturę, po czym ostrzegł ją, że nikt nie zajmie w jego sercu miejsca Annie. Ale już przy następnym oddechu zapraszał ją na randkę. Czy on sam w ogóle wiedział, czego chciał? Czy wcale go nie obchodziło, że usiłował pociągać za niewidzialne sznurki, robiąc z niej coś w rodzaju swojej marionetki?

Wzięła pióro i odwróciła liścik Arta, gotowa napisać odpowiedź na odwrocie. Ale nie chciała rozstawać się z tą kartką. Musiała zabrać ją do domu, przeczytać jeszcze raz i postarać się rozszyfrować prawdziwe przesłanie jego słów.

Pogrzebała w torbie na laptopa i wyciągnęła z niej duży notes. Siedziała kilka chwil z piórem w ręku i gonitwą myśli w głowie, aż wreszcie zrozumiała, co chciała napisać.

*Drogi Arcie,*

*jestem równie przerażona i niepewna, jak Ty. Skoro już się do tego przyznałam, to mogę powiedzieć, że oczywiście mam wolną sobotę i nie umiem sobie wyobrazić przyjemniejszego sposobu na jej spędzenie niż kolacja i koncert w towarzystwie przyjaciela.*

*Czy możemy tym właśnie pozostać? Przyjaciółmi? Bez żadnych oczekiwań i ewentualności? Przyda mi się teraz przyjaciel.*

*Maddie*

Odłożyła pióro i notes na stół. Rozumiała, co Art miał na myśli, pisząc, że zasmuciło go odejście wyimaginowanej leciwej przyjaciółki. Ona czuła to samo w stosunku do „starego pana Tylera”. Przy nim nigdy nie musiała aż tak uważnie dobierać słów. Nie musiała się martwić, że będzie oceniana w taki sposób, w jaki mężczyźni w jej wieku oceniali kobiety.

Czy zniszczyli cudowną przyjaźń tylko przez to, że się sobie przedstawili? Czy to, że byli w podobnym wieku, a więc teoretycznie mogliby mieć romans, pogrzebało ich przyjaźń? Chyba właśnie pobiła rekord w niszczeniu związków – z przyjaciela stałby się nieznajomym, jeszcze zanim dobrze by go poznała.

Włączyła laptopa, przysunęła do siebie wydruki i zmusiła się do tego, by zacząć pisać. Ale tak naprawdę pragnęła tylko schować twarz w dłoniach i zapłakać.

\*

W czwartkowy wieczór Art siedział w przytulnym salonie Ginny Ross, popijając herbatę z filiżanki z delikatnej porcelany. Omówili już wiadomości ze świata i lokalnej polityki, a teraz zeszli na temat pogody.

Staruszka, siedząca obok niego na przykrytej narzutą sofie, odłożyła swoją filiżankę na koronkowy obrus na stoliku kawowym.

– Dość tej gadaniny, Arthurze. Po co tak naprawdę przyjechałeś?

Art uśmiechnął się. Ginny nigdy nie owijała w bawełnę. Dobrze, wszystko jej wyłoży i zobaczy, czy będzie miała lekarstwo na jego poplątane emocje.

– Chyba zakochałem się w twojej sąsiadce.

Ginny wskazała kciukiem na północ i udawała, że jest w szoku.

– W Elmie Wheaton!?! No nie wiem, Art. Ona jest chyba dla ciebie zdecydowanie za stara, nie sądzisz?

– Bardzo śmieszne, Ginny. Doskonale wiesz, o kim mówię. – Spojrzał na nią poważnie. – Zakochałem się w Madeleine Houser.

– To dlaczego mówisz o tym mnie? – Jej wyraz twarzy był nieprzenikniony. – Chyba to Madeleine powinna jako pierwsza usłyszeć tę zaskakującą wieść.

– Już się dowiedziała... Tak jakby.

– Arthurze, a jak można „tak jakby” powiedzieć kobiecie, że się ją kocha? Wydaje mi się, że albo jej to mówisz, albo nie.

– Ginny...

Jej spojrzenie zmiękło. Wyciągnęła dłoń i pogładziła go po kolanie.

– Chodzi o Annie, prawda?

– Wiem, że nie powinienem tak kurczowo się jej trzymać. Wiem, Ginny, ale nie wiem, co mam z tym zrobić.

– Art... Annie nie wróci. Nigdy. Wiem, że to rozumiesz – powiedziała delikatnie. – I wiem, że Annie chciała, żebyś żył dalej.

– Tylko, że ja... – Przełknął z trudem ślinę. – Tak się boję, że nikt jej nigdy nie dorówna. Tak wspaniale nam się układało, Ginny. Aż do końca, po prostu idealnie i...

– Nieprawda, Art. Wcale nie. – Starsza pani pokręciła głową. – Moja pamięć też czasami pomija trudne chwile, jakie przechodziliśmy z Groverem. Ale to niesprawiedliwe. Nieszczere i nieuczciwe. Tak, przez większość czasu było dobrze, tak jak w przypadku twojego małżeństwa z Annie, ale nie zapominaj o bitwach, które toczyliście. Nie koloryzuj. To nie fair w stosunku do Annie, ale przede wszystkim w stosunku do Madeleine.

Art pomyślał o słowach Ginny. To prawda, że on i Annie czasem się kłócili, ale nigdy nie pozwalali na to, żeby trwać w gniewie do kolejnego dnia. Nigdy nie skrzywdzili się tak, żeby nie potrafili sobie wybaczyć. I nie mógł przypisać sobie tych zasług – należały do Annie. Była z natury delikatna i kochająca, nawet wtedy, gdy zachorowała.

– A co jeśli... ożenię się z kimś i nie ułoży mi się tak dobrze jak z Annie? Wiem, jak udane może być małżeństwo. Nie mogę ryzykować, że utracę wspomnienia tego, co miałem z Annie.

Ginny nachyliła się i ujęła obie jego dłonie w swoje. Jej kruche, żylaste ręce były o wiele mniejsze niż jego, jednak w jej uścisku była zaskakująca siła.

– Arthurze Tyler... – Potrząsnęła lekko jego rękami, żeby spojrzeć jej w oczy. – Znam cię dość dobrze, żeby wiedzieć, że kto jak kto, ale ty na pewno nie zrobisz nic, co mogłoby skalać instytucję małżeństwa. Chyba że wierzysz tylko w samego siebie. Ale znam cię lepiej. Wiem, że zawsze zawierzałeś swoje życie Bogu. Dlaczego teraz nie chcesz tego zrobić?

– Chyba... Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Ale tak jest.

Nie odpowiedział. Nie musiał.

\*

Art przełożył koniec krawata przez pętlę i zawiązał go automatycznie. Mężczyzna, który patrzył na niego z lustra zdecydowanie nie wyglądał na kogoś dręczonego poczuciem winy. Chciałby się z nim zamienić miejscami.

Nie powinien tak się czuć. Wiedział to. Annie odeszła już dawno temu. A Ginny miała rację – ukochana żona dała mu swoje błogosławieństwo, by kiedyś znów znalazł miłość. W tamtym czasie się temu opierał, wciąż nie chcąc uwierzyć, że Bóg zabierze mu Annie. Jeszcze długo po jej śmierci to przyzwolenie nie miało żadnego znaczenia, bo nie chciał nawet spojrzeć na inną kobietę.

Ale teraz do jego życia zakradła się pod płaszczykiem poważnego nieporozumienia żywa, oddychająca kobieta, a on zakochał się w niej, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

No dobrze, być może to przesada nazywać to miłością. Tak naprawdę nie znał Maddie, ale czuł się, jakby ją znał. Listy, które wymieniali, otwały okna do ich serc. Czytanie jej tekstu otwarło drzwi. A teraz, kiedy ją spotkał, kiedy odkrył, że łączy ich

o wiele więcej, niż sobie wyobrażał, nie mógł zaprzeczyć, że wprawiła jego serce w rytm, o którym już dawno zapomniał.

W środę siedział przy stole z piękną towarzyszką i po raz pierwszy od czasu Annabeth McGee poczuł ten zniewalający pociąg w swoim sercu. Dało mu to więcej energii niż cokolwiek innego od bardzo długiego czasu.

Trzy dni później ten pociąg w sercu przerodził się w zawody w przeciąganiu emocjonalnej liny. A w tej chwili poczucie winy wygrywało w tym pojedynku. Na szczęście Maddie nie wyglądała na tak zadurzoną jak on. Prawdę powiedziawszy, jej dość chłodny list sprawił, że jego serce się zapadło. Najwyraźniej była zdeterminowana, żeby pozostali tylko przyjaciółmi. Ale to mogło wyjść im na dobre. Była jeszcze kwestia randki. *Nie* – poprawił sam siebie w myślach. Jeśli chciała, by pozostali tylko przyjaciółmi, Art będzie musiał przestać myśleć o dzisiejszym wieczorze jak o randce. Maddie pewnie szykowała się właśnie w tej chwili na ich wspólny wieczór. Zastanawiał się, jak będzie wyglądała.

*Przestań, Tyler. To przyjaciółka. Nic więcej.* Przed oczami zobaczył jej gładkie, jasne włosy i hipnotyzujące, zielone oczy. W uszach rozbrzmiał mu jej melodyjny śmiech. W wyobraźni już był z kobietą, która była tylko jego przyjaciółką. Ale nie mógł nic na to poradzić.

Myśląc w ten sposób, doprowadzi sam siebie do szaleństwa. Szarpnął mocno krawat, kończąc węzeł, poklepał się po kieszeniach, żeby upewnić się, że ma w nich bilety na koncert, po czym ruszył do auta.

Maddie chodziła po salonie, od czasu do czasu zaglądając do łazienki, żeby sprawdzić szminkę na ustach, dodać trochę lakieru na włosy i poprawić kołnierz białej, jedwabnej bluzki.

Nieczęsto zdarzało jej się tak szykować i miło było dzisiaj wieczorem gdzieś wyjść. Miała nadzieję, że nie przesadziła. Nie chciała, żeby Art odniósł błędne wrażenie.

Rozbrzmiał dzwonek do drzwi. Oddech utknął Maddie w gardle. Włożyła kaszmirowy sweter, potarła wilgotnymi dłońmi długą, aksamitną spódnicę i podeszła, żeby otworzyć.

Na ganku stał Art, przystojny, w ciemnym garniturze i pod krawatem w odcieniu pasującym do jego niebieskich oczu.

– Maddie. Wyglądasz... przepięknie.

Patrząc w jego głębokie oczy, Maddie była pewna, że nie były to po prostu słowa uznania od zwykłego przyjaciela.

– Ty też się odstrześliłeś – drażniła się, zdeterminowana, by utrzymać luźną atmosferę.

Art szedł pierwszy wzdłuż chodnika. Listopad przywiał rzeński wiatr i Maddie otuliła się ciasniej swetrem. Mężczyzna obszedł samochód, żeby otworzyć jej drzwi. Wejście do kabiny jego pick-upa wymagało niewielkiej wspinaczki, ale udało jej się to zrobić, nie wyglądając na skończoną ofertę. Ostrożnie schował rąbek jej spódnicy, zanim zamknął drzwi.

Kiedy Art jechał trzypasmową jezdnią za miasto, trwali w milczeniu. Na drodze międzystanowej włączył się bez problemu do ruchu i ustawił tempomat.

– Ta orkiestra z naszej miejsciny pewnie nie będzie się umywała do tego, co słyszysz w Nowym Jorku.

Machnęła ręką.

– Tak dawno nie byłam na żadnym koncercie, że pewnie nie odróżniłabym jej od występu przedszkolaków grających na fujarkach.

Zaśmiał się.

– I dobrze, bo bardzo możliwe, że orkiestra tak właśnie będzie brzmiała.

– Słuchaj, uwielbiam muzykę klasyczną, ale żaden ze mnie krytyk.

– No to zobaczymy, co powiesz po dzisiejszym wieczorze. – Uśmiechnął się do niej rozbawiony.

Przez resztę drogi do Wichity rozmawiali o muzyce, filmach i książkach, które lubili.

Przez tę godzinę Maddie ostatecznie wymazała z umysłu wcześniejszy obraz Arta jako dystygowanego, starszego profesora i zamieniła go na bystrego, przystojnego mężczyznę z krwi i kości, siedzącego za kółkiem swojego chevroleta z napędem na cztery koła – była to wymiana, której dokonała z wielką chęcią.

Art wypytał ją o karierę pisarską i wyraził bardzo chwalebny opinię na temat książki, nad którą właśnie się trudziła.

– Jeszcze nie skończyłem – odparł. – Ale to, co już przeczytałem jest naprawdę pięknie dopracowane. Będzie mi głupio wziąć od ciebie zapłatę za tę korektę, Maddie.

– No cóż, jeśli nie pozwolisz sobie zapłacić, to lepiej od razu przestań czytać, bo mam u ciebie już taki dług za możliwość pracy w pensjonacie, że w życiu go nie spłacę.

– Hejże – powiedział lekko. – Możemy się wreszcie dogadać w tej kwestii? Oboje czujemy się tak, jakbyśmy oszukiwali to drugie, więc uznajmy, że jesteśmy kwita i nie rozmawiajmy o tym więcej.

– Podoba mi się ten plan. – Pokiwała głową.

Zjedli w nowej włoskiej restauracji we wschodniej części miasta. Kolacja przebiegła w dobrej atmosferze. Maddie znowu poczuła się tak, jakby знаła tego człowieka od zawsze.

Później, pomimo ostrzeżeń Arta, Maddie dobrze bawiła się na koncercie. Mała orkiestra była naprawdę doświadczona, a w programie zawarła kilka ulubionych utworów Maddie. Było jej przykro, kiedy występ dobiegł końca. Przy wyjściu kupiła płytę grupy i słuchali jej w drodze do domu.

– Wiesz co? – zagadnęła, gdy wokół nich krążyły dźwięki Mendelssohna. – Kiedy zobaczyłam tego pick-upa, byłam pewna, że przez całą drogę będziemy słuchać muzyki country.



– Lubię trzymać ludzi w niepewności. – Art uśmiechnął się.

*Rety, święta prawda.*

– Właściwie to rzeczywiście słucham country – powiedział. – Lubię historie opowiadane w tekstach tych ballad. Ale w klasyce jest coś ponadczasowego.

– Czy twoja żona... Czy Annie lubiła muzykę klasyczną?

Zaryzykowała, chcąc się upewnić, że Art da jej poruszyć ten temat.

Nastąpiła bardzo długa cisza. Maddie przypomniała sobie szybkie wyjście Arta poprzednim razem, kiedy w ich rozmowie pojawiła się Annabeth i przez moment wystraszyła się, że wtargnęła na uświęcone terytorium.

– Tak, lubiła muzykę – rzekł wreszcie Art. – Annie grała pięknie na pianinie, a z naszych głośników bez przerwy leciał Mozart albo Vivaldi. – Położył jeden nadgarstek na kierownicy. – A ty grasz? Na pianinie?

Skrzywiła się i pokręciła głową.

– Tylko sama dla siebie. Gram ze słuchu, ale moja mama mówiła nieraz, że gram całym sercem.

– Na pewno grasz pięknie.

– Och, nigdy w życiu nie pokazałabym moich żalosnych wysiłków przed publicznością. Ale to tania terapia. Tylko że trochę wyszłam z wprawy. Pianino mojej siostry potwornie nie stroi, a moje zostawiłam w przechowalni w Nowym Jorku.

– Wrócisz tam kiedyś? – spytał nagle. – Do Nowego Jorku? W Clayburn jesteś tylko tymczasowo?

Zadumała się nad tym, ile zależało od jej odpowiedzi.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Mama ma dopiero sześćdziesiąt osiem lat. Może żyć jeszcze długo. Chcę być tu przy niej.

– Jak ona się miewa?

Maddie wzruszyła szczera troska w jego głosie.

– Hm, to trudne pytanie. Chyba nie rozpoznaje mnie już od dawna.

– To musi być dla ciebie bardzo trudne. Podziwiam cię... za to, że chcesz być przy niej.

– To żadne bohaterstwo. – Pokręciła głową. – Ale cieszę się, że udało mi się tutaj znaleźć. I podoba mi się w Clayburn. Nawet bardziej, niż sądziłam. – Nie powiedziała mu, że to *on* był tego głównym powodem. – Gdyby nie dom w kompletnej rozsypce, nie mogłabym narzekać.

– Ale gdyby dom nie był w rozsypce, nie siedziałabyś teraz obok mnie. Śmiem sądzić, że to był dar.

Jego słowa wprawiły ją w taką samą konsternację, jak jego list. To się musiało skończyć. Wyprostowała się na siedzeniu.

– Art, ja... Jestem już za stara na takie gierki, więc chcę, żebyśmy porozmawiali otwarcie.

– Okej... – odparł ze zrozumiałą ostrożnością. Maddie wzięła głęboki wdech.

– Twój poprzedni list okropnie namieszał mi w głowie.

– Jak to? – Wydawał się zaskoczony.

– Najpierw zapraszasz mnie na randkę, a zaraz potem ostrzegasz mnie, że postawiłeś w swoim życiu mur z powodu Annie. A później znowu zmieniasz ton i mówisz, że zdobyłam twoje serce, cokolwiek to znaczy. – Jej głos mimowolnie przestąpił o oktawę w górę. – A teraz mówisz, że nasza przyjaźń to dar. Przynajmniej tak cię rozumiałam. Chodzi mi o to, że nie mam pojęcia, na czym stoję. Nie wiem, czy postanowiłeś sobie, że nie będziemy niczym więcej, tylko przyjaciółmi, czy naprawdę chciałeś, żeby ten wieczór... to była randka. – Czuli się trochę głupio i bardziej niż trochę krucho, kiedy wyłożyła mu wszystko tak wprost.

Art przeczesał palcami włosy, a potem z powrotem położył obie dłonie na kierownicy i gapił się przed siebie przez dłuższą chwilę. Wystraszyła się, że go zdenerwowała.

Kiedy wreszcie przemówił, jego głos był tak cichy, że ledwie umiała go dosłyszeć ponad warkotem silnika.

– Maddie... Przepraszam.

Wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń. Po jej kręgosłupie przeszedł nikły dreszcz. Art przełknął ślinę.

– Jeśli poczułaś się przeze mnie zagubiona, to dlatego, że ja sam się pogubiłem. Naprawdę chcę cię lepiej poznać. Nie... – Odwrócił się, żeby spojrzeć jej w oczy, zanim jego wzrok ponownie wrócił na drogę. – Skoro jesteśmy stuprocentowo szczerzy, to czuję się tak, jakbym *naprawdę* cię znał i... Podoba mi się to, co widzę, Maddie. I to bardzo. I nie chodzi mi tylko o to, co widzę oczami, chociaż to też przyjemny widok.

Znowu na moment ich spojrzenia się skrzyżowały, więc ścisnął mocniej jej dłoń. Czowała, jak przyjemność ogrzewa jej policzki.

– Chodzi mi o to, że... Cóż. – Uśmiechnął się szelmowsko. – Zauroczyłaś mnie, kiedy sądziłem, że masz osiemdziesiąt lat. Ale wtedy to było bezpieczne, bo nie mogłaś zakłócić tego małego świata pełnego żalu, który sobie urządziłem w życiu... I w którym czułem się komfortowo, choć wiem, jak głupio to brzmi. – Odczekał chwilę, jakby spodziewał się odpowiedzi.

Ale ona nie wiedziała, co powiedzieć.

– Wiem, że to brzmi kompletnie nieracjonalnie, Maddie, ale odkąd cię poznałem, czuję, jakbym... Sam nie wiem... Jakbym się w tobie zakochał. Co byłoby cudowne, gdyby to uczucie nie wywoływało poczucia winy pożerającego mnie żywcem.

Co takiego? Gapiała się na niego. Teraz się w niej *zakochał*?

Ten facet był szalony – i ją też doprowadzał do szaleństwa z zawrotną prędkością. Wreszcie odzyskała głos.

– Czujesz się winny z powodu Annie?

Pokiwał głową, ale nawet w ciemności panującej w kabinie pick-upa nie mógł ukryć emocji, które wstąpiły na jego twarz.

– Art... – Wyciągnęła dłoń z jego ciepłego uścisku. – Moje serce było złamane już tyle razy, że nie będę na siłę szukać kolejnej okazji. Nie mam szans konkurować ze... wspomnieniem. A jeśli szukasz kogoś, kto ukoji twoje poczucie winy, to źle trafiłeś.

– Przepraszam – odparł. – Chcę na nowo otworzyć swoje serce. Naprawdę. I jeszcze żadnej kobiecie tego nie mówiłem. Ale... Nie wiem, jak to zrobić.

– Dziękuję, że jesteś ze mną szczerzy. – Gapiała się na swoje kolana. – Chyba.

– Staram się, Maddie, i tylko tyle mogę ci obiecać.

– Wiem... Wiem, że się starasz. Ale nie wiem, czy moje serce zniesie ryzyko, że mogłoby ci się nie udać.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Kiedy podjechali pod jej dom, Art wyszedł z samochodu i otworzył jej drzwi. Pogrzebała gorączkowo w torebce w poszukiwaniu kluczy, nie chcąc stwarzać niezręcznej sytuacji pod drzwiami.

Kiedy wreszcie znalazła je w najgłębszym zakamarku, zadzwoniła nimi przed sobą.

– Odprowadzę cię. – Art uśmiechnął się, a ona poczuła, jak jej serce mu odpowiada:

– W porządku, nie musisz.

– Maddie... – Zaszurał czubkiem buta o żwir. – Nie chcę brzmieć jak zdarta płyta, ale przepraszam. Zepsułem nam wieczór, który do tej pory był naprawdę cudowny.

– W porządku, Art. Nie masz wpływu na to, co czujesz. – Wysiliła się na pogodny ton głosu. – Koncert bardzo mi się podobał. I dziękuję za kolację. Była przepyszna.

Odwróciła się i ruszyła chodnikiem, świadoma obecności jego pick-upa na podjeździe, aż znalazła się bezpieczna w domu. Zamknęła za sobą frontowe drzwi, włączyła światło i rozsunęła zasłony. Patrzyła, jak Arthur wycofuje spod jej domu. Podążyła wzrokiem za tylnymi światłami jego samochodu, aż zniknęły jej z oczu. Pozwoliła zasłonom opaść i położyła dłoń na sercu, bezowocnie usiłując uśmierzyć ból.

Art powiedział, że chce ponownie otworzyć swoje serce. Cóż, ona właśnie to zrobiła, i proszę, do czego ją to doprowadziło.

Przeszła przez pokój i podeszła do pianina Kate. Przejechała leniwie palcami po zakurzonych klawiszach. Ich kwaśny, metaliczny dźwięk zakłócił ciszę. W powietrzu wisiała nieczysta nuta i Maddie zamknęła oczy. Nie tylko na pianinie grała całym sercem – w miłości również.

Art wrócił do domu i przygotował się do spania, ale sen nie chciał nadejść. W końcu wygrzebał się spod kołdry i chodził po mieszkaniu do świtu, rozmyślając, modląc się i cierpiąc. Ból, który dostrzegł w oczach Maddie tego wieczora, złamał mu serce. I to wszystko przez niego.

Tak bardzo pragnął zostawić przeszłość za sobą i ofiarować Maddie swoją miłość bez żadnych ograniczeń, ale jakim byłby mężczyzną, gdyby tak łatwo porzucił wspomnienia o Annie?

Pod wpływem impulsu podszedł do szafy i zdjął z górnej półki ich ślubny album. Opadł na podłogę przed łóżkiem i położył album na kolanach. Przez pierwsze tygodnie po jej śmierci tak często go przeglądał, że strony bardzo się wytarły. Ale minęło już kilka miesięcy, odkąd ostatnio je przewracał i patrzył na fotografie i notatki. Teraz przypomniał sobie dlaczego. Żywe obrazy przywołały wspomnienia każdego rysu jej twarzy, każdego szczegółu w jej uśmiechu. Jedną migawką aparat uchwycił świetlisty wyraz jej oblicza, gdy szła do niego kościelną nawą. Nie miała pojęcia – oboje go nie mieli – jaki koszmar nawiedzi ich życie dekadę później.

Arthur przewrócił ostatnią kartkę i powoli zamknął album. Kiedy odłożył go na podłogę, jego wzrok przykuła inna książka.

Powieść Maddie w twardej oprawie: ta, która wyjawiała mu jej tożsamość. *Pieśń nadziei*. Ponownie wysunął ją z półki, otworzył tylną okładkę i wbił wzrok w zdjęcie. Z daty w stopce redakcyjnej wywnioskował, że musiało być zrobione jakieś cztery lub pięć lat temu. Maddie miała krótsze i bardziej kręcone włosy, ale jej uśmiech był identyczny... Podobnie jak iskierki w oczach.

W głębokim zamyśleniu automatycznie przewracał strony. Coś przykuło jego uwagę. Fragmenty zaznaczone żółtym markerem i notatki nabazgrane pismem Annie. Jakże często rugał ją za to, że zaginała rogi i pisała po ich książkach? Dla niego było to źródłem frustracji. Ale jej przyjaciółki chętnie pożyczały od niej powieści – bo zawierały coś w rodzaju darmowego opracowania, przynajmniej tak twierdziły.

Pomyślał o słowach Ginny i wtedy przypomniał sobie jedną z burzliwych kłótni z Annie o to, co uważał za całkowity brak szacunku dla książek. Nazwał ją nieodpowiedzialną i rozrzutną. I doprowadził ją do łez. Ginny miała rację, ich życie nie było usłane różami. Miewali też gorsze chwile.

Przekartkował powieść i przeczytał kilka enigmatycznych notatek, które Annie zrobiła na marginesach. „Przypomina motyw przewodni kazania pastora Rennicka”.

„Przeczytać na spotkaniu!”. To był wielki dar, móc zajrzeć do serca Annie. Jego własne serce zamarło, kiedy zobaczył na marginesie swoje imię. „Przeczytać Artowi”.

Czy rzeczywiście mu to czytała? Annie zawsze dzieliła się z nim fragmentami ulubionych książek, ale nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek było to coś z utworów Houser. Oczywiście wtedy w ogóle nie znał Maddie. Przebiegł wzrokiem zaznaczone akapity i podrapał się w głowę. Co też Annie chciała mu przekazać tymi słowami? Przeskoczył na skrzydełko obwoluty i przeszedł opis książki, usiłując umiejscowić przeczytany przed chwilą fragment w kontekście.

Akcja powieści rozgrywała się podczas wojny secesyjnej. Poczuł, jak skręca mu się żołądek, kiedy wyczytał, że bohaterka umierała na suchoty. Nic dziwnego, że Annie utożsamiała się z fabułą. Ponownie zagłębił się w zaznaczony fragment.

*Maizie weszła i otworzyła okno, mamrocząc coś o świeżym powietrzu. Chwilę później służąca, szurając stopami, opuściła pokój, niosąc chlupoczącą miednicę i ciągnąc za sobą lawendowy zapach. Sarah obserwowała ją z łóżka, marszcząc chudymi palcami brzeg koldry. Maizie ledwie na nią spojrzała. Sarah zbladła. Czy w swoim ograniczeniu stała się niewidzialna?*

*Powędrowała wzrokiem w stronę okna i w jednej chwili poczuła, że przenosi się poza najeżoną drzazgami, drewnianą ramę. Pokój, który wypełniała jej choroba, zniknął, a ona jakimś cudem tańczyła pośród wierzb, kłaniających się kwietniowej bryzie. Mogła niemalże poczuć chłodne źdźbła trawy pomiędzy palcami bosych stóp, rozkoszować się ciepłymi promieniami słońca na ramionach. Na moment przypomniała sobie, jak to jest być całą i zdrową. To był dar. I nawet wtedy, kiedy jej dusza tańczyła, dziękowała Darczyńcy.*

Czy Annie doświadczyła czegoś podobnego podczas swojej choroby? Czy było w tym jakieś ukryte znaczenie, którego nie umiał się dopatrzeć? Pokaże ten fragment Maddie. Może ona zrozumie, czego Annie chciała go nauczyć.

Kartkując drugą połowę książki, doszedł do notatki na ostatniej stronie. Była napisana grubymi literami i podkreślona podwójną linią. „KOCHAM tę autorkę!”

Olśniony, podniósł oczy w kierunku sufitu – i jeszcze dalej. Niesamowite. Annie poznała Maddie poprzez jej słowa – stworzyła więź z jej sercem, jej duszą, jej wiarą w Boga – i pokochała ją. Być może to właśnie była wiadomość, którą tak bardzo potrzebował teraz usłyszeć. Znak, którego wypatrywał. Ponownie otworzył zdjęcie autorki i powoli przystawił je do ust. Nareszcie był gotów odpuścić. I nie mógł się doczekać, aż powie o tym Maddie.

Granitowe blaty były eleganckie, a najlepszy porcelanowy serwis Maddie lśnił za szklanymi drzwiczkami szafek. Przeszła przez nieskazitelną, wykafelkowaną podłogę i stanęła w drzwiach, ogarniając wzrokiem efekty tygodni chaosu i ciężkiej pracy. Nareszcie wszystko ukończone. I piękne.

Maddie westchnęła. Jej dni znowu będą należały do niej. Nie będzie już każdego ranka wpuszczala do domu ekipy hałaśliwych robotników ani potykała się wieczorami o stołki do piłowania drewna. Koniec z kolacjami z mikrofalówki. Koniec z taszczeniem całego biura w tę i z powrotem. W domu dało się już normalnie mieszkać, a ona będzie mogła urządzić sobie w nim gabinet i w spokoju skończyć książkę.

Tylko skąd u niej taka melancholia?

Głupie pytanie. Dobrze wiedziała skąd.

Od jej katastrofalnej randki z Arthurem Tylerem upłynął już prawie tydzień. Nie widziała go i nie rozmawiała z nim od tego czasu, nie licząc kilku niezobowiązujących, przyjacielskich liścików na jadalnianym stole. A dzisiaj będzie jej ostatni dzień w pensjonacie. Usiądzie za gładkim dębowym stołem i wsłucha się w znajome, kojące skrzypienie starego domu. Popracuje nad kilkoma kolejnymi rozdziałami i zwabi Alexa, żeby ogrzewał jej stopy. Napisze ostatnie słowa podziękowania dla Arthura Tylera. A potem wróci do domu.

*Dom.* Samo to słowo nappełniało ją tęsknotą. Chociaż luksusowa willa Kate, z nową kuchnią i przestronnymi pokojami, była naprawdę piękna, nigdy do końca nie czuła się tu jak w domu. Nawet ukochany loft Maddie w Nowym Jorku nie zasługiwał na miano miejsca, w którym zamieszkało jej serce. W ciągu zaledwie kilku tygodni to *Pensjonat u Annabeth* stał się dla Maddie domem.

Nie chodziło o cegły i drewniane deski czy topole i różane krzewy – ani nawet o uroczego kota – to nie one sprawiały, że czuła się tam jak u siebie. To Art. Uświadomiwszy to sobie, nie wiedziała, czy jeszcze gdziekolwiek indziej znajdzie swój prawdziwy dom.

Westchnęła ponownie i poszła zabrać swoje rzeczy. Załadowała je do samochodu i wycofała z podjazdu. Dzisiejsza droga do pensjonatu była dla niej niczym marsz skazańca na stryczek. Skręciła w Hampton Road i kilka minut później przekręciła klucz w zamku frontowych drzwi Arta. Przeszła przez hol do jadalni. Jak zwykle czekał na nią liścik – dzisiaj wyjątkowo krótki. Czy on pamiętał, że dziś był jej ostatni dzień?

Ustawiła komputer i włączyła ekspres do kawy, odkładając chwilę, w której przeczyta ostatnią wiadomość od Art'a. Kiedy wreszcie wzięła ją w dłonie, jego powitanie ją zaskoczyło.

*Najdroższa Maddie,*

*dzisiaj Twój ostatni dzień w pensjonacie. Wiem, że musisz skończyć książkę i goni cię termin, ale czy mógłbym w południe przywieźć lunch i ukraść Ci kilka minut? Bardzo chcę z Tobą o czymś porozmawiać. (Jeśli nie możesz poświęcić mi czasu, rozumiem. Po prostu nagraj mi wiadomość na pocztę głosową).*

*Udanego pisania*

*Art*

Odwróciła liścik z nadzieją, że znajdzie postscriptum, które da jej jakąś wskazówkę, ale druga strona była pusta. Jak mógł oczekiwać, że uda jej się skoncentrować, gdy miał się tu pojawić za kilka godzin?

Poszła do łazienki koło sypialni i przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Czemu nie chciało jej się porządnie ułożyć włosów dziś rano, tylko związała je w byle jaki kucyk? I dlaczego nie włożyła na siebie jakiegoś lepszego ubrania, tylko dresowe spodnie i sweter – chociaż musiała przyznać, że jego zielonkawy kolor ładnie uwydatniał barwę jej oczu.

Co to za różnica, jak wyglądała i co miała na sobie? Żadna. To nie miało znaczenia.

Udało jej się napisać zaledwie tysiąc słów, kiedy zegar wybił dwunastą. Dokładnie w tym momencie usłyszała dźwięk klucza w zamku do drzwi w mieszkaniu poniżej. Zwilżyła usta, szybko zapisała plik i przełączyła komputer w tryb czuwania.

Na klatce schodowej usłyszała kroki i wstała, żeby się przywitać. Art usiłował utrzymać w dłoniach dwa plastikowe pojemniki, jednocześnie przytrzymując podbródkiem duże, plastikowe kubki, podczas gdy kot wił ósemki między jego nogami. Pospieszyła schodami w dół.

– Czekaj, pomogę ci. Alex, sio! Mmm... pachnie wybornie. Co jemy?

– Rosół z makaronem. – Art uśmiechnął się szeroko i puścił do niej oko. – Słyszałem, że to pomaga na wszelkie dolegliwości.

Czemu zawsze musiał z nią flirtować? Jeśli nie miał w swoim sercu miejsca na drugą kobietę, dlaczego w jej obecności uruchamiał cały swój urok osobisty?



Zabrała zupę do kuchni i przelała do grubych, glinianych miseczek. Pomieszczenie wypełnił kuszący zapach.

– Czy to z *Main Street Deli*? – zawołała do jadalni, z której dobiegał dźwięk przesuwanych krzeseł. Na napojach było znajome logo, ale zupę zazwyczaj sprzedawali w styropianowych pojemnikach.

Art podszedł i stanął w drzwiach między kuchnią a pokojem i przyglądał się jej, kiedy układała na tacy grzanki i łyżki.

– Napoje są z *Deli*. A zupę zrobiła Ginny.

– Naprawdę? – To dopiero interesujące. Ginny była u niej wczoraj, żeby pożyczyć gazetę. Nie wspominała nic o zupie.

Maddie minęła Arta i zaniosiła tacę na stół. Art porozkładał złożone serwetki i odkapslował napoje. Podszedł i przytrzymał jej krzesło.

– Dziękuję panu.

Usiadł na miejscu po jej lewej stronie, po czym rozłożył sobie serwetkę na kolanach.

– Pomodlimy się przed jedzeniem?

Maddie kiwnęła głową i spuściła wzrok. Art zaskoczył ją, biorąc jej dłoń. Jego uścisk był ciepły i pewny – działał na nią uspokajająco.

– Boże Ojczy, dziękujemy Ci za ten dzień i za to jedzenie. Pobłogosław, prosimy, nasz wspólny czas i ręce, które przyrządziły ten posiłek. W imię Pana Jezusa Chrystusa. Amen.

Ścisnął mocniej dłoń Maddie, następnie ją puścił. Przez kilka minut jedli w milczeniu, po czym Art otarł usta i odsunął się od stołu.

– Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

Połknęła zupę, którą miała w ustach i odłożyła łyżkę.

– Wspomniałeś w liście.

Art spuścił głowę i rysował palcem kółka po gładkim blacie stołu.

– Jestem ci winien przeprosiny. Ty... No cóż. Zaskoczyłaś mnie tamtego dnia, kiedy zdałem sobie sprawę, kim jesteś. Zanim miałem czas na to, żeby przemyśleć konsekwencje, zaprosiłem cię już na randkę. To nie było fair wobec ciebie.

Maddie uruchomiła swój wewnętrzny system obronny. Właśnie zbliżała się aż nadto znajoma wielka scena zerwania. Ale bez obaw. Swoją kwestię знаła już na pamięć.

Tymczasem Art wygłaszał swoją:

– Prawdę powiedziawszy, byłem bardzo zagubiony. Nie szukałem kolejnego związku, ponieważ... Chyba dlatego, że znalazłem już prawdziwej miłości i nie wierzyłem, że zaznam jej jeszcze z kimkolwiek innym.

Z granicy świadomości do Maddie dotarło, że Art używał czasu przeszłego. Wsluchwała się uważniej.

– Przez jakiś czas dławiło mnie poczucie winy – ciągnął. – Ale rozmawiałem ostatnio z bardzo mądrymi doradcami i wierzę, że przywrócili mi rozum.

– D... doradcami? – Czekwała.

Jednym łagodnym ruchem usiadł okrakiem na swoim krześle i przysunął się bliżej niej. Ujął jej prawą dłoń w obie swoje.

– Maddie, nie chcę cię poganiać, ale nie chcę pozwolić ci odejść. Kiedy powiedziałaś mi, że twój dom jest skończony i nie będziesz już przychodziła tu pisać, to... – Pokręcił głową i przełknął ślinę. – Wystraszyłem się. Wiem, że to brzmi jak wariactwo, bo tak naprawdę nigdy nie byliśmy tutaj razem, ale lubiłem wracać z pracy i znajdować twoje listy. To były najprzyjemniejsze chwile każdego dnia i będę za nimi potwornie tęsknił. Lubiałem wchodzić po schodach i czuć nikły zapach twoich perfum. A tamtego dnia, kiedy byłem chory... Och, Maddie, nawet sobie nie wyobrażasz, jak cudownie było słyszeć tu twój śmiech. Nie chcę tego stracić.

Chociaż Maddie twardo opierała się plecami o brokatowe obicie krzesła, poczuła, jak jakaś jej część zaczyna się unosić i szybować.

Alex przespacerował się wokół stołu z uniesionym ogonem, po czym usadowił się między nimi. Spoglądał teraz to na Maddie, to na Artę, aż wreszcie przylgnął całym ciężarem ciała do nogi Maddie, błagając o to, by go pogłaskała.

– Idź sobie, Alex. – Art delikatnie przesunął pupila bokiem stopy. – No już, kolego. Przeszkadzasz mi.

Kot przysiadł na stopach Maddie. Arthur zignorował go i przysunął swoje krzesło o kolejne kilka centymetrów.

– Chodzi mi o to, że wiem już, że mogę znowu znaleźć miłość. I jestem gotowy na tę możliwość.

Siedziała w milczeniu. Spod jej powieki uciekła jedna ciepła łza i spłynęła po policzku.

Art puścił jej dłoń. Wyciągnął rękę, żeby pogłodzić palcami jej włosy i otarł łzę kciukiem.

– Och, Maddie. Tak mi przykro, że cię skrzywdziłem. Czy możemy zacząć jeszcze raz?

Pokiwała głową, z sercem równie ściśniętym, jak gardło.

Art odgarnął jej włosy ze skroni i spojrzał w oczy.

– Desperacko pragnę teraz cię pocałować. Mogę?

W jednej sekundzie znalazła się w jego ramionach, a on całował jej czoło, skronie, płynące po policzkach łzy szczęścia. Wreszcie złączył swoje usta z jej wargami.

Kiedy się odsunął, obojgu brakowało tchu.

– Wow... – wykrztusiła Maddie.

– Tak, wow – powtórzył, całując ją ponownie. Odgarnął z jej twarzy kosmyk włosów i położył dłoń na jej policzku. – Mam ci tyle do opowiedzenia. Bóg działał w moim życiu niewiarygodne rzeczy przez ostatnich kilka dni.

– Naprawdę?

Pokiwał głową.

– Może to ty jesteś pisarką, ale ja też mam kilka historii do opowiedzenia.

Położyła swoją rękę na jego i cieszyła się ciepłem jego skóry.

– Nie mogę się doczekać tych opowieści, Arthurze Tyler.

W jego szarych jak dym oczach rozbłysły znajome iskry.

– A co zrobisz, jeśli ci powiem, że jesteś główną bohaterką?

– Taka wymiana będzie fair. – Uśmiechnęła się szeroko.

Ich wspólny śmiech wypełnił dom.

Art wbił szufłę w śnieg przy podjeździe i podziwiał swoją pracę. Chodnik był czysty, ale poręcze ganku zdobił nieskazitelny śnieżny szal, błyszczący w promieniach styczniowego słońca. Maddie pozwoliła mu odśnieżyć chodnik tylko ze względu na gości, którzy zjadą się tu w ciągu najbliższej godziny.

Jednak nalegała, żeby śnieg na poręczach pozostał nietknięty. Jeśli dobrze pamiętał, użyła słowa „malowniczy”. Sam musiał przyznać, że pensjonat wyglądał ładnie po tym, jak niebo obdarzyło jego dach i okapy dwudziestocentymetrową warstwą białego puchu.

Ledwie udało jej się złożyć tekst na czas i Artowi wydawało się, że będzie gorączkowo planowała wesele i logistykę towarzyszącą przybyciu przyjaciół i członków rodziny; ale jeśli Art dowiedział się czegoś o Madeleine Houser – która miała niedługo stać się Madeleine Tyler – to na pewno tego, że niewiele rzeczy przyprawiało ją o zdenerwowanie.

– Bóg ma wszystko pod kontrolą – powiedziała mu, zanim pocałował ją na dobranoc na werandzie przed pensjonatem wczoraj wieczorem.

To była ostatnia noc, którą spędzili osobno. *Kiedykolwiek*, jeśli miałby w tej kwestii cokolwiek do powiedzenia. Nie docierało do niego, że dzisiaj był dzień ich ślubu. Bał się, że myśli o Annie zmieszane z poczuciem winy stłumią jego radość. Ale z zaskoczeniem odkrył, że chociaż dużo myślał o swoim weselu z Annie, przepełniał go też ogromny spokój. *Dzięki Ci, Boże.*

Siostra Maddie – Kate – przyjechała kilka dni wcześniej i szybko weszła w rolę apodyktycznej starszej siostry. Jego zadaniem było schodzenie im z drogi i robienie wszystkiego, o co poprosiła go Maddie w kwestii weselnych przygotowań. Kiedy Art powiedział o tym pastorowi Rennickowi, mężczyzna pokiwał znacząco głową.

– Czyli wszystko pod kontrolą – skwitował.

Teraz pensjonat był już gotowy zarówno wewnątrz, jak i z zewnątrz i Art poszedł do samochodu. Jego ostatnim obowiązkiem przed założeniem smokingu i czekaniem na Maddie przed kominkiem, było przywiezienie jej mamy z domu opieki. Kilka tygodni temu razem z Madeleine zabrali ją na przejażdżkę po wiejskich terenach i wyćwiczył z pomocą Maddie przeniesienie starszej pani z wózka inwalidzkiego do samochodu, złożenie wózka i umieszczenie go w bagażniku i z powrotem.

Pół godziny później, kiedy pani Houser siedziała obok Ginny, w ostatnim rzędzie, przy przejściu, które miała za chwilę pokonać Maddie, Art pobiegł do mieszkania na dole,

żeby się przebrać. Od śniadania nie widział Alexa, ale kot bez wątpienia ukrywał się przed nieznanymi, którzy przez cały tydzień przychodzili i wychodzili, pomagając w przygotowaniach do wesela.

Kiedy wiązał srebrny krawat wybrany przez Maddie, usłyszał Jeda, Kate i dziewczynki witających gości na górze. Po podłodze nad jego głową szurały krzesła, a przyjemny szmer rozmów płynął z piętra na dół. Poprawił spinki do mankietów i spojrział na zegarek. Już tylko kilka minut. Poczł, jak narastają w nim nerwy. Ostatni raz pociągnął krawat, włożył marynarkę i skierował się po schodach na górę.

Sześć rzędów wypożyczonych krzesel ustawiono w kierunku kominka, a z tyłu pokoju niezauważony przez nikogo Art podziwiał mały tłumek przyjaciół i rodziny. Był zaskoczony, ilu z nich przyszło. Trzech zaprzyjaźnionych wykładowców z żonami siedziało w ostatnim rzędzie, a po drugiej stronie przejścia sporo miejsc zajmowali jego znajomi ze wspólnoty kościelnej.

Dave Sanders, który zgodził się zostać drużbą, napotkał jego wzrok i podszedł, żeby poklepać go po ramieniu i uściskać mu dłoń.

– Cześć, stary... Gotowy?

– Gotowy.

Pastor Rennick podszedł do przodu, a Dave dołączył do niego, podczas gdy Art poszedł po mamę Maddie.

Siedzący w rogu jadalni członkowie uczelnianego kwartetu smyczkowego stroili instrumenty. Wspaniały dysonans był idealną metaforą tego nowego początku. W pokoju zapadła cisza pełna wyczekiwania.

Art nachylił się, żeby pocałować Ginny w policzek i zaskoczony poczuł, jak w gardle urosła mu gula.

– Połamania nóg – powiedziała, zaczepnie trącając go pięścią w ramię.

Art parsknął śmiechem i nagle poczuł się uspokojony. Pogładził Mildred Houser po dłoni i podprowadził jej wózek do miejsca zarezerwowanego dla niej w pierwszym rzędzie. Pocałował ją w policzek tak samo jak Ginny i stanął na swoim miejscu obok Dave'a.

Kate weszła bocznymi drzwiami i dołączyła do nich po drugiej stronie kominka, a pierwsze dźwięki *Trumpet Tune* Purcella [4] wypełniły pensjonat.

Ginny podniosła się z miejsca i podeszła do schodów. Na ten znak wszyscy wstali i zwrócili się twarzami w tym kierunku. Poręcz była ozdobiona bluszczem i kwiatami łyszczca, a w szklanych świecznikach umocowanych na belkach balustrady błyszczały płomienie świec. Pensjonat nigdy nie wyglądał piękniej.

Annie byłaby zachwycona, Art to wyczuwał. Był tego pewien tak samo, jak swojej miłości do Maddie Houser, narastającej z każdą spędzoną wspólnie chwilą. Odwrócił się ku schodom.

To już. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej gotowy.

\*

Maddie stała na szczycie schodów i patrzyła w dół z walącym sercem i napiętymi nerwami. *Proszę, nie pozwól mi spaść.*

Gdy tylko ta modlitwa wypłynęła z jej serca, jej miejsce zajęła kolejna. Prosta modlitwa, którą powitała z nadzieją, że nigdy już nie wyjdzie z jej repertuaru.

– Dziękuję Ci, Boże – szepnęła. – Za wszystko.

Przytłumione, cudowne dźwięki utworu Purcella w wykonaniu kwartetu smyczkowego płynęły po schodach, nadając tej chwili surrealistyczny charakter. Maddie wzięła głęboki wdech i ścisnęła mocniej elegancki bukiet białych róż, który trzymała w dłoni. Zerknęła na swoje odbicie w zdobionym lustrze na ścianie i choć raz była zadowolona z tego, co w nim zobaczyła. Planowała założyć kremową garsonkę, którą miała od lat, ale Kate znalazła tę prostą suknię za kolana na wyprzedaży w butik w Cincinnati i wysyłała Maddie zdjęcia gorączkowymi MMS-ami na kilka dni przed swoim przyjazdem na wesele.

Kreacja była idealna. Absolutnie idealna.

Dopasowana suknia bez ramiączek, z gorsetem zdobionym aksamitną aplikacją i prześwitującym bolerkiem. Satynowa spódnica miała dokładnie tyle falban, ile potrzeba i odsłaniała satynowo-koronkowe pantofelki.

Kate pomogła jej z fryzurą, upinając włosy po bokach i zostawiając tył rozpuszczony, tak jak podobało się Artowi. Siostra próbowała ją przekonać do bujnego welonu, ale Maddie wzdrygnęła się z niechęcią, gdy położyła go na jej głowie. Zamiast tego zdecydowały się na delikatny wianek z kwiatów łyszczca wpięty do diademu.

Maddie zrobiła pierwszy krok po schodach. Jej serce urosło na widok Ginny czekającej na dole. Jakże bliska i droga była jej ta kobieta. Zamrugła, by odgonić łzy, modląc się, by nie rozmazał jej się tusz do rzęs.

Pochyły sufit uniemożliwił jej zobaczenie czegokolwiek więcej niż stopy Art'a. Dopiero w połowie drogi ukazały się jej jego oczy, a w nich dostrzegła tylko miłość.

Zeszła na sam dół i wzięła Ginny pod ramię, ale nie umiała oderwać wzroku od tego mężczyzny – tego niezwykłego mężczyzny. Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Nic w jej życiu nie było dotąd takie słuszne i takie prawdziwe.

Gdy dotarła do wózka inwalidzkiego mamy, uklękła przed nią.

– Kocham cię, mamó – szepnęła, ucałowała jej policzek i wstała szybko, zanim do jej oczu znowu zdążyły napłynąć łzy.

Uścisnęła ponownie rękę Ginny i podeszła do pastora, a przyjaciółka wciąż była przy niej.

Wielebny Rennick przywitał zebranych i mówił przyjemne słowa, które Maddie ledwo słyszała. Ale kiedy spytał:

– Kto oddaje tę kobietę za żonę temu mężczyźnie?

Ginny uniosła podbródek i odpowiedziała pewnie i wyraźnie:

– Jej matka i ja.

Goście westchnęli chórem, bez wątpienia wzruszeni tą chwilą. Maddie uściskała Ginny i zaczęła, aż usiadzie obok jej mamy. Wtedy odwróciła się do pana młodego.

Art ujął ją za rękę, ściskając jej palce i gładząc wierzch jej dłoni swoim gładkim kciukiem, i przemówił bezgłośnym językiem, który rozumieli tylko oni dwoje.

– Jesteś piękna – wyczytała z ruchu jego warg, kiedy odwrócili się plecami do gości.

Pastor Rennick pozwolił im na cieszenie się tą chwilą, po czym wypowiedział ponadczasową treść przysięgi:

– Czy ty, Arthurze Tyler, przyjmujesz z ręki Bożej obecnej tu Madeleine Houser za żonę swoją?

Oraz:

– Czy ty, Madeleine Houser, przyjmujesz z ręki Bożej obecnego tu Arthura Tylera



za męża swego?

*Tak. O tak!*

– Tak jest, przyjmuję!

Powtórzyła przysięgę, starając się dokładnie zapamiętać rysy ukochanego i błysk w jego oczach.

– Ślubuję ci: miłość, szacunek i wierność małżeńską w dniach dobrych, jak i złych, dzielić z tobą radość i smutek, szczęście i nieszczęście, jak Bóg zrządzi, oraz że cię nie opuszczę, aż Bóg przez śmierć nas rozłączy [5].

Założyli sobie nawzajem obrączki i pastor uśmiechnął się do nich, a potem do wszystkich zebranych.

– Na mocy nadanych mi praw stanu Kansas ogłaszam was mężem i żoną. Możesz teraz pocałować...

*Miau.*

Wśród zebranych rozległy się westchnienia zdziwienia, a dzieci Dave'a Sandersa roześmiały się na głos. Art i Maddie równocześnie spojrzeli w dół i ujrzeli Alexa wijącego ósemki między ich nogami z wysoko uniesionym ogonem.

Maddie stłumiła chichot.

Art puścił do niej oko i schylił się, by podnieść kota jedną ręką. Bezceremonialnie wręczył zwierzę pastorowi, po czym odwrócił się, wziął Maddie w ramiona i pocałował ją długo i słodko.

Goście wstali, bijąc brawo i wznosząc okrzyki radości, a kwartet smyczkowy z werwą rozpoczął radosne wykonanie *Marszu weselnego Mendelssohna*.

Art zsunął dłoń po jej ramieniu i ponownie wziął ją za rękę, splatając z nią palce. Odwrócili się razem w stronę swoich bliskich, po raz pierwszy jako mąż i żona.

Maddie czuła się tak, jakby unosiła się nad ziemią, kiedy szła obok niego wzdłuż przejścia.

Nowy rok, nowe życie, nowy początek.



© Ken Raney

Pierwsza powieść Debory Raney, *A Vow to Cherish*, zainspirowała film pt. *Przysięga małżeńska* i rozpoczęła jej pisarską karierę po dwudziestu latach spędzonych w roli niepracującej mamy. Deborah jest autorką ponad trzydziestu powieści. Mieszka z mężem Kenem w Kansas i ma czworo dzieci oraz siedmioro wnucząt, z których wszyscy mieszkają zdecydowanie za daleko.

Betsy St. Amant

Lutowa panna młoda

*Poświęcam mojemu Umiłowanemu teraz i na zawsze – Jezusowi Chrystusowi.  
Twoja czułość i miłość do mnie przewyższają wszelką inną miłość. Jestem Twoja po wsze  
czasy.*

## Prolog

Allie Andrews nie mogła złapać tchu i nie miało to nic wspólnego z metrami tiulu, który ją otulał. Ani z faktem, że w zatłoczonym kościele w małej miejscowości na Południu znowu szwankowała klimatyzacja i ludzie, czerwoni na twarzach, wachlowali się programami ślubnymi – co sama widziała, gdy dziesięć minut temu wyjrzała przez okienko zakrystii. Nie, kłopoty z oddychaniem wiązały się z zegarem. Dosłownie – z tym tykającym na ścianie, i w przenośni – z tym w jej sercu, który wybijał nieregularny rytm.

*Mężatka.*

Po kręgosłupie pociekła strużka potu. Na pewno przesiąknie przez delikatny materiał koloru kości słoniowej, który spływał od ramion ku ziemi jak kaskada rozlanej przez pomyłkę białej czekolady. No właśnie, przez pomyłkę.

*Mężatka.*

Ściskając mocno bukiet róż, trawiona przygnębiającymi myślami, krążyła nerwowo po salce na uboczu. Wysunęła piętę z buta na ośmiocentymetrowym obcasie. Miała wrażenie, że jej wnętrzności skręciły się w węzeł, z którego każdy harcerz mógłby być dumny.

*Mężatka.*

Bardzo łatwo byłoby wysunąć ze szpilek jedną stopę, a potem drugą, dla zwiększenia przyczepności wbić wypedikiurowane palce w wykładzinę, unieść spódnicę i... dać dyla.

Lepiej teraz niż później, prawda?

Ale... co z Marcusem? Nie może mu tego zrobić.

Pytanie, czy biorąc ślub, nie uczyni mu większej krzywdy.

Podeszła do okna wychodzącego na wysypany żwirem parking zapchany autami prażącymi się w późnowrzesniowym upale. Niezła frekwencja. Wygląda na to, że stawiała się połowa Beaux Creek. Na stole w sali, gdzie odbędzie się przyjęcie, piętrzą się już zapewne stosy prezentów: zastawa stołowa w sentymentalne kwiaty, której rzadko będzie się używało, karty podarunkowe do marketów budowlanych i przypuszczalnie kilka opiekaczy do pieczywa oraz blenderów. Jeśli zdecyduje się zdjąć buty, wszystkie te prezenty trzeba będzie zwrócić.

Ale czy dzielenie się nimi po rozwodzie będzie łatwiejsze?

Przypadkowe spojrzenie w lustro ujawniło, że na ramieniu, tam gdzie powinna być koronka, prześwieca opalona skóra. Och, nie... Ustawiała się tak, by lepiej widzieć. Niestety. Szew rzeczywiście pękł i zrobiła się dziurka.

Serce zabiło jej gwałtownie.

Nie, to nie jest żaden znak. Tylko rozdarcie. Zdarza się. Prawda?

Odsunęła się od okna. I co teraz? Pożałowała, że nie ma przy niej Hannah, jej jedynej drużki, która akurat poszła z dziewczynką od kwiatów po raz ostatni do toalety. Poza tym wprawdzie Hannah była jej przyjaciółką, ale była też siostrą Marcusa. Gdyby Allie powiedziała jej o targających nią wątpliwościach, naraziłaby ją na rozterki wyboru między lojalnością wobec przyjaciółki i wobec brata. Nie, ani jej, ani jemu nie mogła tego zrobić. Sama musi sobie poradzić.

*Mężatka.*

Przełknęła z trudem ślinę i przycisnęła dłonie do brzucha. To na pewno tylko nerwy. Przecież kocha Marcusa.

Może nawet za bardzo.

Organy zagrały głośniejsze, dając znak matce i babce, że powinny ruszyć środkiem nawy ku swoim miejscom w pierwszej ławce. Zaraz po nich przyjdzie czas na Hannah i dziewczynkę od kwiatów, która była kuzynką Marcusa. Blondyneczka z burzą loków będzie sypać czerwone róże na paskudny chodnik zamaskowany koronkowym bieżnikiem, po którym przejdzie Allie. „Na dobre i na złe”.

Nie cierpiała róż.

Co ona tu robi? Kwiaty, dywan, suknia. Wszystko się ze sobą gryzie. Nie ma w tym ani krzty Allie. Tylko... jej matka, babka, ciotka.

Żadna z nich nie była wzorem żony. W jej żyłach też płynie zła krew – a ona nie ma na to wpływu. Podobnie jak nie miała wpływu na wybór sukni ślubnej, od kilku pokoleń służącej wszystkim kobietom w jej rodzinie, lokalu na przyjęcie weselne ani nawet ozdoby na torcie – która, jak na ironię losu, przedstawiała pana młodego usiłującego uciec od panny młodej przytrzymującej go silną ręką za kołnierz fraka.

Marcus nie ma szans.

A to wszystko jej wina.

Muzyka przycichła, zmieniła się tonacja i zabrzmiały trochę fałszywie pierwsze takty marszu weselnego. Zgromadzeni goście wstali z miejsc i Allie dobiegło skrzypienie starych, wypaczonych drewnianych ławek – zupełnie przypominające skrzypienie szubienicy.

A biedny pan młody nie miał pojęcia, że wsadza głowę w pętlę w postaci obrączki ślubnej.

Allie zrzuciła buty, podniosła spódnicę i wystartowała.

Allie Andrews była pewna, że gdyby stroje ślubne mogły mówić, to od tego, co powiedziałyby jej suknia, uszy by zwiędły.

Po czterech miesiącach – co do dnia! – od chwili, gdy przebrawszy się na tylnym siedzeniu samochodu, przydepnęła pedał gazu i pomknęła po autostradzie, mając do towarzystwa tylko butelkę napoju czekoladowego i ulubione sprane dżinsy – suknia cały czas wisiała na widocznym miejscu w garderobie, a rozdarcie, które niegdyś uważała za nieznaczące, teraz drażniło ją i wydawało się coraz większe. Za każdym razem, gdy otwierała drzwi garderoby, przypominało zerwanie jednej z nielicznych w jej życiu relacji, które były coś warte.

I właśnie dlatego musiała się jej wyrzec.

Allie złapała ulubiony fioletowy sweter, który często nosiła do pracy, od kiedy w sklepie z antykami zepsuta klimatyzacja w ogóle nie dawała się wyłączyć, i wciągnęła go przez głowę. Na pociechę przed trudną rozmową. Umówiła się na lunch z Hannah, a spotkanie to odkładała bardzo długo. Spodziewała się, że przyjaciółka może mieć do niej żal, że zostawiła przed ołtarzem jej brata. Hannah mnóstwo razy dzwoniła i nagrywała wiadomości na pocztę głosowej – ale te wyrazy bezwarunkowej przyjaźni były jeszcze gorsze niż odrzucenie, trudniejsze do zaakceptowania niż słuszne pretensje. I może dlatego przez tyle czasu Allie nie mogła się zdecydować na spotkanie.

Poza tym Hannah za bardzo przypominała brata.

Wkładając sweter, Allie otarła się ręką o suknię. Pienista koronka zafalowała na wieszaku, szeleszcząc potężnie.

Dziewczyna jęknęła i zamknęła garderobę z większym zdecydowaniem, niż było to konieczne. Wprawdzie mogłaby się pozbyć tego ciucha, lecz czy warto było ryzykować gniew matki, babki i ciotki? Dziwne, że choć wszystkie gotowe byłyby ją udusić, gdyby sprzedała lub wyrzuciła suknię, żadna nie miała ochoty trzymać jej u siebie w domu. „Teraz należy do ciebie i będzie należeć tak długo, póki nie przekazesz jej swojej córce”.

No jasne. Córka? Zanadto się pospieszyłyście.

I do tego zero nadziei na wybaczenie sobie tego, co uczyniła Marcusowi. Mimo że zrobiła to dla jego dobra.

Ktoś zapukał i Allie pomknęła do drzwi, rzucając okiem na zegarek. Jeśli nie chce się spóźnić, musi wyjść najpóźniej za dziesięć minut, a ponieważ lunch miał zadecydować



o wiszącej na włosku długoletniej przyjaźni, nie mogła robić wrażenia, że jej nie zależy. Otworzyła drzwi.

To była Hannah. W różowym, kaszmirowym sweterku i obcisłych dzinsach wsuniętych w kozaki wydała się jej zupełnie obca – a jednocześnie bliska, jak dawniej. Wyglądała świetnie, jakby nie straciła przyjaciółki ani nie spędziła kilku miesięcy na pocieszaniu zrozpaczonego brata.

No, ale może Allie wcale nie była dla niej aż tak ważna.

– Właśnie wybierałam się na spotkanie z tobą – przywitała ją, otwierając szerzej drzwi i nastawiając się psychicznie... na coś. Nie tylko na powiew styczniowego chłodu, który mimo kaloryferów wdarł się na klatkę schodową. – Czyżbym pomyliła godzinę?

Cofnęła się o krok i zaczepiła obcasem o pasiasty chodniczek. Może Hannah zmieniła zdanie i postanowiła zakończyć znajomość bez świadków? Może doszła do wniosku, że Allie nie zasługuje na wspólny lunch na oczach wszystkich?

– Nie mogłam wytrzymać, żeby ci powiedzieć! – pisnęła Hannah i podetknęła Allie przed nos palec z pierścionkiem. – Zaręczyłam się! – Podskoczyła, a ciemne sprężynki włosów podskoczyły razem z nią.

„Zaręczona”.

To słowo utkwilo Allie w gardle, o mało się nie udławiła.

– To... to...

No jakie? Zaskakujące? Niezupełnie. Wprawdzie Hannah i Zach chodzili ze sobą tylko pół roku, ale przecież nie trzeba być ze sobą kilka lat, żeby stanąć razem na ślubnym kobiercu. W jej wypadku długie narzeczeństwo wcale się nie sprawdziło.

– Wiem, wiem.

Hannah weszła do mieszkania i usiadła na poręczy turkusowego fotela, zupełnie tak samo, jak robiła to już milion razy. Jakby to było takie łatwe, zacząć w miejscu, w którym się urwało. Jakby kilka ostatnich miesięcy niczego nie zmieniło.

A może naprawdę nie zmieniło?

Hannah znowu podniosła rękę, ale tym razem spokojnie pozwoliła Allie podziwiać duży, kwadratowy diament.

– Zach jest doskonały. Chociaż nie, niezupełnie. Jest niechlujny i lubi zupełnie inne filmy niż ja. – Parsknęła śmiechem. – Ale doskonale do siebie pasujemy.

Allie powoli usiadła na krawędzi sofy koło przyjaciółki.

– Rozumiem. – Poniekąd. Jej związek z Marcusem nigdy nie wydawał się jej doskonały. Choć sam Marcus na pewno taki był. Tak bardzo, jak tylko może być doskonały wysoki, ciemnowłosy, ciemnooki i wysportowany facet kochający samochody. Gorzej z Allie. To ona była tą gorszą połówką – przez swoją rodzinę i przez dziedziczną klątwę. Kiedyś, patrząc Marcusowi w oczy i czując ciężar diamentu na palcu, myślała, że potrafi uniknąć tego nieszczęścia. Wyzwolić się spod ciężaru słów, jakie szeptała jej mama, kiedy tato numer 2 wsiadł na harleya i pomknął w siną dal, kiedy tato numer 4, zatrzasnąwszy drzwi, wyszedł na zawsze z domu, kiedy nieformalny tato numer 5, wezwawszy taksówkę, zerwał ze sznura swoje ubranie i wrzucił je do worka na śmieci.

„Pamiętaj, Allie, takie są kobiety w naszej rodzinie. Najpierw łamią serca innym, a potem inni łamią serca im”.

Nie zapomniała zaciśniętych ust matki, zmarszczonych brwi, spojrzenia twardego jak stal. Taki sam wyraz twarzy miała babcia, ilekroć ktoś wspomniał jej pierwszego albo drugiego męża, i ciotka Shelley, kiedy oznajmiała, że spotyka się z następnym mężczyzną poznanym na internetowym forum randkowym.

Skoro gepard nie może zmienić cętek ani zebra pasków, to jak ona może zmienić coś, co jest w jej krwi?

A ponieważ Marcus jest zbyt honorowy, by złamać obietnicę albo uchylić się przed kulą, to ona musiała usunąć go z linii strzału.

Ale nikt tego nie potrafił zrozumieć.

Hannah uśmiechnęła się szeroko.

– Oczywiście, że to rozumiesz. Wiedziałam, że tak będzie, bo sama byłaś... zaręczona... – urwała i spuściła wzrok. – Och, wybacz, nie miałam zamiaru tego wspominać. Naprawdę.

Widząc skruchę w jej oczach, Allie trochę się uspokoiła. Och, to tylko dobra kumpelka, a nie pluton egzekucyjny.

– Przyszło mi do głowy, że może George.

Brazowe oczy Hannah, identyczne jak oczy jej brata, błysnęły podejrzanie.

– O czym ty mówisz?

– A może Bob?

– Nie rozumiem. – Nagle... – Czy to faceci, z którymi się umawiałaś, od czasu...

– Uspokój się. – Allie puściła do niej oko. – Boję się, że omijając słoniowaty temat, wytłuczemy całą porcelanę, więc pomyślałam, że powinnyśmy przestać udawać, że go nie ma, nadać mu imię, założyć obrożę i traktować jak domownika.

Dopiero po dłuższej chwili milczenia usta Hannah drgnęły i uśmiech, zrazu niepewny, za moment się rozszerzył.

– Masz rację! – Wyprostowała się godnie i zrobiła poważną minę. – Według mnie to Steve.

– Wobec tego od dziś nazywa się Steve.

Na razie nie było tak źle. Może długoletnia przyjaźń jest w stanie konkurować ze związkami pokrewieństwa. Choć Allie wcale nie miała zamiaru narażać Hannah na konieczność wyboru – i właśnie dlatego przez kilka miesięcy unikała spotkań. Nie chciała stawiać jej w jeszcze bardziej niezręcznej sytuacji. A Marcus miał dość na głowie bez dodatkowych komplikacji.

Lecz fakt, że Hannah siedziała u niej w salonie, znaczył, że może znajdzie się jakieś wyjście. W końcu może przyjaźnić się z nią, nie widując Marcusa. On nawet nie musi o tym wiedzieć.

– No, w każdym razie nie przyszedłam tu ze względu na Steve’a. Wyraźnie dałaś do zrozumienia, że nie chcesz na ten temat rozmawiać, więc uszanuję twoje życzenie.

Hannah wstała z fotela i zaczęła krążyć po małym salonie, przystając co kilka kroków, żeby poprawić jakiś bibelot na kominku albo wyrównać fioletowe poduszki na sofie, którą Allie ostatnio na nowo obiała.

– Przyszedłam cię o coś prosić.

– Czego tylko pragniesz – powiedziała Allie bez namysłu. I rzeczywiście zrobiłaby wszystko, aby wrócić do przyjaźni z Hannah, żeby rozjaśnić ponure życie czymś dobrym i znajomym. Sama do tego doprowadziła, ale wcale nie było jej przez to łatwiej.

Bo nie mogła zmienić jednego: gdyby tamtego dnia pobiegła do ołtarza zamiast do

auta, od czterech miesięcy byłaby mężatką. Pewnie szykowałiby się z Marcusem do świętowania tego faktu na uroczystej kolacji, podczas której on wsunąłby jej pod talerz słodką kartkę z życzeniami albo poprosił kucharza, żeby pomidorki koktajlowe w sałatce ułożył w kształt serca. Taki właśnie był Marcus. Troskliwy. Romantyczny. Zawsze myślący.

Bez wątpienia wyświadczyła mu przysługę. Przez parę miesięcy mogłaby panować harmonia, ale nie wytrwałiby kilku lat. W jej rodzinie trzy lata to było maksimum. Żadnej kobiecie nie udało się dłużej – mimo że wszystkie podejmowały liczne próby.

– Cieszę się, że to powiedziałaś.

Głos Hannah i zgrzyt szkła po szkłe, gdy przyjaciółka mechanicznie poprawiała kwiaty w wazonie, oderwały Allie od rozmyślań. Zaciekawilo ją, czy Hannah wie, że wazon zastąpił stojącą tu poprzednio wielką fotografię, na której przytulała się do Marcusa. – Bo chciałam cię prosić o coś dużego.

Na pewno nie może być to tak wielkie jak Steve.

– Wiesz, że zawsze marzyłam o ślubie w walentynki.

W oczach Hannah zapaliły się iskierki i Allie niemal widziała, jak strzelają z nich komiksowe różowe serduszka.

– To znaczy, że zostało nam tylko około sześciu tygodni. A właściwie bliżej pięciu.

– Pięć tygodni. O rety, masz rację. To ekspresowe tempo. – Allie dobrze wiedziała, że za tym pospiesznym ślubem nie kryje się żaden utajony powód, choć wiele osób na pewno będzie snuć domysły. Marcusowi bardzo by się nie podobały tego typu plotki na temat siostry. Zawsze był bardzo opiekuńczy w stosunku do swoich kobiet.

– No właśnie. Nie ma czasu do stracenia. – Hannah wzięła głęboki oddech i zaczęła bawić się pierścionkiem na ręce.

– Cokolwiek chcesz, możesz na mnie liczyć. – *Jestem ci to winna.* Nie wypowiedziała tych słów, ale czuła je na języku. To była prawda. Była winna jej przysługę. O cokolwiek chodziło, musi się zgodzić. W końcu Hannah niechętnie, ale jednak uhonorowała rozpaczliwą prośbę o to, żeby po niedoszłym ślubie przez jakiś czas zostawić ją samą sobie i dać odetchnąć od wszystkiego, co kojarzy się z Marcusem. Hannah widziała się z Allie kilka godzin po jej ucieczce sprzed ołtarza. Przyszła zabrać samochód brata, a rozmowa przyjaciółek, choć krótka, była łzawa i ogromnie krępująca. Niemniej Allie naprawdę potrzebowała dojść do siebie po tej decyzji i Hannah, dając jej na to czas, ofiarowała jej coś, co było warte więcej niż wszystkie tostery i ekspresy do

kawy na świecicie. Teraz ma okazję odwdziżyć się za wyrozumiałość.

Poza tym czy to źle? Jeśli Hannah najwyraźniej ma zamiar zakopać topór wojenny, to obecna przysługa, cokolwiek by to było, może udowodnić lojalność Allie wobec przynajmniej jednej osoby z rodziny Hallów. A obecność Hannah na pewno złagodzi nieznośną samotność, która nieustannie towarzyszy jej od tych kilku miesięcy. Więc dlaczego nie miałyby wrócić do przyjaźni – z dala od Marcusa? Allie wcale nie musi go widywać.

– Chciałabym, żebyś była moją pierwszą druhną.

No cóż, wygląda na to, że jednak nie uda się uniknąć spotkania.

✱

Marcus Hall wytarł brudne od smaru ręce w jeszcze brudniejszą ścierkę, rzucił ją na stół w warsztacie i pochylił się nad zderzakiem auta. Złożenie silnika corvette stingray '67 okazało się nieco bardziej skomplikowane, niż się spodziewał, a musiał jeszcze sprawdzić uszczelnienie rury wydechowej, lecz od kiedy siostra poinformowała go o tym, kogo wzięła na pierwszą druhną, cieszył się ze wszystkiego, co absorbowało jego myśli.

Czy naprawdę musiała wybrać Allie? *Jego* Allie? Jedyną kobietę, która kiedykolwiek coś dla niego znaczyła? Jedyną kobietę, której obsesja na punkcie koloru turkusowego nie była wkurzająca, tylko zabawna? Jedyną kobietę, która miała taką władzę nad jego sercem, że mogła je strącić na dno rozpacz? I chyba nadal jej nie straciła.

No cóż, niedługo będzie miał okazję się przekonać.

Kiedy poprzedniego dnia Hannah oznajmiła swoją decyzję, rzucił trzymany w ręku klucz francuski o ścianę z taką siłą, że o mało go nie złamał. Syreny alarmowe w głowie zagłuszyły odgłos uderzenia. Czy nie wystarczy, że lada moment nadejdą walentynki? Chciał – jako szczęśliwy mąż – celebrować ten dzień z Allie tam, gdzie poszli na pierwszą randkę. A teraz będzie spędzał to, co miało być jego świętem, na ślubie młodszej siostry.

Stojąc naprzeciw jej druheny, a swojej niedoszłej żony.

Jęknął. To jakiś spartolony reality show. Zawsze nienawidził tych programów, a teraz okazuje się, że mógłby być ich gwiazdą.

Jedno było pewne: Allie Andrews równa się awaria osobowości. Odkąd z piskiem opon ruszyła z parkingu przed kościołem, minęły cztery miesiące, a jemu nadal na dźwięk jej imienia serce podchodziło do gardła. Powinien być wściekły na nią za porzucenie go przed ołtarzem bez słowa wyjaśnienia – a przynajmniej wszyscy tak uważali. Może łatwiej poradziłby sobie ze złością niż z nieprzemijającym bólem, ale co zrobić – nie

potrafił. Złość spływała z niego jak deszcz z tłustej szyby.

Znajomy stukot obcasów uświadomił mu, że nie jest już sam. Hannah. Założywszy ręce, oparł się o ścianę i skinął jej głową na przywitanie. Druga wizyta tego samego dnia. Zły znak.

– Jesteś zajęty? – Uśmiechnęła się nieśmiało.

Marcus opuścił ręce, starając się, żeby uśmiech wyglądał szczerze. To wielka chwila w życiu jego siostrzyczki. Nie może jej zniszczyć swoimi problemami.

Nawet jeśli są tak wielkie jak Allie.

– Walczę z autem. – Na dowód swoich słów wziął podkładkę, której wcale nie potrzebował, i zaczął udawać, że coś naprawia. Tej „walki” będzie o wiele więcej i na pewno o wiele więcej udawania, jeśli Allie będzie na każdej imprezie przedślubnej.

Ciekawe, że w ogóle mu nie przeszkadzały te wszystkie bzdurne zwyczaje, kiedy chodziło o niego i Allie.

– Przyjechałam tylko sprawdzić, czy nie jesteś na mnie wściekły.

Hannah weszła niepewnie do garażu, okręcając na palcu nowy pierścionek z diamentem. Miała taką samą minę, gdy w dzieciństwie ochrzanił ją za ruszanie jego modeli samochodów.

Wyprostował się, notując w pamięci, żeby sprawdzić ustawienie zapłonu.

– Nie jestem wściekły. – To prawda. Raczej ogłuszony. Dlaczego Hannah wskrzesza swoją przyjaźń z Allie? Czasami lepiej nie ożywiać tego, co umarło.

Szkoda, że serce nie chce o tym pamiętać.

Hannah założyła włosy za uszy. Wielki diament zaiskrzył w świetle lampy garażowej. Marcus zadał sobie, nie po raz pierwszy zresztą, pytanie, co Allie zrobiła ze swoim pierścionkiem zaręczynowym. I z tymi podarunkami, które piętrzyły się w kościele.

I dlaczego on zachomikował obrączki w górnej szufladzie komody, zamiast odnieść je do jubilera.

– Wiesz coś więcej o Teksasie?

Najwyraźniej próba zmiany tematu. Ale nie będzie się kłócił. Wzruszył ramionami.

– Teraz to właściwie zależy tylko ode mnie, czy zechcę tam, w nowym punkcie, objąć stanowisko kierownika regionalnego, czy pozostać z dotychczasową franczyzą tutaj, w Luizjanie. Nie jestem pewien, czy mam teraz na to czas. – No cóż, miał, choć interesy zaczęły się kręcić. Ale chyba nie miał ochoty nigdzie wyjeżdżać. Przekroczenie granicy stanu, nawet tymczasowe, nabierało symbolicznego znaczenia wkraczania w nowy etap. Po stracie Allie wydawało się to świetnym posunięciem, wartym zabiegów. Natomiast teraz, gdy było na wyciągnięcie ręki, poczuł się, jakby brnął po kostki w błocie. Coś go trzymało i nie chciało puścić.

Nie cierpiał się za to, że tak trudno mu było podjąć decyzję.

– Wiesz co, spędzasz tu teraz dużo czasu. Kiedyś więcej pracowałeś w domu. – Hannah rozejrzała się po zapchanym warsztacie: kilka motorów w różnym stadium ukończenia, trzy samochody – w tym jeden na podnośniku – i lepki od brudu stół, na którym leżały narzędzia, niechlujnie rzucone przez pracowników.

Marcusowi ścisnęło się serce w przewidywaniu słów, które niewątpliwie zaraz padną.

– Czy nie wydaje ci się, że najwyższy czas wrócić do domowego war...

Mężczyzna kopnął fabryczny kolektor wylotowy, a zgrzyt metalu na betonie zabrzmiał tak, że skóra ścierpła.

Hannah zrozumiała aluzję albo została wytrącona z tematu.

– Wiem, że to będzie dla ciebie krępujące. I dla Allie też. – Zawahała się. – Tęsknię za nią, a w końcu to mój ślub i nie wyobrażam sobie, że mogłoby jej nie być. – Westchnęła. – Pewnie postąpiłam samolubnie.

– Wcale nie. – Marcus zacisnął zęby i pochylił się nad silnikiem, żeby ukryć wyraz twarzy. To on był samolubny – w końcu chodzi o ślub jego siostry. Powinna być ważniejsza niż pozostałości osobistej tragedii. – Wszystko w porządku. – Albo będzie w porządku, jak tylko skończy się wesele.

Postanowił skupić się na czymś innym. Więcej stingraya, mniej Allie. No tak, trzeba dokręcić śruby w kolektorze dolotowym, a potem sprawdzić ustawienie zapłonu...

– Cieszę się, że nie masz nic przeciw temu. Mimo wszystko mam nadzieję...

Marcus z rozmachem uderzył w osłonę chłodnicy, wypuszczając z ręki klucz,

którym dokręcał śruby.

– Nie, Hannah. Nie miej nadziei. – Bo nie było żadnej nadziei dla niego i Allie. Jego nadzieja odjechała na siedzeniu pasażera w aucie – *w jego aucie* – którym uciekła od niego narzeczona.

Kiedy po tak zdecydowanym zakończeniu konwersacji Hannah bez słowa wyszła na zewnątrz, ogarnęły go wyrzuty sumienia – jednak jeszcze nie na tyle silne, żeby za nią wybiec. Wrócił do samochodu, z ulgą konstatując, że zapłon działa właściwie. W końcu coś się udało! Klient będzie zachwycony. Ale czy przypadkiem czasami nie lepiej jest zdecydować się na nowe niż naprawiać stare?



Powiedzenie „Ciągłe druhna, nigdy żona” może nie zawsze się sprawdzało, ale Allie miała wrażenie, że w jej wypadku – owszem. Przerzuciła następną kartkę w katalogu zaproszeń ślubnych.

Po przeciwnej stronie stołu Hannah z matką przeglądały drugi katalog. Julie Hall uśmiechnęła się do Allie, gdy się spotkały, zupełnie jakby było to całkiem normalne, że eksnarzeczona syna narzuca swoją obecność przy planowaniu uroczystości weselnych. Lecz Hannah uparła się, mówiąc, że czasu jest bardzo mało, a bez niej sobie nie poradzi.

Wobec tego dwa dni po tym, jak Hannah przekroczyła próg jej mieszkania, oznajmiając wielką nowinę, siedziały wspólnie nad wzorami zaproszeń. Nie tak dawno Allie miała problem z podjęciem decyzji w sprawie zaproszeń na własny ślub, tymczasem teraz przyjaciółka zażądała jej opinii, co najmniej jakby była specjalistką.

Hannah przynajmniej miała sympatyczną matkę. Dla Allie planowanie ceremonii z własną matką, ciotką i babką było prawdziwą męką. Doszło do tego, że w pewnym momencie zabrała katalog i poszła na drugi koniec sali, a one kłóciły się, przez kwadrans nie zauważwszy nawet jej nieobecności.

– A te? – spytała Hannah, wyciągając z kieszonki w katalogu grubą kartę.

Allie przechyliła głowę. Dwa złączone serca, a nad nimi gołąbki. Stylistyka, której Marcus nie cierpiał. Otrząsnęła się ze wspomnień. Tym razem jego zdanie się nie liczy.

– W twoim stylu. Ale czy Zachowi się spodoba?

Hannah otworzyła usta i zamknęła je bez słowa. W końcu powiedziała:

– Och, nie. – Przewróciła kilka kartek.

– A ta? – Julie... to znaczy teraz dla niej pani Hall, odwróciła katalog tak, żeby obie dobrze widziały. Projekt był prosty i elegancki, tylko z obiegającym kartonik ozdobnym wykończeniem.

Prawie identyczny jak ten, na który zdecydowali się Allie i Marcus. Z tym, że ich miał wykończenie w kolorze turkusowym, a tutaj było czerwone. Doskonale pasowało do ślubu w walentynki. Czy pani Hall celowo pokazała jej to zaproszenie? A może naprawdę zapomniała, co wybrali Allie i jej syn?

Jej starzejąca się z wdziękiem twarz, z precyzyjnie wyregulowanymi brwiami

i makijażem w ciepłej tonacji, nie kryła w sobie złośliwości. To ta sama kobieta, która tak ucieszyła się oświadczeniami Marcusa, że zorganizowała uroczyste przyjęcie i na jej cześć upiekła ciasto udekorowane napisem: „Witaj w rodzinie”. Ta sama, która po trzeciej randce zdradziła jej przekazywane z matki na córkę przepisy, a w prezencie ślubnym kupiła Biblię z jej nowym nazwiskiem nadrukowanym na okładce. Ta sama, która poszła razem z Allie do sklepu z artykułami weselnymi, żeby być buforem między nią a ciotką, matką i babką, a potem zafundowała jej kawę w nagrodę za przeżycie tego dnia. Ta kobieta promieniowała ciepłem, miłością i wiarą. Nie była mściwa.

Z drugiej strony Allie dała jej znakomity powód do zemsty, porzucając przed ołtarzem jej ukochanego syna.

– Bardzo... ładne. – Przełknęła i spuściła wzrok na swój katalog. Z zapartym tchem czekała na decyzję Hannah. Jeśli zdecyduje się na to zaproszenie, Marcusowi niewątpliwie zrobi się przykro, bo wszystko sobie przypomni. Może nie udzielał się zbyt przy wybieraniu kwiatów i porcelany, ale na pewno będzie pamiętał sprzeczkę z jej matką na temat zaproszeń. Sprzeczka przerodziła się w poważną awanturę, co doprowadziło Allie do łez i potem Marcus przez dwadzieścia minut pocieszał ją w aucie na parkingu. O tak, to na pewno będzie pamiętał.

Allie zerknęła kątem oka na Hannah przyglądającą się zaproszeniu. Przyjaciółka zmarszczyła zadarty nosek i pokręciła głową.

– Nie obraż się, mamó, ale nie. Za mało ozdobne.

Allie odetchnęła z ulgą. Nie obraziła się.

Absolutnie.

✱

W sklepie z antykami od godziny nie zabrzmiał dzwonek przy wejściu. To źle dla interesów, a jeszcze gorzej dla psychiki Allie. Wczorajszy dzień z siostrą jej byłego narzeczonego wyłamał kłódkę do drzwi, za którymi zamknęła wspomnienia dotyczące Marcusa. I teraz osaczały ją, nie zważając na to, że obracają jej serce w popiół.

Siedząc na stołku za ladą, patrzyła tępo na kredens po przeciwległej stronie, a jego podniszczona powierzchnia stanowiła ekran dla obrazów z przeszłości. Jeden po drugim wypływały na powierzchnię pamięci. Ten moment, kiedy pierwszy raz spotkała Marcusa, trzy lata od niej starszego... Poszła wtedy w odwiedziny do Hannah. Ona była w drugiej klasie szkoły średniej, on – na pierwszym roku studiów. Wydawał się taki nieosiągalny. Pamięta następujący obrazek: wyjął jabłko z lodówki, podrzucił je do góry i wytarł o rękaw, a potem puścił do niej oko. Z trudem zapanowała nad gwałtownym rumieńcem i aż półtora miesiąca wracała do równowagi.

A potem pierwszy raz, kiedy Marcus nareszcie zwrócił na nią uwagę. Przyjechał po skończonym college'u i wykorzystując wykształcenie handlowe, otworzył sieć warsztatów samochodowych w całej południowej Luizjanie oraz własną franczyzę, która okazała się natychmiastowym sukcesem. Temperatury na termometrze zaczęły podchodzić do 40 stopni. Rozdrażniona upałem, straciła cierpliwość do swojego gruchota i podjechała do warsztatu, gotowa oddać auto na złom. Marcus wyczołgał się spod naprawianego samochodu modelu Camaro, bez namysłu wytarł ręce, podniósł maskę jej auta i przez następną godzinę uświadamiał jej jego wartość – której ona nie dostrzegła.

Allie, wówczas dwudziestojednoletnia, zakochała się bez reszty w bracie przyjaciółki i w jego zdolności doceniania klasy przedmiotów starych i zniszczonych – co ostatecznie zdecydowało o wyborze zawodu i otwarciu sklepu z antykami. Sklep, co prawda, przynosił mizerny dochód, ale za to dostarczał potężnej satysfakcji.

Wkrótce stali się nierozłączni, a małżeństwo było sprawą przesądzoną. Żeby się utrzymać, Allie zaczęła odnawiać meble, dobrze wiedząc, że po ślubie nie będzie musiała się martwić o rachunki. Warsztaty nieźle zarabiały, a jeszcze Marcus miał bardzo popłatne hobby – remontował silniki, zazwyczaj dla bogatych entuzjastów starych aut, którzy, zwabieni jego renomą, gotowi byli jechać na koniec świata, czyli do Beaux Creek w Luizjanie, żeby powierzyć jego trosce swoje ukochane zabawki.

Teraz znowu rachunki stanowiły problem. Co prawda najmniej istotny – przynajmniej do czasu, kiedy nie przychodził termin zapłaty. Obecnie jednak nie one zaprzętały jej głowę. Nie, na pierwszym miejscu figurowało co innego: jak przeżyć wieczór... i przyjęcie zaręczynowe Hannah i Zacha w *Beaux Creek Boardwalk*.

Wolałaby zbankrutować niż spotkać się twarzą w twarz z Marcusem, którego nie widziała od czasu porzucenia przed ołtarzem.

Zadzwieczał dzwonek zawieszony na drzwiach i weszła uśmiechnięta pani Hawkins. Allie bardzo lubiła odwiedziny swojej wiernej klientki, a dziś wyjątkowo potrzebowała czegoś, co by pozwoliło oderwać myśli od niepokojącego tematu.

– Przyniosła mi pani coś ciekawego? – spytała.

Starsza kobieta roześmiała się cicho i rozłożyła puste ręce. Allie ukryła rozczarowanie. Pani Hawkins lubiła chodzić na wyprzedaże mienia i często przynosiła jakieś rupiecie, które Allie potem odnawiała.

– Dziś nie mam żadnych skarbów. – Mrugnęła znacząco i poprawiając pasek od torby na ramieniu, dodała: – Ale nigdy nie wiadomo, co może się trafić.

Klientka poszła pooglądać rzeczy w dalszej części sklepu, a Allie postanowiła otrząsnąć się ze wspomnień. Spojrzała na kredens, w który poprzednio się wpatrywała, i szepnęła sama do siebie:

– To nie ekran, tylko kredens – mówiła cicho, choć pani Hawkins była przyzwyczajona do jej dziwactw. – I nie okaleczony, tylko postarzony.

Zamrugnęła. No, może i jedno, i drugie. Była subtelna różnica pomiędzy meblem celowo postarzonym a po prostu zniszczonym. Może kredens potrzebował tylko trochę szlifu? W końcu wszystko można uratować, prawda? Ukryć wady. Podkreślić zalety.

Dokonać kosmetycznej poprawki.

Na przykład... Uśmiechnęła się. Na przykład pomalować na turkusowy kolor.

\*

Było to jak przejście ze złego snu do koszmaru rzeczywistości.

Z sercem w gardle, obawiając się i jednocześnie wyczekując tego, co nieuniknione, Allie rozejrzała się, wypatrując Marcusa.

Dlaczego?

Żeby z nim porozmawiać?

A może po to, żeby cały czas chować się za kelnerem roznoszącym przystawki?

Jeszcze się nie zdecydowała, ale przygotowania przedślubne dostarczą niezliczonych powodów do spotkań, nie mówiąc już o samym ślubie – wobec tego jakoś należy się nastawić, wytrwać i zapomnieć. Naturalnie ze względu na Hannah.

Allie przyglądała przód jasnobrązowej swetrowej sukienki, zadowolona, że włożyła ciepłe rajstopy i wysokie czekoladowobrązowe buty, bo impreza toczyła się i wewnątrz, i na zewnątrz, a nocne powietrze było po prostu zimne. Sala przyjęć w *Beaux Creek Boardwalk* szczyciła się ogromnym oknem z widokiem na zbiornik wodny, który uchodził za jezioro, naturalnie poza środkiem lata, kiedy marniał do mizernej rzeczki.

Ale w styczniu woda stanowiła przepiękne tło, odbijając migocące światełka okręcone wokół pni cyprysów i sosen. Płonące pochodnie bambusowe oświetlały stoły na tarasie, a dzięki wynajętemu didżejowi z wnętrza sali płynęły dźwięki muzyki country. Na parkiecie tańczyły już pierwsze pary.

Nic jednak nie mogło się równać z widokiem Marcusa stojącego koło baru.

W beżowych, szytych na miarę spodniach i granatowej koszuli wyłożonej na zewnątrz, z zawiniętymi rękawami i odpiętym pod szyją guzikiem, stanowił kwintesencję atrakcyjności. Posiadanie matki z umiejętnościami krawieckimi było niezwykle przydatne – Marcus zawsze dobrze wyglądał, niezależnie od tego, czy było to uroczyste przyjęcie, czy luźne spotkanie.

Opierając się łokciem o wysoki drewniany kontuar, popijał jakiś musujący napój i rozglądał się wokół.

Allie nawet z daleka widziała co najmniej dwudniowy zarost – oczywisty znak tego, że tak się wciągnął w pracę nad jakimś nowym autem, że nie miał głowy do niczego innego. Ciemne włosy, zazwyczaj dla wygody krótko przycięte, teraz były dłuższe i skręcały się w loki nad uszami i kołnierzykiem. Nowy styl? Czy brak czasu na fryzjera?

Nieważna przyczyna – było mu w tym do twarzy.

Za jakieś pięć sekund ją zobaczy.

Serce podskoczyło Allie do gardła i zrobiło jej się słabo. W ustach wyszło z wrażenia, za to dłonie się spociły. Och. Lada moment przesunie wzrokiem na prawo i ona znajdzie się w polu jego widzenia. Za trzy sekundy...

Teraz albo nigdy...

Dwie.

Walczyć czy uciekać?

Jedna.

Wóz albo przewóz.

Ich spojrzenia spotkały się i nie było gdzie się ukryć.

Choć, co prawda, nie miała ochoty uciekać. Nie. Moment. O czym ona myśli? Otworzyła usta, zamknęła je, a potem pożałowała, że nie włożyła innej sukienki. Tej, która uwidoczniłaby utratę sześciu kilogramów, albo tej podkreślającej kolor jej oczu, albo... Och, nie! Idzie do niej!

Z trudem powstrzymała się, żeby nie wytrzeć wilgotnych dłoni w suknię i przybrawszy obojętną minę, sięgnęła do wisiorka i zaczęła przesuwając go po łańcuszku. Och, przecież pierwsze spotkanie twarzą w twarz z eksnarzeczonym nie jest w najmniejszym stopniu rzeczą obojętną. Na weselu powinni bawić się razem, a nie

patrzeć na siebie ze skrępowaniem, jakby widzieli się po raz pierwszy w życiu. Jakby nigdy nie tańczyli pod rozgwieżdżonym niebem, jakby nigdy nie dzielili się najgłębszymi tajemnicami, nie całowali się do utraty tchu.

Nie. Nie mogą być skrępowani.

Allie przygotowała się w duchu na jego pierwsze słowa. Czy będzie to sztywne „cześć”? Czy może, mijając ją, tylko kiwnie głową? A może, co gorsza, powita ją oklepanym „dobrze wyglądasz”?

Pytanie, czy naprawdę dobrze wygląda?

Odetchnęła głęboko i zacisnęła zęby.

– Słyszałem, że podobno gdzieś tu chowa się słoń.

No, tego się nie spodziewała. Podniosła brwi, nie będąc w stanie wydusić z siebie ani sylaby.

Marcus wsunął ręce w kieszenie i wzruszył ramionami – ten gest lekkiego skrępowania pamiętała z dawnych czasów, gdy znała go jeszcze tylko jako brata przyjaciółki. Niemniej pod tą odrobiną nieśmiałości rysowała się zdecydowana pewność siebie, podobnie jak mięśnie pod koszulą. Och, lepiej tak nie myśleć.

– Hannah mówiła, że nazywa się Steve.

Ach, to o *tego* słonia chodzi. Allie zwilżyła suche wargi.

– Tak jest. Steve.

Czyli *ty*.

– Tak, zgadza się. Gdzieś tu jest. – To jednak będą o tym rozmawiać. Zaczerwieniła się. Co mogła powiedzieć? „Wybacz, że uciekłam od ciebie? Przepraszam za to, że narobiłam ci wstydu przed całym miasteczkiem? I że rozlałam na wycieraczkę napój czekoladowy, gdy ukradłam twoje auto?”

– Przynieść ci bąbelki?

Jak zwykle dżentelmen, mimo że miałby prawo chlusnąć jej tymi bąbelkami w twarz. Prawie pożałowała, że tego nie robi. Bo mogłaby się na niego wściec i serce zostałyby ocalone. Jego i jej.

Ze ściśniętym gardłem skinęła głową – ale czy miała inne wyjście? Przyszła tu, narażając się na gniew Marcusa, tylko dla Hannah. Tylko dla niej. Serce jakoś wytrzyma. Oczywiście, jeśli nie jest już i tak roztrzaskane na kawałki.

– Chętnie, dziękuję.

Ruszył do baru, lecz w pół ruchu zatrzymał się, odwrócił do niej i spytał:

– Dietetyczna?

W jego oczach zapaliła się iskierka. Allie zaciekawilo, czy przypomniało mu się, jak kiedyś bezskutecznie próbował ją przekonywać, żeby pozbyła się jednej ze swoich wad – upodobania do dietetycznych napojów. A może to, jak ona z kolei próbowała przekonać go do zrezygnowania z jaj sadzonych na rzecz jajecznicy? Albo kiedy nabijał się z niej, ponieważ wszystko wkoło malowała na turkusowy kolor? Każda z tych prób była skazana na niepowodzenie, bo nie można zmienić tego, kim się jest, wykorzenić tych niepowtarzalnych różnic między dwojgiem ludzi, którzy lubili się ze sobą spierać, a tak naprawdę całkowicie akceptowali się nawzajem takimi, jakimi byli.

Uśmiechnęła się wymuszenie.

– Nie ma to jak dietetyczne.

Niektóre rzeczy się nie zmieniają.

I może tak być powinno.

✱

Marcus, częściowo ukryty za stołem didżeja, czuł się jak podglądacz. Długowłosego facet pakował sprzęt, ale póki nie usunął dużych głośników, można było patrzeć, jak Allie rozpina kozaki i z ulgą przebiera palcami na twardej podłodze. Sądząc po wysokości jej obcasów, stopy musiały niezle ją boleć.

Impreza dawno się skończyła, w sali zaczęto już składać krzesła i wnosić stoły. Ból stóp Allie to nic w porównaniu z torturą przebywania w jej obecności. Oglądania jej asymetrycznego uśmiechu. Udawania, że nie widzi, jak ona z kolei udaje, że na niego nie patrzy, gdy tańcząc ze swoją małą kuzynką, pozwolił jej stać na swoich stopach. Przyglądania się, jak obskubuje czubek babeczki – co zajęło jej ze dwadzieścia minut.

Siedząc przy stole, Allie podparła się, przyciskając dłonie do skroni – to znak, że boli ją głowa. Przez niego? Serce ścisnęło mu się z żalu i jakiejś pokrętej nadziei.

Nie, nie nadziei. Przecież kilka dni temu zdecydowanie odrzucił nadzieję.

Allie nie miała żadnych stresów z jego powodu – w końcu to ona odeszła. Jeśli ból głowy miał z nim coś wspólnego, to pewnie dlatego, że liczyła minuty, nie mogąc doczekać się końca tej krępującej sytuacji.

Kiedy przyniósł jej napój, próbowali chwilę rozmawiać, lecz wkrótce rodzina przypomniła mu o obowiązkach: jako brat panny młodej, musiał powiedzieć parę słów – co okazało się jedną wielką klęską.

Ale chyba dobrze, że im przerwano.

Patrzył jej w oczy w taki sposób, że na pewno zrobił z siebie głupca. Zupełnie jakby nagle chlapnął, że Allie wypala mu wzrokiem dziurę w sercu albo że pamięta doskonale wszystkie jej upodobania i dziwactwa, nie tylko dietetyczną colę. Zostały na zawsze zapisane w jego pamięci. Niezmywalną turkusową farbą.

– Pomożesz? – poprosił didżej, wskazując na stojak głośnika i wytrącając Marcusa z żalosego snu na jawie.

– Oczywiście.

Pomógł mu rozmontować głośnik i włożyć go na wózek, po czym odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć na Allie.

Lecz jej już nie było.

Nie miał pojęcia, dlaczego poczuł rozczarowanie.

No cóż, najwyraźniej znikanie to jej specjalność.

A miał nadzieję, że przynajmniej przed wyjściem powie mu „do widzenia”. Jeśli nie chcą zawsze już w swoim towarzystwie czuć się skrupowani, to powinni udawać swobodę, a w końcu przyzwyczajenie stanie się drugą naturą.

Z drugiej strony gierki nigdy im nie wychodziły i dlatego dawniej spodziewał się, że doczekają złotych godów. Nigdy nie bawili się w „trudną do zdobycia” czy „uciekaj, a będzie cię gonić”. Zawsze mówili sobie prawdę, nawet jeśli była przykra.

To w takim razie dlaczego nie zna prawdziwego powodu jej ucieczki?

Jeszcze raz rzucił okiem na puste krzesło. Nagle ktoś go postukał w ramię i Marcus aż podskoczył z zaskoczenia.



– Chowasz się tutaj?

Allie.

Odwrócił się powoli, nie zwracając uwagi na ironiczny uśmiezek „przyłapała cię!”, jakim obdarzył go zwijający kable didżej.

– Pomagam złożyć sprzęt. – Beztrosko wsunął ręce do kieszeni, mając nadzieję, że jego twarz nie zdradza przepełniającej go radości.

Allie poprawiła pasek od torebki na ramieniu i dyndając mu przed oczami kluczykami od auta, powiedziała:

– Zablokowałeś mnie.

Była już niemal północ, a Allie czuła, że dziś nie ma co liczyć na szklany pantofelek.

Marcus szybko przeparkował swoją furgonetkę, którą najwyraźniej przestawił jego ojciec, gdy chował dekoracje, nie zdając sobie sprawy, że z drugiej strony Allie blokuje słup linii telefonicznej. A tymczasem jej królewski powóz zmienił się w zwykłą dynię, i to jeszcze z przebitym kołem. Dziewczyna z desperacją spojrzała na niesprawny pojazd.

Nie cierpiała roli damy w opałach. Ale przebita dętka sama się nie naprawi, a choć Allie wiedziała, jak to się robi, to jednak nigdy nie zmieniała koła sama, zimą i po ciemku. Mama postarała się o to, żeby miała takie praktyczne umiejętności jak zmiana koła czy sprawdzanie poziomu oleju. Lecz jeśli nie chciała poświęcić swojej swetrowej sukienki i rajstop na ołtarzu samodzielności, to tym razem potrzebowała pomocy.

A pomoc właśnie oddalała się powoli po niemal całkowicie opustoszałym parkingu.

– Marcus! Poczekaj!

Schowawszy resztki dumy do kieszeni, pobiegła, machając rękami, za furgonetką. Zapaliły się światła stopu i szyba w drzwiczkach od strony kierowcy zjechała w dół.

– Potrzebujesz czegoś?

Zrobił taką minę, jakby miał nadzieję, że odpowie twierdząco. Ale to niemożliwe. Złamała mu serce, więc dlaczego miałby chcieć mieć cokolwiek z nią do czynienia? Nie, to tylko dobre maniery, podobnie jak wcześniej, gdy przyniósł jej dietetyczną colę. Matka dobrze go wychowała, to wszystko. Byłaby niemądra, gdyby widziała w tym coś więcej.

I nagle wyrzuty sumienia zakłuły ją jak tysiące igiełek. Nie powinna tego robić, to nie w porządku – na wielu płaszczyznach.

Machnęła ręką w kierunku samochodu.

– Złapałam kaptur.

Iskra w oczach, którą pomyłkowo wzięła za nadzieję, zgasła.

– Zajmę się tym – powiedział Marcus z obojętną miną, odjeżdżając autem.

Naturalnie, że się zajmie. Wszystkim się zajmował. Taki właśnie był, zawsze przygotowany, zawsze skory, zawsze chętny. Bardzo jej się w nim to podobało – jego troskliwość i umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Wprawdzie umiała sama o siebie zadbać, ale przy Marcusie – nigdy nie była do tego zmuszona.

Pomyśleć, że teraz będzie do końca życia skazana na pomoc drogową i wózki holownicze.

Czyżby popełniła błąd?

Nie. Takie myślenie nic nie da i jest bolesne.

Uratowała go. Im obojgu zaoszczędziła cierpienia. Nie będzie walk o to, komu przypadnie opiekacz do pieczywa, ani chciwych adwokatów namawiających do wyśrubowanych żądań finansowych. Nie będzie taka jak jej matka.

Gdyby teraz próbowała odzyskać Marcusa, postąpiłaby tak, jak wszystkie kobiety z jej rodziny. Które siebie stawiają na pierwszym miejscu. Biorą, co chcą, bez względu na konsekwencje. Depczą po złamanym sercach.

A potem kończą samotne i zgorzkniałe.

Wobec tego, jeśli tak czy inaczej jest skazana na samotność, to przynajmniej niech ta samotność będzie podyktowana szlachetniejszymi motywami. Musi raz na zawsze przełamać klątwę. Nawet kosztem własnego serca.

Gdy Marcus zaparkował, poprowadziła go do swojego auta i pokazała przebitą oponę. Marcus bez słowa otworzył bagażnik, wyjął podnośnik i zestaw narzędzi, który trzymała na wszelki wypadek. Rozłożył wszystko na ziemi, po czym wyjął zapasowe koło.

– Mogę jakoś pomóc? – spytała Allie. Skrzyżowała ręce na piersi, nie wiedziała, czy bardziej po to, żeby zasłonić się przed zimnym nocnym wiatrem, czy żeby ukryć swoje serce.

Marcus wzruszył ramionami.

– Nie, chyba że potrafisz odkręcać śruby lepiej niż ja.

*Aha, czyli nie.*

Zabrał się do pierwszej śruby, po czym odłożył klucz.

– Na wszelki wypadek – powiedział, a potem zdjął koszulę i rzucił w bok, nie patrząc, gdzie upada.

Allie złapała ją automatycznie i w ostatniej chwili pohamowała się, żeby nie przyłożyć do twarzy. Te czasy już minęły. Tak dobrze znany cytrusowy zapach wody kolońskiej zaboląby jak brutalny cios nożem w serce.

Co za bigos. Co jej strzeliło do głowy, żeby się w to wpakować?

Ach tak, to dlatego, że zgodziła się być druzną Hannah.

Spokojnie przewiesiła koszulę przez ramię i odparła raźnie:

– Nie ma problemu.

Przyszło jej do głowy, że Marcus pewnie jest wściekły, ale ledwie to pomyślała, odwrócił się przez ramię, puścił do niej oko i rzekł:

– Zimno ci? To może zatańczysz i pośpiewasz? Chętnie znowu popatrzę, jak się kręcisz w tych butach.

Gorąco zalało jej twarz i kark, a serce zatrzepotało. Czy on naprawdę przez cały wieczór szukał jej wzrokiem, tak jak ona jego? A przecież za każdym razem, gdy na niego spojrzała, był pogrążony w rozmowie.

Hm, może mniej pogrążony, niż jej się wydawało. Hm, a może się myli?

Flirtuje z nią czy nie flirtuje, to mniej ważne niż pytanie, dlaczego na samą myśl o tym Allie poczuła się jednocześnie uskrzydłona i sparaliżowana...

A jak przyspieszało jej serce na widok mięśni Marcusa prężących się pod białym podkoszulkiem!

Marcus skończył zmieniać koło i Allie zmusiła się do oderwania od niego wzroku. Co za wstyd. Wystarczy, że chłopak mrugnie, a kolana pod nią miękną. Jak to możliwe, że po kilku miesiącach rozłąki samo bycie koło niego tak ożywczo na nią działa?

Ożywczo. To chyba najgorsze.

Marcus już doszedł do siebie po rozstaniu. Oderwanie się od przeszłości to jedyny sposób, by mógł znaleźć prawdziwe szczęście, na które zasługiwał.

Nie, cofa te słowa. Najwyraźniej ożywienie, jakie przynosiła obecność Marcusa, nie było najgorsze. Znacznie bardziej bolały wizje Marcusa z inną kobietą.

Szczękając zębami z zimna, zacisnęła palce na koszuli przewieszanej przez ramię. Mocna frustracja i lekka nostalgia bulgotały w jej duszy, tworząc niebezpieczną mieszankę.

– Nigdy nie chciałam śpiewać z tobą karaoke i wierz mi, nic się nie zmieniło – wyrzuciła z siebie.

Marcus sięgnął po klucz, z powrotem uklęknął przy kole i rzekł:

– Nie jestem tego pewien, Allie. Zaczyna mi się wydawać, że jednak się zmieniło.

✱

Enigmatyczne słowa Marcusa z wieczoru zaręczynowego sprzed tygodnia wirowały w głowie Allie, gdy szła po wybrukowanej drodze prowadzącej przez perfekcyjnie wykoszony trawnik Hallów. Wszystkie źdźbła miały jednakową długość i wszystkie drzewa oraz krzewy były profesjonalnie symetrycznie przycięte. Błyszczące, drewniane, dwuskrzydłowe drzwi wejściowe na kutykach zawiasach odbijały się od głębokiej czerwieni cegieł.

Rodzinny dom Marcusa wyglądał jak z obrazu Normana Rockwella: wkurzająco doskonały, lecz jakże urokliwy. Nie budził zazdrości, raczej tęsknotę za posiadaniem takiego samego.

Oświadczenie Marcusa wryło jej się w pamięć z ogromną wyrazistością. Cóż, kiedy autor tych słów nie chciał ich wyjaśnić.

Powiedział, że się zmieniło. Co? I w jaki sposób? Z jego czy z jej strony?

Czy zmieniło się na lepsze, czy na gorsze?

Czy jej wybaczył?

Tyle pytań bez odpowiedzi.

Ale to i tak nieważne, bo jeśli chodzi o ich relacje, nic się nie zmieniło. Potężne różnice między tym, co on dziedziczył, a co ona – pozostały nieprzezwyciężone.

Na szczęście na dziś zaplanowano imprezę z prezentami na wyprawę dla panny młodej, co oznaczało, że Zacha, jego drużbów i całej reszty facetów po prostu nie będzie. Allie może zjeść tyle przystawek, ile zechce, nie martwiąc się o zawirowania sercowe,

chodzić swobodnie z innymi dziewczynami i spisywać prezenty, w miarę jak Hannah będzie otwierać pudła z bielizną, ścierkami do talerzy i pachnącymi mydełkami. Choć, naturalnie, mogłaby się świetnie obyć bez tego przypomnienia.

Spojrzała na swój sweter – i znowu miała ochotę jednocześnie śmiać się i płakać. Hannah uparła się, żeby impreza miała jako temat superwalentynki – czyli liczyło się wszystko od tandetnych ciuchów do krzykliwych akcesoriów i przesadnych dekoracji.

Allie ubrała się jak najbardziej stosownie – plastikowe spinki w kształcie serca we włosach i obszerny sweter, jak z lat osiemdziesiątych, w różowe serca przesywane błyskawicami, który znalazła w lumpeksie. Szybko sprawdziła, czy wzięła aparat – bo Hannah na pewno będzie chciała mieć zdjęcia z tego wieczoru – i zapukała.

Ze środka dobiegały stłumione głosy. Po chwili Hannah otworzyła drzwi i wybuchnęła śmiechem.

– Och, cudownie! – zawołała na widok przyjaciółki. – A ja jak wyglądam?

Szybko zakręciła się w koło, chwając się krzykliwym swetrem, legginsami oraz czerwonymi i różowymi bransoletkami.

– Superwalentynkowo, to pewne. Nawet nie chcę wiedzieć, gdzie to znalazłaś – odparła Allie, patrząc wymownie na opaskę na czoło z serduszkami chwiejącymi się na drucikach.

– Właściwie to nie ja, tylko Marcus. Dostał to w sklepie *Wszystko za dolara*. Ty też możesz się tak przystroić – powiedziała, wskazując palcem na kosz ze stroikami stojący na szklanym stoliku przy wejściu.

Allie postanowiła nie zwracać uwagi na to, jak jej serce podskoczyło na samo wspomnienie Marcusa, i poszła z Hannah na pokoje.

I od razu ruszyły wspomnienia. Ostatni raz była tu na improwizowanej imprezie zaręczynowej na swoją cześć. Dekoracja z suszonych kwiatów na ścianie się nie zmieniła, podobnie jak pasiasty chodnik na parkiecie w korytarzu. Na niskim stoliku przy schodach stały te same oprawione w ramki fotografie latorośli Hallów w różnym wieku – i Allie nagle zauważyła, że jej zaręczynowe zdjęcie z Marcusem nie zostało wcale usunięte, tylko przesunięte w głąb, za nowsze zdjęcia. Dziwne.

Hannah zaprowadziła ją do większego salonu, za łazienką, skąd dobiegały śmiechy dziwnie ustrojonych gości siedzących na wielkiej sofie w kształcie litery „C”.

Gości obu płci.

Allie złapała przyjaciółkę za rękę i gwałtownie zaczęła się cofać, omal nie wpadając na dekorację z balonów.

– Hannah, myślałam, że to tylko impreza dla dziewcząt! – syknęła pełnym paniki szeptem, nagle boleśnie świadoma swojego ubioru i czułości z sercami chwiejących się na głowie. – Powiedziałaś, że to superwalentynki i...

– Nie martw się, faceci też mają kiczowate przebrania. – Hannah aż podskoczyła z radości, pokazując jej Zacha, rozwalonego w fotelu w psychodelicznym swetrze i spodniach khaki. – Czy nie wygląda uroczo?

Może, ale chłopak siedzący na rogu kanapy, w spodniach rozdartych na kolanie, prezentował się jeszcze lepiej.

Marcus. Wyglądał super, jak zwykle, nawet z wielkim, błyszczącym sercem naklejonym na czarny podkoszulek z długim rękawem.

Tymczasem ona przypominała usychającą z miłości kosmitkę.

Allie wzięła głęboki oddech.

\*

Allie wyglądała jak śliczna, usychająca z miłości kosmitka. Tyle że ona nie usychała – a przynajmniej nie z miłości do niego.

Marcus nie zniósłby jakiegoś innego faceta u jej boku. Na samą myśl o tym krew się w nim burzyła, gotów był porwać na strzępy tę świecąca nalepkę, którą siostra przykleiła mu do podkoszulka tuż koło serca.

To żaden symbol ani nic takiego.

Wziął głęboki oddech i zakołysał przesłodzonym ponczem w plastikowym kubku. No i co z tego, że kobieta niegdyś jego marzeń, obecnie koszmarów, będzie przez następne godziny siedzieć naprzeciw? To tylko impreza, poradzi sobie. W końcu to tylko Allie.

No właśnie. To tak, jakby powiedzieć, że stuośmiopiętrowy Sears Tower [1] jest dość wysoki. Allie niepodzielnie panuje w jego sercu. Miał co do tego pewność tak samo niewzruszoną, jak w dzieciństwie miał pewność nieuchronnej kary, która spotka go, jeśli dobierze się do przygotowanych na przyjęcie ciastek.

Obserwował Allie, jak szeptała coś ukradkiem do Hannah w kącie, zanim

z ociąganiem usiadała na zwykłym krześle w drugim końcu pokoju. Już dalej od niego nie mogła się odsunąć.

Trudno ją winić, po tym nieudolnym flirtowaniu podczas zmiany koła. Pewnie wywarł na niej wrażenie przeciwne do pożądanego, choć po namyśle doszedł do wniosku, że nie ma pojęcia, jakie miałyby być pożądane. Że mu zależy? Że chce, by pozostali tylko przyjaciółmi?

Że pragnie, aby do niego wróciła?

Istotne pytania i zero odpowiedzi.

Może powinien wyjechać na jakiś czas do Teksasu.

Jednym uchem słuchał wyjaśnień zasad gry na punkty z pionkami w kształcie serc, kątem oka przyglądając się, jak Allie notuje coś na kartce. Och, jak bardzo chciał wiedzieć, co się kotłuje w głowie pod tymi kiwającymi się w powietrzu romantycznymi czułkami.

To idiotyczne, że takie wygłupy uszczęśliwiają Hannah. Zacha chyba też, sądząc po uśmiechu wniebowzięcia, z jakim usiłował wycygnąć od narzeczonej kartkę. Może głupie tematy i dwuznaczne gry są akurat odpowiednie na imprezy przedślubne – na przyjęciu jego i Allie nie było nawet w połowie tyle śmiechu i szeptów. *Dziś nawet rodzice dobrze się bawią* – pomyślał, patrząc, jak mama pisze coś na plecach schylonego ojca jak na stole.

Zrobiło mu się przykro i odwrócił głowę, w roztargnieniu zasłaniając ołówkiem liczby na swojej kartce. Poza Hannah nigdy nikomu się nie przyznał, że marzy o takim małżeństwie jak ich rodziców. O miłości, która nigdy nie ustaje. Która, jak mówi Biblia, jest wytrwała. Wszystkiemu wierzy. Wszystko przetrzyma. Rodzice nie byli doskonali, lecz ich związek przetrwał wiele lat i był silny. Wyobrażał sobie, że on i Allie, podobnie jak oni dożyją złotych godów. Póki Allie nie położyła kresu tym marzeniom.

Przyglądał się rodzicom, którzy zbierali kartki z wynikami, a potem siostrze, która wyciągnęła Zacha z fotela, żeby sama zająć jego miejsce. Może gdyby ich imprezy przedślubne były bardziej zabawowe, Allie by od niego nie odeszła?

Jeśli w ogóle o to chodziło. Bo nie chciała mu zdradzić przyczyny ucieczki sprzed ołtarza, a pytanie jej teraz, po czterech miesiącach, chyba nie przyniesie niczego nowego. Nie chciała się tłumaczyć – i musiała mieć ku temu jakieś powody. Nie dopuszczał tylko jednego scenariusza: że wcale go nie kochała, z czego zdała sobie sprawę w ostatniej chwili.



Spojrzał na jej rozpromienioną twarz, kiedy rodzice wyłonili zwycięzcę, i sam uśmiechnął się, widząc, jak czułki z serduszkami kiwają się we wszystkie strony nad jej głową. A swoją drogą skąd ona wytrzasnęła taki sweter? Nie użyłby go nawet do mycia samochodu. Ale nawet w nim wyglądała ślicznie. Allie taka już była.

Nie miała w sobie za grosz okrucieństwa, więc na pewno nie porzuciła go przed ołtarzem dlatego, że przeszła jej ochota na ślub. To zupełnie nie w jej stylu. Nikt się tak bardzo nie zmienia. Nie, musi być inne wytłumaczenie.

Pytanie, czy kiedykolwiek zaufa mu na tyle, żeby powiedzieć mu prawdę?

– Słuchajcie, teraz wybieramy czwórki do następnej gry. – Mama zaklaskała w ręce, żeby zwrócić uwagę rozgadanych gości. – Każdy dostanie numer. Jedyński staną koło fotela. Dwójki po tamtej stronie kanapy...

Marcus odebrał numerek i poszedł na wyznaczone miejsce.

Koło krzesła Allie.

– Cześć. – Przywitała go niepewnym uśmiechem, a on po raz kolejny pożałował, że pozwolił Hannah przylepić sobie tę naklejkę. Choć właściwie nie powinien przejmować się głupim wyglądem, biorąc pod uwagę, że cały salon przypominał scenę zbrodni walentynkowej.

– Cześć. – Ponapawał się przez chwilę jej obecnością, zanim przywitał się z dwojgiem innych osób w pobliżu: rudą dziewczyną, którą widywał czasem z Hannah, lecz nie pamiętał jej imienia, i Tylerem, jednym z drużbów Zacha.

– No to do dzieła. Macie dziesięć minut. – Usłyszał głos matki i poczuł, że do ręki wtyka mu rolkę papieru toaletowego. – Macie wybrać sobie narzeczoną i zrobić z tego dla niej suknię ślubną.

– Wolne żarty! – wyrwało mu się z ust. Sądząc po minie Tylera, miał podobne odczucia. Na dziewczynach nie zrobiło to wrażenia, zupełnie jakby codziennie dostawały podobne zadania. – Czy dobrze słyszę, suknię ślubną?

To nie budzi żadnych skojarzeń, skądże znowu.

– Ty będziesz panną młodą – powiedziała zdecydowanie Allie do rudej dziewczyny, która nie protestowała, tylko kiwnęła głową. Ale kto by odważył się dyskutować, słysząc ten kategoriyczny ton? O, czyżby zauważył krople potu na czole Allie? Marcus pokręcił głową. Widocznie sama myśl o założeniu sukni ślubnej, nawet z papieru toaletowego, wprawiała ją w panikę.

Kiedy planowali własny ślub, Allie opowiadała o sukni swojej matki. Zdaje się, że od kilku dziesiątków lat nosiły ją wszystkie kobiety w rodzinie i przekazywały następnemu pokoleniu. To chyba bardzo sympatyczne?

Na pewno lepsze niż suknia z papieru toaletowego.

Allie wspominała coś o związanej z nią klątwie. Wówczas nie zwrócił na to uwagi. Myśli miał zaprzątnięte prezentem ślubnym dla niej – restauracją jej forda mustanga mach I z 1973 roku. Tego samego auta, które przed laty przyprowadziła do jego warsztatu. To był pamiętny dzień: wtedy zdał sobie sprawę, że nie chce, żeby Allie była przyjaciółką siostry.

Chciał ją mieć całą dla siebie.

Hm, a jeśli ta „klątwa” znaczyła dla niej więcej, niż mu się wydawało? Jeśli jej żarty na temat pechowych małżeństw w rodzinie wcale nie były żartami?

Sądząc po wyrazie oczu, nie myślała o niczym przyjemnym.

Ta suknia była jednak ważna. Czuł to. Może Hannah mogłaby się wywiedzieć...

Nie, lepiej nie. Nareszcie zaczęli znajdować płaszczyznę porozumienia. Nie wolno tego narażać dla zaspokojenia ciekawości.

A zresztą co ważnego może być w sukni? W niczym nie zmieni to przeszłości, ale może do reszty zniszczyć to, co pozostało.

– No i co mam z tym zrobić? – spytał przerażony druhna, przenosząc wzrok z grubej białej rolki na Rudą, która stała z rozłożonymi ramionami, jakby czekając na zawinięcie.

Matka Marcusa przeszła obok i postukawszy w zegarek, szepnęła:

– Siedem minut.

No cóż, Marcus nie był projektantem mody ani utalentowaną krawcową jak ona, lecz był sportowcem, co świadczyło o tym, że dobrze wiedział, co znaczy słowo „współzawodnictwo”.

– Daj mi to. – Złapał rolkę i szarpnięciem oderwał od razu duży kawałek.

– Trzymaj – powiedział do Allie. – Zajmij się rękawami.

Dziewczyna zawahała się, ale po chwili zacisnęła zęby i zaczęła formować długie rękawy dla panny młodej.

Patrząc na nią, Marcus westchnął, żałując, że nie widział Allie w sukni ślubnej, tego dnia, gdy porzuciła go na zawsze.

– Nie mogę uwierzyć, że nie wspomniałaś o tym, że na imprezie mają być też faceci!

Allie zawiązała różową kokardkę na kolejnej torebce z prezencikiem dla gościa weselnego, obciąła końce wstążki nożyczkami i odłożyła na bok na stole kuchennym. Jedna gotowa. Zostało jeszcze dwieście.

Nie miała nastroju do robót wymagających precyzji, szczególnie że właśnie skończyła rozmowę z ciotką na temat sukni w garderobie oraz tego, że lata lecą i „czas na pierwsze małżeństwo”. Z całej siły zacisnęła kokardkę.

Hannah włożyła czekoladki w różowym papierku do następnej torebki.

– Nie wiedziałam, że spodziewasz się tylko dziewczyn. Tylko dlatego, że wasza impreza z Marcusem była inaczej zorganizowana, nie znaczy...

– Wiem, wiem. To mój problem. – Allie sięgnęła po następny woreczek i zamiast go zawiązać, wyjęła czekoladkę i rozwinęła ją z papierka. – Tylko było to trochę krępujące.

– Dlaczego?

Allie wrzuciła czekoladkę do ust i wymamrotała:

– Może dlatego, że wyglądałam jak Marsjanka z miłosną obsesją. – Gorąco jej się zrobiło na wspomnienie tego uczucia, gdy zorientowała się, że Marcus przygląda się jej swetrowi i stroikowi na głowie. Niezupełnie takie wrażenie chciała zostawić – choć właściwie powinno jej to być obojętne.

– Wyglądałaś uroczo. Wiem, że Marcus tak uważał – odparła Hannah i nagle całą uwagę skupiła na trzymanej w ręce wstążce.

Allie trąciła ją nogą pod stołem i spytała:

– Co masz na myśli? – Czyżby powiedział coś siostrze na jej temat? Zawstydzila się nadziei w głosie.

Hannah odłożyła torebkę i sięgnęła po następną.

– W końcu to mój brat. Wiem, co myślał, bo widziałam, jak cały wieczór na ciebie

patrzył.

No, to o niczym jeszcze nie świadczy. Może zafascynowało go, że można się tak głupio wystroić.

– Jeżeli nie wierzysz, to przynieś aparat – powiedziała Hannah, wyciągając rękę, jakby się spodziewała, że Allie wyjmie go z tylnej kieszeni spodni. – Pokażę ci.

– Jest w mojej sypialni. Proszę bardzo, ale jak zdjęcie może cokolwiek udowodnić?

Poszły razem i Allie wręczyła przyjaciółce mały aparat.

Hannah, przysiadłszy na brzegu łóżka, zaczęła przewijać ostatnie fotografie.

– Widzisz? Tutaj. Nie, nie tutaj. Mama go zasłoniła. O, tutaj. – Z triumfalnym uśmiechem pokazała ekranik.

Allie wzięła urządzenie i wpatrując się w zdjęcie, powoli siadała na łóżku. To było ujęcie grupowe podczas zawodów robienia sukien ślubnych. Allie klęczała przed panną młodą, poprawiając dół sukni. Tyler stał z tyłu ze zmarszczonym czołem i z rękami skrzyżowanymi na piersi. Marcus, wpatrzony w Allie, podawał jej nową rolkę papieru, a tymczasem ona patrzyła na Rudą. Twarz Marcusa jaśniała radością.

– No i co, chyba nie zaprzeczysz? – Hannah zeskoczyła z łóżka i otworzyła garderobę. Suknia ślubna zahusła się na wieszaku. – A mogę pożyczyć twój czerwony rozpinany sweter?

– Owszem.

Allie wyłączyła aparat i nie odrywając oczu od czarnego ekranu, zastanawiała się, dlaczego serce jej bije tak szybko i czy przypadkiem Hannah nie ma racji.

Choć przecież to i tak niczego by nie zmieniło.

– Owszem, zaprzeczysz, czy owszem, mogę pożyczyć sweter? – upewniła się przyjaciółka, wyciągając rękę do ciucha.

– Jedno i drugie. – Allie wstała i podjąwszy decyzję, rzuciła aparat na łóżko. – Marcus pewnie był podkreślony współzawodnictwem. Wiesz, jak lubi zawody.

– Allie, to był tylko papier toaletowy. Nikt się nie rozpromienia z powodu papieru toaletowego.

Hannah zdjęła sweter z wieszaka i przewiesiła przez ramię. Zamykając garderobę, zahaczyła o białą suknię, przyjrzała jej się i przygryzła dolną wargę.

– Ojej. Co się stało? – spytała, dotykając rozdarcia. – Zaszyciesz to?

Rozdarcie. Pisane wielką literą. Czy to nie ono dołożyło ostatnią cegiełkę do wieży wątpliwości? Gdy teraz na nie patrzyła – jeśli w ogóle musiała patrzeć – czuła, że wie, na czym stoi. Że miała rację. Jakby to rozdarcie było symbolem przyszłości, jaka ją czekała, gdyby poszła do ołtarza. Allie przebiegł dreszcz.

– Szew puścił akurat w dzień ślubu.

Hannah powoli cofnęła dłoń.

– Och. – Spojrzała na Allie, a potem na suknię, jakby nie mogła oderwać od niej wzroku. – Daj ją, mama może ją naprawić.

Sięgnęła po wieszak, ale Allie złapała ją za ramię.

– Nie. Poczekaj.

Przyjaciółka zastygła w zdumieniu.

– Dlaczego nie? Czy twoja rodzina nie ma bzika na jej punkcie? Założę się, że mama na pewno wydziera sobie włosy z powodu tego rozdarcia.

Prawdę mówiąc, mama nic o nim nie wiedziała. Allie postarała się, żeby ani ona, ani babka, ani ciotka Shelley nie zauważyły. A ponieważ upierały się, że suknia ma zostać u niej, zachowanie tajemniczy nie było trudne. W końcu nie wchodziły do jej garderoby.

Bo gdyby wiedziały, natychmiast zabrałyby suknię do najbliższego krawca.

Rozerwanie musi zostać.

– Nie mogę. To znaczy ona nie może. – Oczywiście, na pewno nie Julie... to znaczy pani Hall. Jak mogła prosić ją o naprawę sukni, w której porzuciła jej syna?

– Czego nie może? – zdziwiła się Hannah i przechyliwszy głowę na bok, przyglądała się przyjaciółce. – Allie, oprzytomnij!

– Twoja mama. Nie może naprawić sukni. – Allie jedną ręką zaczęła zamykać drzwi, a drugą wyciągać Hannah z garderoby. – Nie rozumiesz, jakie to byłoby niestosowne?

Hannah prychnęła, wyzwalając się z rąk Allie.

– Nie rozumiem. Na pewno chętnie by to zrobiła. Bardzo lubi szyć, dobrze wiesz.

Hannah złapała za brzeg sukni i wyciągnęła ją zza drzwi. Allie chwyciła ją z drugiej strony, za rękaw, ale zaraz wypuściła, żeby nie powiększać rozdarcia, i złapała za spódnicę.

– Hannah, to byłoby niegrzeczne, zupełnie jakbym rzuciła jej tą suknią w twarz. W końcu twoja mama bardzo przeżyła moje odejście od Marcusa.

Hannah przygryzła wargę i odwróciła wzrok.

– Wszyscy to przeżyliśmy, Allie.

Zapadła ciężka cisza.

– Przepraszam.

– Czy powiesz mi kiedyś, co się stało?

Allie lekko poluzowała chwyt.

– Nie chciałam go zranić.

– I dlatego zostawiłaś go przed ołtarzem. – Głos Hannah nie pozwalał na niedopowiedzenia.

– Zrobiłam to, co musiałam. Uwierz mi, tak jest dla niego lepiej. – Uniknie losu mężczyzn, z którymi matka i ciotka się wiązały, a potem urządzały im rzeź.

– Lepiej niż poślubić miłość swojego życia? – Hannah pociągnęła sukienkę ku sobie. – Słuchaj, nie znam całej historii i nie musisz mi jej opowiadać. Tak czy inaczej, jestem twoją przyjaciółką. Ale pozwól mi to zrobić. Pozwól wziąć suknię, żeby mama zaszyła tę dziurę. To da poczucie zamknięcia pewnego etapu.

Da poczucie zamknięcia? Komu? Pani Hall czy Allie? Jeśli pierwszej, to Hannah ma rację, warto zaszyć rozdarcie. A drugiej? Nie ma szans.

Poza tym musi pozbyć się sukni.

Allie cofnęła się i niechętnie puściła sukienkę.

Hannah przyciągnęła ją i ostrożnie zawiesiła na ramieniu, przykrywając nią sweter.

– Będzie w dobrych rękach, daję słowo.

I to właśnie może być problemem.

✱

Młodsza siostra potrafiła doprowadzić go do szału, ale niestety miała rację. Czasami. Na przykład wtedy, kiedy mówiła o warsztacie.

Marcus podrzucił pilota w dłoni, zastanawiając się, czy będzie w stanie nacisnąć guzik. Mustang Allie, ten, który – odkupiony i wyremontowany – miał stanowić prezent ślubny, nadal stał w środku.

Minęły cztery miesiące, zanim zrozumiał, że nic się nie zdematerializuje dlatego, że się przemyka na to oczy – szczególnie jeśli to „nic” waży niecałe dwie tony. Wreszcie nadeszła ta chwila. Należy zamknąć przeszłość.

Szybko przycisnął mały, czerwony guzik i drzwi do garażu zaczęły unosić się z piskiem. W ciemności wdarło się słońce, oświetlając nieśmiało unoszące się cząstki kurzu.

Mustang stał przykryty czarnym pokrowcem, dokładnie tak, jak go zostawił. Jeden z drużbów miał podjechać nim pod kościół, żeby aż do ostatniej chwili zachować tajemnicę przed Allie.

No cóż, zachował ją bardzo dobrze – nigdy nie miał okazji jej zdradzić.

Marcus rzucił pilota na odrapany stół warsztatowy, po czym niepewnie pociągnął za koniec pokrowca. Tydzień po niedoszłym ślubie na jego prośbę ojciec przykrył samochód. Jakiś czas później spytał o niego, ale wywołało to takie emocje, że już nigdy nie poruszał tego tematu.

Marcus obchodził auto, odkrywając je po kawałku i wzbijając tumany kurzu, aż w końcu cały samochód został odsłonięty.

Wyglądał pięknie. Doskonała robota. Marcus mógł być dumny. Wymienił koła, całkiem przerobił wnętrze, założył głośniki i przemaalował – z wyblakłej zieleni na błyszczącą czerń.

Allie zawsze była ogromną entuzjastką jego pracy. Już pierwsza rozmowa, przed kilku laty, na temat piękna i potencjału renowacji pobudziła jej zainteresowanie i zawsze



z ciekawością przychodziła popatrzeć, jakiej niezziemskiej przemiany był w stanie dokonać przy pomocy kilku narzędzi i wielu godzin harówki.

Nie wszystko mógł jednak zmienić.

W ciągu kilku ostatnich dni Allie znowu wtargnęła w jego myśli. Wzniósł wał obronny, który jednak okazał się dziurawy jak sito. Po wykreowaniu tej kretyńskiej sukni ślubnej na przyjęciu zaczął dopuszczać do siebie myśl, że być może kiedyś w towarzystwie Allie będzie mógł spokojnie oddychać. Patrzeć na nią bez ściśniętego żołądka. A nawet spędzać z nią czas jako przyjaciel.

Brakowało mu jej.

Ale jednocześnie przyglądanie się, jak wybucha śmiechem, a te idiotyczne serduszka chwieją się nad jej głową, jak nagle uśmiecha się nie wiadomo z jakiego powodu, jak promienieje światłem nie dla niego – było torturą. To zupełnie, jakby wręczono mu klucze do nowego chevroleta corvette tylko po to, żeby posiedział sobie w środku w salonie sprzedaży. A on pragnął wszystkiego, chciał dotrzymać przysięgi małżeńskiej, której nauczył się na pamięć i której treść nadal czuł w sercu za każdym razem, gdy spozjrzał jej w oczy.

Wszystko albo nic. A Allie wybrała nic.

Wobec tego należy pozbyć się auta.

Nie mógł w nieskończoność trzymać w garażu zwietrzałych wspomnień. Ani w sercu.

Mimo bólu, jaki sprawiał widok tego samochodu, Marcus przyglądał się mu, zastanawiając się, za ile może go sprzedać. Zysku nie będzie, ale może zwrócić koszty.

Bezmyślnie wytarł pasek kurzu z lusterka bocznego. Po ślubie siostry wyjedzie. Przyjmie tę pracę we wschodnim Teksasie. Nie ma powodu, żeby tu siedzieć. Za to, być może, jest mnóstwo powodów, by ruszyć się z miejsca.

Lekko postukał w maskę, a delikatny dźwięk odbił się echem od ścian garażu. Najpierw trzeba sprzedać samochód. A potem rozstać się z przeszłością.

Całkowicie.

\*

A może jednak nie musi tak definitywnie rozstawać się z Marcusem.

Allie przejechała ulubioną błękitną miotełką po starych wazonach stojących gęsto na stole w sklepie z antykami, uważając, by nie stracić klatki dla ptaka tuż przy krawędzi. Im więcej myślała o zdjęciu, które pokazała jej Hannah, tym intensywniej zastanawiała się, czy nie dałoby się zacząć z Marcusem od nowa. Może nie w małżeństwie, jak to sobie wcześniej wyobrażali, ale przynajmniej jako przyjaciele. Żeby móc bez bólu, a może nawet z przyjemnością, przebywać w swoim towarzystwie – ze względu na Hannah.

No, również ze względu na siebie. Przekształcenie dawnego związku w przyjaźń byłoby z korzyścią dla wszystkich. Na nią przestano by patrzeć wilkiem, on by w końcu zrozumiał, że ona nie bardzo nadaje się na żonę, jego rodzina znowu traktowałaby ją jak swoją, a przyjaźń z Hannah nie byłaby niczym zakłócona – pełnia szczęścia.

Albo prawie pełnia. Jeśli nie może mieć tego wszystkiego i jeszcze Marcusa, to lepsze to coś niż nic.

Bo teraz, znowu posmakowawszy jego obecności, widząc jego ciepłe relacje z rodziną, patrząc z bliska na jego serdeczny uśmiech i drobniutkie zmarszczki w kącikach oczu, gdy się śmieje... doszła do wniosku, że większą torturą byłoby ponowne rozstanie.

Zostawiła stół i zaczęła odkurzać starą witrynę na szkło i kolekcję porcelanowych króliczków rozłożoną na dolnej półce. Dobrze, że Marcus przynajmniej jej nie nienawidzi. Zdjęcie, choć nieostre w wielu szczegółach, to jednak pokazało wyraźnie. A jeśli jej nie nienawidzi, to istnieje nadzieja, że się uda. Znajdą drogę do przyjaźni, do tego, żeby nie zniknąć sobie na zawsze z oczu.

Brakowało jej go.

Ale musi uczynić jakiś gest pojednania. Coś, co by mu uświadomiło, że chociaż nie wie, dlaczego go skrzywdziła (nigdy mu nie powiedziała, inaczej na pewno starałby się wybić jej to z głowy) – to nie dlatego, że jej na nim nie zależało.

Zabrział dzwonek i zapach perfum kwiatowych zapowiedział panią Hawkins, zanim przed ladą pojawił się jej siwy kok. Allie wyjrzała i uśmiechnęła się do klientki.

– Przyniosła mi pani jakiś skarb?

Starsza pani rozpromieniła się w odpowiedzi.

– Ho, ho! Akurat coś dla ciebie.

Allie wyszła zza odrapanego kredensu. Cioteczni prawnukowie pani Hawkins, w dzinsach i nieco wygniecionych T-shirtach, którzy zawsze służyli jej za tragarzy, stali

koło jakiegoś kawałka zniszczonego drewna z półkami – może kiedyś była to ława warsztatowa. Allie odłożyła miotełkę do odkurzania i podeszła bliżej.

Pani Hawkins cofnęła się nieco. Wsadziła ręce do kieszeni spódnicy na gumkę i kiwając się lekko w tył i przód w butach ortopedycznych, czekała w milczeniu na wynik oględzin. Jej chłopcy również.

Allie przeciągnęła lekko dłonią po meblu. Oparcie siedzenia było częściowo oderwane i należało je przymocować. Drewno, porysowane i spłowiałe, wymagało przetarcia papierem ściernym i przynajmniej zabejcowania.

Pchnęła mebel kilka razy ręką. Nie kiwał się. Wyglądało na to, że nogi są solidne, co znaczyło, że ława wyszła z dobrego warsztatu. Odnowienie jej nie wymagało specjalnych starań, więc może da się zarobić. Choć już zaczynało brakować jej miejsca na meble. Chyba że...

Przyjrzała się uważnie. Podobałaby się Marcusowi. Zawsze powtarzał, że chciałby mieć taką ławę w swoim domowym warsztacie. Nie wiedziała, czy przypadkiem już sobie nie kupił, ale może... może to było rozwiązanie dylematu. Jeśli ją odnowi i da mu w prezencie, Marcus potraktuje to jako propozycję poprawy stosunków i przyjaźni. Zrozumie, że nie jest jej obojętny, że myśli o nim – może więcej, niż powinna.

Ale ława aż tyle nie powie.

– Biorę ją.

Allie wyciągnęła rękę do pani Hawkins, a potem, pełna nadziei i ożywiona, skupiła się na ławie.

Już ona się postara, żeby powiedziała tyle, ile trzeba.

Allie była wszędzie.

Jak tylko Marcus doszedł do wniosku, że przebywanie w jej towarzystwie za dużo go kosztuje i powinien się wycofać – pojawiła się znowu. Udało im się przeżyć cztery miesiące w małym miasteczku, nie wpadając na siebie. On nie zaglądał do jej antykwariatu, a ona nie zbliżała się do jego warsztatu ani do domu rodzinnego. Marcus nawet zaczął chodzić do innego kościoła.

A teraz nagle spotkał ją w banku, gdzie wszedł, żeby wpłacić kaucję za auto, na pocztę, gdzie wstąpił z Hannah po znaczki na zaproszenia na imprezę przedślubną Zacha, w supermarkecie, gdzie razem z matką kupowali jakieś potężne ilości suszonej wołowiny, z której miało być danie główne na tę właśnie imprezę.

Któregoś popołudnia natknął się na nią nawet we własnym domu, gdzie razem z Hannah siedziały w kuchni, otoczone stertą świeżo upieczonych ciastek, pisząc podziękowania – i posłała mu uśmiech słodszy niż wiórki czekoladowe.

W dodatku jeszcze do Beaux Creek wkroczył luty, ozdabiając masą serc z papieru i koronki okna wystawowe oraz półki w sklepach. Dekoracje były niemal lepsze niż na imprezie u Hannah. Całe miasteczko zostało zainfekowane wirusem walentynkowym. Przypomnienie tego, co mogło być – co być powinno! – doprowadzało Marcusa do szału.

Po wyjściu z supermarketu wsiadł do samochodu, nastawił radio na ulubioną stację z muzyką country i aż się wzdrygnął, gdy piosenkarz zaśpiewał, że połowa lutego nie powinna być tak straszna. Absolutnie się z nim zgadzał – i szybko zmienił stację. Hard rock. A ponieważ tego gatunku nie znosił, więc podejrzewał, że przynajmniej on nie będzie się kojarzył z Allie.

Gdyby ostatnio nie spotykał jej tak często, zdziwiłby się, widząc, jak dziś rano wchodzi do jego warsztatu – ładnie wyglądała w turkusowym swetrze i dzinsach wsuniętych w wysokie buty. Prawdę mówiąc, zbyt ładnie jak na łakome oczy upapranych smarem i obleśnie uśmiechniętych mechaników.

– Nie tutaj – powiedział surowo, surowiej niż zamierzał, po czym wziął ją za ramię i wyprowadził na zewnątrz, zasłaniając swoim ciałem przed wzrokiem pracowników. Lubił ich, ale nie podobało mu się, jak ślinili się na jej widok.

Szczególnie teraz, kiedy dobrze wiedzieli, że nie jest zaręczona.

Allie protestowała i próbowała się odwrócić, ale on zamknął uszy i popychał ją ku

samochodowi na prawie pustym parkingu.

W końcu zatrzymali się, Marcus zdjął robocze rękawice i wsunął je do kieszeni. Dziś miał w robocie silniki, więc dzinsy i firmową koszulkę polo zamienił na kombinezon. Dobrze, że w ogóle mu nie zależy na tym, czy się Allie podoba.

Chociaż mięśnie zdecydowanie lepiej rysowały się w koszulce polo.

– Jakiś problem? – Spojrzała na Marcusa, zasłaniając oczy przed zachodzącym słońcem.

– Nie.

– No to o co ci chodziło?

Poruszyła się, próbując znaleźć lepszą pozycję, bo na żwirze niewygodnie stoi się w kozakach na szpilkach. Marcus mechanicznie wyciągnął dłoń, żeby ją podtrzymać, dotknął jej ramienia – i nagle przeskoczyła iskra. I nie było to wyłącznie skutkiem elektrostatyki. Marcus opuścił rękę i cofnął się. Nie potrzebuje, żeby chemia w warsztacie wywołała pożar.

– O nic – odparł i przesunął się nieco, żeby zasłonić Allie rażące słońce. – Po prostu... o nic mi nie chodziło. – No tak, nie ma zamiaru wyjaśniać jej, że jego instynkt opiekuńczy nadal działa.

Odchrząknął.

– A co u ciebie? – *Innymi słowy, po co tu przyszedł?* Lecz patrząc w jej zielone oczy, niemal w tym samym kolorze co sweter, nie chciał być tak nieuprzejmy. Nagle jej obsesję kolorem turkusowym zobaczył w innym świetle.

– Chciałam skonsultować z tobą prezent na tę przedślubną imprezę Zacha. – Chłodny wiatr rozwiewał jej włosy, gdy tam i z powrotem przesuwiała srebrny kwiatek na naszyjniku. Zawsze to robiła, gdy była zdenerwowana.

– A on nie sporządził listy życzeń?

– Sporządził, ale to wszystko narzędzia. Ja się na tym nie znam, a chcę kupić mu coś fajnego. – Allie puściła naszyjnik i uśmiechnęła się. – Wiem, jakie narzędzia są przydatne przy odnawianiu mebli, ale pojęcia nie mam, czym zreperować spłuczkę czy inne urządzenie w domu.

Marcus przepadał za swoim przyszłym szwagrem, ale wiedział, że Zach też nie

miałby pojęcia. Mimo piwnicy pełnej narzędzi za każdym razem będzie dzwonić po hydraulika.

– Kup coś, co nie będzie za drogie. Jeśli jest na liście, to znaczy, że chce to dostać.

Swoją drogą, ile tych imprez z prezentami na przyszłą drogę życia mają zamiar urządzić? Oni z Allie nie mieli aż tylu. Ale też nie zwracał na to większej uwagi. Bardziej niż liczenie łyżek stołowych i rękawic kuchennych interesowało go to, jak będzie wyglądało ich małżeństwo.

Bez namysłu oddałby wszystkie swoje narzędzia za Allie. To znaczy oddałby był – musi pamiętać o czasie przeszłym.

– A może mógłbyś mi towarzyszyć? – Jej głos zrobił się nieco piskliwy. Nerwy? Nadzieja? – Jeśli jeszcze nic nie masz dla Zacha, moglibyśmy razem wybrać się na zakupy.

Jeszcze nie miał, ale nigdzie się nie wybierze.

Założył ręce na piersi i korzystając z okazji, że boczną uliczką przejechał z rykiem silnika motocykl, odsunął się jeszcze kawałek i uzbroił serce przeciwko pokusie. Nie. Zostawiła go. Uciekła od niego.

A teraz chce, żeby był jej bohaterem i pomógł w wyborze narzędzi?

Nic z tego. Nie może się zgodzić.

Ze względu na ślub siostry musi być miły dla Allie i nie robić z siebie widowiska, ale jeśli będzie jej ulegał i spieszył z pomocą, to znowu znajdzie się na dnie rozpaczy. Pomocy przy przebitej oponie odmówiłby tylko kompletny palant. W tej sytuacji każdemu by pomógł.

Ale teraz to co innego.

Nie pozwoli, żeby znowu bawiła się jego sercem.

– Mam kupę pracy w warsztacie. – Pokazał za siebie, gdzie dobrze ustawiony interes chodził jak w zegarku.

Allie podążyła wzrokiem za jego ręką. Trochę zdezorientowana spytała:

– A w przerwie na lunch?

– Mam pilne zlecenie.

Zacisnął zęby i odwrócił wzrok. Gdyby spojrzął jej w oczy, na pewno by się ugiął. Zabrałby ją limuzyną do sklepu żelaznego i po drodze kupił kwiaty.

Nic z tego.

Otworzyła drzwiczki auta.

– Rozumiem.

Zaryzykował spojrzenie na Allie i od razu tego pożałował. W jej oczach nie było już dezorientacji, tylko ból. Z trudem wytrwał w postanowieniu. Na razie Allie wcale nie rozumie, ale wkrótce zrozumie.

Bo jak tylko skończy się weselna balanga, Marcus zamierza sprawdzić, jak szybko jego auto przyspiesza od zera do stu kilometrów na granicy z Teksasem.

\*

Może nie powinna była tam iść.

Allie spacerowała po głównej alejce magazynu z artykułami żelaznymi, przyglądając się młotom, śrubokrętom i torebkom z gwoździami, jakby mogły wyjaśnić nagłą zmianę w zachowaniu Marcusa. Co się stało? Może wizyta w jego miejscu pracy była zbyt śmiałym posunięciem, szczególnie że ostatni raz była tam tydzień przed planowanym ślubem. Przyniosła mu wtedy lunch.

No, ale mimo wszystko... Po ostatniej imprezie i po tym zdjęciu, które pokazała jej Hannah, była pewna, że Marcus uchwyci się próby nawiązania przyjaźni. Czy nie chciał, podobnie jak ona, poprawić stosunków? Wydawać by się mogło, że chciał, bo dlaczego inaczej zachowywałby się tak beztroško podczas zawodów na najpiękniejszą suknię ślubną? Nawet aparat to zarejestrował. Dlaczego tak chętnie zgodził się zmienić koło i dlaczego był tak miły za każdym razem, kiedy przypadkiem na siebie wpadali? Wydawało jej się, że myślą podobnie, a tymczasem on nagle zrobił się taki... nieprzystępny. Niemal nieuprzejmy.

Allie ponownie zerknęła na spis, który sobie wydrukowała, z roztargnieniem przesuwając wzrokiem po cenach, aż wreszcie znalazła artykuł, na który było ją stać. No trudno, i tak skończy tę ławę dla Marcusa. Zasluguje na nią. Już ładnie oczyściła ją papierem ściernym, zabejcowwała i przykręciła oparcie. Teraz tylko należy położyć jeszcze jedną warstwę bejcy i będzie gotowa. Może, gdy mu ją podaruje, Marcus zrozumie, co do niego czuje i jakie ma intencje.

A może źle to wszystko rozumiała? I będzie zmuszona sprzedać odrestaurowany mebel?

Wzięła do ręki wiertarkę elektryczną i od razu ją odłożyła. Miała wrażenie, że ława dla Marcusa nie jest skończona, że czegoś jej brakuje... Brakowało wyrytego przesłania, podpisu, cytatu albo obrazka. Czegoś, co miałoby szczególne znaczenie dla Marcusa, co by mówiło o niej i miało pozytywny wydźwięk.

No więc co takiego mogłoby jednoznacznie powiedzieć: „Nadal cię Kocham, mimo że zostawiłam cię przed ołtarzem, i uważam, że postąpiłam słusznie, bo przynajmniej unikniesz klątwy?”.

Jęknęła i przerzuciła kartkę wydruku. Może to jednak zły pomysł. Jeden z wielu, a wszystko zaczęło się od opaski na głowę z sercami. Nie, pierwszy to zgoda na włożenie tej idiotycznej sukni ślubnej. Nie wierzyła w żadne klątwy – w rozumieniu wudu czy czegoś takiego. Ale wierzyła w to, co mówi Biblia o konsekwencjach grzechów ojców, które dotykają dzieci, i wiedziała, że dźwiga ciężar błędów swoich rodziców na ramionach. Nie chciała, żeby przygniatały również Marcusa pochodzącego z tak doskonałej rodziny. Kiedyś mógłby mieć do niej o to pretensje. Mógłby żałować zawarcia małżeństwa.

Zasługiwał na coś lepszego niż to, co miała mu do zaoferowania. Na coś lepszego niż przyszłość znaczone przekleństwem, przeklęta suknia i żona, która pójdzie w ślady matki i babki.

W oczach stanęły jej łzy i napisy na kartce nagle się rozmazały. Allie zamruwała, wytarła oczy palcami i wzięła głęboki wdech.

– Hej, nie ma co płakać nad spisem prezentów. – Przez kotłowanie myśli przedarł się nagle znajomy głos i Marcus wyjął jej z ręki spięte zszywaczem kartki.

Allie pociągnęła nosem i znowu wytarła oczy, po czym zmusiła się do uśmiechu i spojrzała na chłopaka. Dżinsy, firmowa koszulka polo ładnie podkreślająca mięśnie. Świetnie, a ona wygląda albo jak więdnąca z miłości Marsjanka, albo jak niezrównoważona emocjonalnie Marsjanka z makijażem à la szop praczą od rozmazanej mascary.

Ale najważniejsze, że Marcus przyszedł.

I z ulgi znowu zachciało jej się płakać.

Wciągając rozdygotany oddech, starała się opanować. To tylko sklep z narzędziami. Marcus mógł tu przyjść w jakimś własnym celu. Wcale nie dlatego, że



pożałował tego, jak zachował się w warsztacie.

– Co ty tu...

– Robisz? – Marcus postukał w kartkę spisu prezentów, a jego oczy powiedziały więcej niż słowa. Na widok przeproszającego wzroku Allie odebrało dech.

– Robię zakupy na imprezę przedślubną. A ty?

– Dziwne, ale to samo. – Prychnęła. Marcus zawsze potrafił rozładować atmosferę.

Szkoda, że w pamiętny dzień we wrześniu nie był razem z nią w salce za zakrystią.

– Może kupilibyśmy na spólkę wiertarkę? – spytał, patrząc cieplejszym wzrokiem.

– Dobry pomysł?

Tak. Aż za dobry. Ta spółka może namącić jej w głowie. Ale udało jej się uśmiechnąć i skinąć głową, więc Marcus zdjął pudło z wiertarką z półki, wsunął je pod ramię i oddał Allie wydruk.

Poszli razem do kasy. Allie trzymała się z tyłu, tuż za jego łokciem, i z lubością wdychała zapach cytrusowej wody kolońskiej, ciesząc się, że Marcus tego nie widzi. Trudno, niech ta spółka mąci w głowie, byle nie jego.

On już dość się wycierpiał. Ona nigdy nie wycierpi tego, na co zasłużyła.

Marcus siedział na kanapie, przyglądając się pudełku w błękitne paski, na którym były wypisane imiona jego i Allie. Razem.

I tak powinno być, z tym że wszystko inne było na opak. On siedział na jednym końcu kanapy w salonie w domu Zacha, a Allie – na fotelu, tak daleko od niego, jak to możliwe. Powinna siedzieć mu na kolanach, żeby mógł bawić się jej włosami, kiedy ona śmiałyby się z banalnych rozmów i gier, które się zwykle uprawiało, gdy rodziny narzeczonych poznawały się nawzajem. Powinna zaproponować mu, żeby dokończył za nią tartę z serem i karczochami, którą zjadła tylko do połowy, a poprawiając szminkę, powinna dać mu filiżankę do potrzymania. Powinna robić to wszystko, co wydawało mu się oczywiste, kiedy byli razem.

A teraz, przyglądając się, jak siedzi zamyślona na fotelu, założywszy nogę na nogę i machając pantoflem na wysokim obcasie trzymającym się tylko na palcach stóp – kusiło go, by zapytać, czy przypadkiem jej czegoś nie potrzymać. Albo nie podać torebki. Albo nie dolać coli.

Gdyby któryś z jego pracowników mówił takie rzeczy, trzepnęłby go w ucho. A tymczasem sam marzył o kobiecie, która bardziej zasługiwała na pogardę niż na miłość.

Dobrze wiedział, że nie powinien proponować wspólnego prezentu. Lecz kiedy nagle okazało się, że musi kupić coś w sklepie żelaznym, pojechał rozdarty wewnątrz. Miał nadzieję, że Allie już nie będzie i jednocześnie – że się na nią natknie. Widząc ją, kompletnie zmiękł, roztopił się jak lód, która toczyła się po jej policzku, gdy patrzyła beznadziejnie na spis prezentów.

Wiedział, że nie płacze z powodu tego spisu. Znał ją na tyle dobrze, by być tego pewnym. Smuciło ją coś innego i nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że może powodem było jego zachowanie w warsztacie. Może i rzuciła go tuż przed ślubem, ale teraz z jakichś powodów starała się być miła. Ciepła, nie uwodzicielska. Szczera. Prawdziwa.

No, po prostu Allie.

Co było chyba jeszcze gorsze.

Z flirtem potrafiłby sobie poradzić. Mógłby się przeciw niemu uzbroić, umiałby go przejrzeć, wiedziałby, że to tylko gra, z którą nie chce mieć nic wspólnego.

Ale kiedy była sobą, taką jak dawniej, tą Allie, którą poznałby z odległości mili... no cóż, mury obronne skruszyły się szybciej niż te ciasteczka, które kilka dni temu piekła

razem z Hannah. A gdy mury runęły, zaczął popełniać głupstwa, na przykład zaproponował wspólne kupienie wiertarki i wybrał ozdobny papier do jej zapakowania.

– Czas na grę! – zakrzyknęła nagle matka Zacha i wstała z fotela przy kominku z tym samym błyskiem w oku, który miała jego matka, zapowiadając zawody w robieniu sukni ślubnej z papieru toaletowego.

Marcus również wstał i ruszył do kuchni, żeby wrzucić do śmieci to, co trzymał w ręce. Postanowił robić to bardzo długo i dokładnie, by nie załapać się na następną idiotyczną zabawę. A jeśli ktoś wspomni coś na temat walentynek, to z kosza z prezentami na stole wyjmie młotek i skróci swoje cierpienia. Na szczęście ślub już za kilka dni i wreszcie skończy się to szaleństwo.

Marcus wrzucił do kubła plastikowy talerz i filiżankę, odwrócił się i niemal wpadł na Allie.

– Przepraszam! – powiedzieli jednocześnie.

– To moja wina. – Marcus wziął z jej ręki talerz z niedojedzonym plackiem i wrzucił wszystko do śmieci.

– Coś takiego, nie spiesz ci się do gry? – zapytała z błyskiem w oku i wyciągnawszy z kieszeni komórkę, położyła ją na ladzie. – Wygląda na to, że rozrywka jest przednia. – Z tyłu, zza drzwi wahadłowych prowadzących do salonu, dobiegały wybuchy śmiechu. Sądząc z instrukcji, które słyszał, wychodząc, było to coś w rodzaju polowania na skarby w torebkach.

Marcus oparł się o ladę.

– Nie mam torebki. Nie jestem zagrożony.

– Ależ to mężczyźni mają grzebać w torebkach swoich dziewczyn.

Wcaaale nie krępujące. Bo, sądząc po tym, co widział, jeśli chodzi o osoby mające więcej niż szesnaście lat, on i Allie byli jedynymi bez oficjalnej pary.

No cóż, niektóre dni wbijają ci nóż w serce.

Allie podeszła bliżej i oparła się biodrem o ladę. Światło nad zlewem kuchennym oświecało jej włosy podpięte w połowie spinką, tak jak lubiła. Miała na sobie tę samą ciemną sukienkę, którą włożyła kilka tygodni wcześniej na przyjęcie zaręczynowe, gdy widzieli się po raz pierwszy od rozstania. Ładnie w niej wyglądała.

No właśnie, wspomniał coś o nożu.

– Przepraszam, nie powinnam chyba była przychodzić do warsztatu – powiedziała to ściszym głosem, lecz buczenie lodówki i szum wentylatorów i tak by zagłuszyły ich rozmowę, nie mówiąc już o hałasie panującym w salonie.

Byli sami. Znadto sami.

Jej dłoń spoczywająca na ladzie przyciągała jego rękę niby magnes. Marcus przysunął się do niej nieco bliżej i odpowiedział:

– Żaden problem. – No, prawie żaden, ale to nie jej wina. Nie wiedziała, co postanowił.

Jednak teraz to postanowienie topniało niczym marcowy śnieg.

– Miałam wrażenie, że jednak był jakiś problem – szepnęła i też przysunęła się bliżej.

Marcusowi serce waliło o żebra i jakimś dziwnym trafem jego palce musnęły jej dłoń. Ciągnęły jak ćma do płomienia.

– Przepraszam, jeśli byłem nieuprzejmy. Nigdy nie sprawiłaś mi żadnego problemu. – To on musiał sprawiać jej jakiś problem, skoro zostawiła go bez słowa wyjaśnienia.

Ale chyba musiała o tym chwilowo zapomnieć, ponieważ przesunęła wzrokiem po jego twarzy i zatrzymała się na ustach.

Nie, nie wolno. Jego oddech zrobił się płytki. Allie podobnie zaczęła mieć kłopoty z oddychaniem. W jej niespokojnym wzroku odczytywał dziesiątki pytań – tych samych, które wykrzykiwało jego serce, wykrzykiwało od wielu miesięcy, domagając się odpowiedzi.

Domagając się działania.

Wziął jej twarz w dłonie i pocałował.

\*

Allie oddała pocałunek. Ich wargi złączyły się w tańcu, który wykonywali niezliczoną liczbę razy, a jednak wydawało im się, że to coś zupełnie nowego. Allie wspięła się lekko na palce i przytuliła się. Dłoń Marcusa na jej twarzy była przyjemnie ciepła. Jego druga ręka otoczyła jej talię – świetnie się w siebie wpasowali, jak zwykle.

W duszy Allie nadzieja walczyła z obawą. Nadzieja, że jest jeszcze szansa, obawa – że nie ma. Nadzieja, że myliła się co do uczuć Marcusa, obawa, że teraz właśnie zniszczyła wszelkie szanse na przyjaźń.

Mimo tych wewnętrznych zmagania nie była w stanie oderwać się od jego ust.

Dłoń Marcusa powędrowała wyżej i wsunęła się we włosy, a ona złapała go za kołnierz koszuli i przyciągnęła bliżej. Zalały ją wspomnienia tego, co było tak niedawno, i zaczęła żałować rozstania. Lecz żalom szybko położyła kres rzeczywistość.

I skrzypienie drzwi kuchennych.

Odsunęli się od siebie w jednym momencie. Marcus, oparty o ladę, uderzył dłońmi o jej bok. Allie aż się wzdrygnęła, wystraszona hałasem, lecz jej zaskoczenie było niczym w porównaniu z zaskoczeniem malującym się na twarzy Hannah.

– Och... przepraszam. Nie chciałam wam przeszkadzać. – Uśmiech od ucha do ucha przeczył jakimkolwiek przeprosinom. – Zauważyłam, że zniknęliście, a zaczynamy rozpakowywać prezenty.

– Och, tak, już idziemy. – Allie odchrząknęła i podniosła rękę, żeby wytrzeć usta, ale w porę się pohamowała. – To znaczy ja idę. – Przecież nie miała pojęcia, co robi Marcus. Ani, zresztą, co ona sama robi.

Wiedziała tylko, że chce to zrobić jeszcze raz.

– Zaraz przyjdziemy. – Marcus spojrzał znacząco na siostrę, która uśmiechnęła się jeszcze szerzej i wróciła do gości.

Allie natomiast z obawą pomyślała, że Hannah nie da jej spokoju, póki się wszystkiego nie dowie.

Drzwi się zamknęły, ponownie zapewniając im samotność w kuchni. Allie odwróciła się do Marcusa. Dobrze byłoby znać jego myśli, zanim sama się odezwie.

– Allie, ja...

– Marcus, my...

Oboje urwali i zaczęli od nowa.

– Nie możemy...

– Ja naprawdę...

– Moment. – Allie podniosła obie ręce w górę. – Twoja kolej. Czego nie możemy?

Marcus zawahał się i oparł się obiema rękami o wykafelkowaną ladę.

– Nie możemy... tego robić. – Pokazał dłonią na siebie i na nią. – To... było. I już nie może być.

Ona czuła podobnie, z tą różnicą... Nie! Czuła zupełnie odwrotnie. Głowa sobie, serce sobie... Serce zapomniało o upomnieniach rozumu i było jeszcze całe upojone ciepłem Marcusowych ramion.

Allie zaczęła się wachlować, ale zaraz opuściła rękę i powiedziała:

– Zgadzam się.

A co, mogła inaczej? Skoro ją odrzucił? Zaszła sobie na odrzucenie, to jasne, ale on najpierw ją pocałował, a potem powiedział, że więcej tego nie zrobi. Przełknęła ślinę, mając nadzieję, że jej mina nie zdradza ogłuszenia.

– To nie byłby dobry pomysł – dorzuciła.

– Masz rację. To zły pomysł.

Marcus patrzył jej w oczy, jakby szukając innej odpowiedzi, ale co ona miała zrobić? Błagać go, żeby zmienił zdanie? On o nic jej nie błagał, gdy uciekła od niego przed ołtarza. Teraz kolej na jego ruch, nie jej.

Niemniej nagły przypływ intymności i wzbierające od kilku tygodni emocje rozwiązały jej język i podkopały determinację.

– Ale może...

Nie, miał rację. To naprawdę zły pomysł. Próbowana znaleźć drogę do przyjaźni, a tymczasem skończyło się na migdaleni w kuchni u Zacha. Najwyraźniej związek fizyczny między nimi był mocny i żywy – co wcale nie dziwi, ale klątwa to klątwa. Nie da się przed nią uciec.

– Może co? – Marcus wstrzymał oddech i Allie zapragnęła nagle przycisnąć dłoń do jego serca. Bardzo lubiła to robić, gdy byli razem, czuć jego bicie pod palcami, słuchać szeptanych zapewnień, dla kogo ono bije.

– Może... – Nie, nie myśli logicznie. Nic się nie zmieniło.

Choć może jednak. Może się myliła, od początku do końca. A jeśli mogliby z Marcusem stworzyć własne życie, odcinając się od ciężącego nad nią przekleństwa? Może mogliby wyrzucić suknię, odseparować się od jej rodziny i zacząć od nowa, tak jak pragnęli?

A jeśli... jeśli to nadal możliwe?

Leżący na łóżku telefon zadzwonił, wyrrywając ją z rozmyślań. Matka.

– Odbierz. – Marcus ścisnął jej dłoń, jakby sygnalizując, że nie skończyli rozmowy, i oderwał się od lady. – Idę do salonu, tam się spotkamy.

Oczywiście, że się spotkają.

Allie podniosła komórkę. Matka, jak zwykle, dzwoni z niezwykłym wyczuciem czasu.

– Cześć, mamó. – Odwróciła się tyłem do lampy i ścisnęła nos u nasady, żeby zapobiec bólowi głowy, który zawsze wywoływał głos rodzicielki. – Co się stało? Jestem na przyjęciu u Hannah i Zacha. – I całuję się z eksnarzeczonym. Zarumieniła się i obejrzała się za ramię, żeby sprawdzić, czy Marcus wyszedł.

Wyszedł.

Trudno go winić. Sama nie miała ochoty na towarzystwo matki, nawet przez telefon.

– Następną impreza, na którą nas nie zaproszono? – zadudniło w telefonie i Allie odsunęła słuchawkę od ucha. – To już trzecia, tak?

Po głosie poznała, że matka jest nie tylko urażona, ale i dezorientowana. Nic dziwnego. Mimo wyrachowanego charakteru nigdy nie umiała zrozumieć aluzji.

– To, że Hannah jest moją przyjaciółką, mamó, wcale nie znaczy, że będzie cię zapraszać na każdą imprezę.

Prawdę mówiąc, tłumaczyła już to przed tygodniem, kiedy babka zaczęła wyrzekać na Hannah, wyliczając, ile to zrobili dla niej przez lata. W końcu Allie postanowiła, że nie będzie się więcej dziwić naiwności kobiet w rodzinie. Czy naprawdę nie mają pojęcia, jak są postrzegane? Jak niezdolnie zachowują się na spotkaniach towarzyskich? Jak obrażają

wszystkich, wygłaszając swoje opinie nieproszone, i jak mało subtelnie zarzucają haczyk na każdego nowo poznanego mężczyznę?

– No cóż, zaproszenie byłoby sympatycznym gestem – powiedziała matka z niezadowoleniem i Allie z trudem powstrzymała się, żeby nie przewrócić oczami.

– Dlaczego dzwonisz, mamó? Czekają na mnie ze spisywaniem podarunków, które otwiera Hannah z Zachem. – Przynajmniej tak sądziła, ponieważ robiła to na poprzednich imprezach, ale nawet jeśli nie, to i tak był to dobry pretekst, żeby skończyć rozmowę. Chciała zastanowić się, co ma powiedzieć Marcusowi. Chciała przemyśleć jego pocałunek.

A może to ona pierwsza go pocałowała?

Nawet tego nie pamiętała.

– Chciałam spytać o suknię.

Głos matki zrobił się przymilny – pewna oznaka, że Allie nie spodoba się to, co usłyszy. Dziewczyna przycisnęła dłoń do brzucha.

– A o co chodzi? – spytała tonem, w którym wyraźnie brzmiało ostrzeżenie.

– Och, chciałam ją pożyczyć.

No nie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Milczenie, a po chwili:

– Wychodzę za mąż.

A cóż innego. Allie żołądek podszedł do gardła.

– Gratulacje. – W jej głosie było mniej entuzjazmu, niż planowała. A może i tak za dużo? – Więc znowu potrzebna ci suknia.

– Chwilowo i tak na nic ci się nie przyda.

To cios nożem w serce. Allie zamknęła oczy, a otworzywszy je po momencie, rzekła:



– Zaczęli otwierać prezenty. Muszę iść.

– Przynieś mi ją najpóźniej za dwa tygodnie. Kochanie, możesz spodziewać się zaproszenia.

Jasne, przecież nie może nie przyjść.

Allie wymamrotała pożegnanie i z całej siły, aż zabolął palec, nacisnęła guzik wyłączający telefon. Nigdy się niczego nie nauczą. Żadna z kobiet z tej rodziny. Stanowiły żywy dowód na to, że los niektórych jest z góry przesądzony, a jedyne, na co ma się wpływ, to kogo jeszcze się pogrąży po drodze.

Westchnęła, wyprostowała się i z determinacją poszła do salonu. Serce, które poprzednio szybowało lekko, teraz było tak ciężkie, jak ława warsztatowa, którą pieczołowicie restaurowała.

Nie, może ona zatonie, lecz nie pociągnie za sobą Marcusa.

Pocałował ją.

I zrobiłby to jeszcze raz, gdyby tylko miał szansę.

Marcus pogwizdywał, wysiadając z furgonetki na kiepsko oświetlonym parkingu przy kościele. Nie zwracał uwagi na to, że eleganckie buty piją go w stopy, i nawet nie przeszkadzało mu, że jutro wieczorem, podczas ślubu i wesela, całe godziny będzie musiał odcierpieć w trzyczęściowym garniturze wizytowym. Ale to wszystko nie miało znaczenia.

Pocałował Allie.

A ona jego.

Czerwony blask zachodzącego słońca tylko przyspieszał bijące oczekiwaniem serce. Dziś zdarzy się coś dobrego, coś, co może nawet zmieni jego życie. Czuł to.

– Hej, Marcus! Poczekaj!

Zwolnił, żeby zatrzymać się koło drzwi do zakrystii, i odwrócił głowę. Zach biegł do niego w spodniach od garnituru i koszuli – rzadko tak się stroił. Zasapany, poprawił okulary zsuwające się z nosa. Z tyłu za nim pojawiła się Hannah.

Zach zatrzymał się i wysapał:

– Właśnie dzwonił jeden z drużbów, kumpel ze studiów. Nie będzie w stanie przyjść na ślub.

Marcus zmarszczył brwi, choć wiadomość ta nie popsowała mu znakomitego humoru.

– Przykro mi.

Stojąca za Zachem Hannah wcelowała w brata palec i powiedziała z łobuzerskim uśmiechem:

– Innymi słowy, braciszku, zastępujesz go.

– Co takiego? Ja? – Przeniósł wzrok z siostry na Zacha i z powrotem, czując, że entuzjazm się ulatnia. Och. Nie o to chodziło bijącemu oczekiwaniem sercu. – Który to? – spytał, ale już wiedział. Jedynym spoza miasteczka był ten najważniejszy...

– Pierwszy družba – powiedziała rzeczowo Hannah.

Marcus wytrzeszczył oczy.

– Pie... Co? – Jeśli to prawda, to będzie musiał iść środkiem nawy koło Allie, pierwszej druhny.

Żołądek omal go nie zadławił – podobnie czuł się, gdy kiedyś wjechał komuś w tył auta. Wiedział, że zaraz dojdzie do kolizji, czuł strach ściskający żebra jak stalowa obręcz, ale hamulce po prostu za wolno działały.

Hannah poklepała go po barku i rzekła:

– Będiesz świetnym družbą. Już to przetrenowałeś.

– Dziękuję za przypomnienie, siostrzyczko. – Posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, ale ona lekceważąco machnęła ręką.

– Zobaczysz, wszystko się uda.

Złapała go za rękę i zaczęła ciągnąć do zakrystii. Marcus stanął i wyrwał się, niemal ogłuszony tym, co na niego spadło.

Po raz pierwszy miał wchodzić do tego kościoła od pamiętnego dnia we wrześniu. Teraz będzie tam na ślubie, ale nie własnym i – o ironio – z Allie wspartą na jego ramieniu.

Nigdy nie skończą rozmowy, którą zawiesili kilka dni temu na imprezie Zacha. Kiedy po telefonie matki Allie weszła do salonu, od razu wzięła do ręki notes, który Hannah dla niej wyciągnęła, i zaczęła zapisywać imiona ofiarodawców otwieranych prezentów. A po przyjęciu została, żeby pomóc posprzątać. Nie było powodu, żeby on też został – wyglądałoby to podejrzanie, bo matka Zacha od razu odrzuciła jego propozycję, mówiąc, że świetnie sobie poradzą.

Dzięki Hannah i matce, która ciągle miała dla niego w zanadru jakieś nowe zadania, następne dwa dni były nieustannym kołowrotem pracy i przygotowań przedślubnych. A on miał nadzieję na powtórkę tego pocałunku, mimo że oboje zgodnie stwierdzili, iż nie powinien być się zdarzyć. Miał też nadzieję, że Allie nie pomyśli, że on jej unika.

No właśnie, przez cały ten czas ani razu nigdzie na nią nie wpadł, a ona nie napisała mu nawet SMS-a. Ani nie zadzwoniła.

O wilku mowa... jej samochód właśnie zaparkował tuż obok i Allie wysiadła. Długa suknia powiewała na wietrze i oblepiała jej nogi. Wyglądała pięknie, ale kiedy było inaczej?

– Dojdę do was – powiedział Marcus, popychając lekko siostrę w stronę zakrystii.

Postanowił sam uświadomić Allie co do zmiany pierwszego drużby. Powinna zostać uprzedzona, bo wydawało mu się, że dla niej wejście do tego samego kościoła może być jeszcze bardziej traumatyczne niż dla niego.

Ruszył w jej kierunku, a ona uśmiechnęła się niepewnie, nie patrząc mu w oczy. Schowała kluczyki do torebki i powiedziała:

– Cześć.

Coś było nie w porządku. Może myślała, że on unika jej, żeby nie rozmawiać o pocałunku. Marcus przeciągnął dłonią po twarzy, szukając słów, które by ją uspokoiły.

– Allie, ja nie...

Chrzęst żwiru zagłuszył przeprosiny. Koło samochodu Allie zatrzymał się błękitny czterodrzwiowy sedan, a gdy otworzyły się drzwiczki po stronie kierowcy, dziewczyna poszarzała na twarzy i jęknęła:

– Nie!

Gdy spojrział, z tylnych drzwi po obu stronach auta wysuwały się nogi w pończochach. Wzdrygnął się na widok paniki na twarzy Allie.

Jej rodzina.

A potem panika ustąpiła miejsca zgrozie – bo z auta wyłonił się wysoki, szczupły mężczyzna.

✱

Allie powoli kroczyła środkiem kościoła u boku Marcusa, który wyraźnie czuł, jak drży jej ręka spoczywająca na jego przedramieniu. Informacja o jego awansie na pierwszego drużbę niezupełnie była lekarstwem na nerwy roztrzęsione widokiem rodziny (wraz z nowym narzeczonym matki!) wjeżdżającej na kościelny parking z taką pewnością, jakby co najmniej zostali zaproszeni. Co za tupet!

A wejście do kościoła, z którego nie tak dawno uciekła, również nie podziałało

uspokajająco.

Czy Hannah nie mogła wybrać innej świątyni?

Nie mówiąc już o tym, że główna nawa miała długość trzech boisk piłkarskich. Spocona dłoń zaczęła wyslizgiwać się spod ramienia Marcusa i Allie zacisnęła ją w pięść. Szli już tak całe wieki, a każdy krok pogłębiał uczucie skrępowania. Dawna para narzeczonych idzie ot, tak sobie, do ołtarza, jako pierwsza drużna i pierwszy družba. Kto by pomyślał?

Pan Bóg ma niezłe poczucie humoru.

Allie zahaczyła czubkiem buta o chodnik, ale na szczęście Marcus mocniej przycisnął jej rękę do boku i odzyskała równowagę.

Gdy weszli na ostatni stopień, krótko ścisnął jej dłoń, a konsultantka ślubna zaczęła instruować mężczyznę na chórze, kiedy ma przycisnąć guzik, żeby muzyka rozległa się akurat w momencie zapalania świecy przez młodą parę.

Jednak Allie prawie jej nie słyszała, bo docierała do niej przede wszystkim prowadzona teatralnym szeptem rozmowa matki, ciotki Shelley i babki siedzących w pierwszej ławce po stronie przeznaczony dla rodziny panny młodej.

Allie poruszyła mającymi imitować bukiet zwiniętymi gazetami, żałując, że nie może zasłonić nimi twarzy, i rzuciła okiem na Marcusa. Jeśli nie zmienił zdania na jej temat zaraz po pocałunku, to na pewno zrobił to teraz. Zaczerwieniła się ze wstydu za kobiety z rodziny, które nieproszone wkręciły się na próbę ślubu. Teraz pokazały swoje prawdziwe oblicze.

Marcus nie odrywał od nich oka. Matka, ciotka i babka siedziały, założywszy nogę na nogę, machając stopami, z upiętymi do góry popielatoblond albo siwymi włosami i z uśmiezkami zdradzającymi zadowolenie z siebie i niecny zamiar wtargnięcia na próbny obiad. Ciotka nigdy nie odpuściła, jeśli gdzieś można było załapać się na darmowy poczęstunek. A żadnej nie brakowało impertynencji, wszystkie miały w nosie dobre maniery i nic ich nie obchodziło, że narobią wstydu Allie.

– Allie! Nie zapomnij przynieść mi sukni! – zawołała matka, celując w nią palcem i nie przejmując się, że przeszkadza innym. – Dwa tygodnie, pamiętasz? – Poklepała ramię mężczyzny przy swoim boku, który uśmiechnął się i pomachał ręką z taką miną, jakby zupełnie nie miał świadomości tego całego cyrku.

Pastor zaczął instruować Hannah i Zacha, gdzie mają stać podczas ceremonii, a pani Hall spojrzała zatroskana na Allie i jej matkę, po czym bezgłośnie wyartykułowała:

– Wszystko okej?

W tych okolicznościach „okej” było dość względne. Może nawet czysto retoryczne. Allie, czerwona jak burak z upokorzenia, zmusiła się do kiwnięcia głową. Najpierw ta karuzela z Marcusem i jego skrajnie sprzecznymi reakcjami, potem gwałtowne wątpliwości co do ławy warsztatowej, telefon od matki z informacją o jej ślubie, pocałunek, którego konsekwencje jeszcze są niewiadome, a teraz wtargnięcie rodzinki na próbę przed ślubem przyjaciółki – i to w tym samym kościele, w którym omal nie wyszła za mąż za Marcusa. Spojrzała na niego – a on to zauważył i mrugnął do niej.

Serce podskoczyło jej do góry. Och, jemu się wydaje, że ona naprawdę chce tego, co zaczęła mówić, zanim telefon od matki nie przerwał im rozmowy. Znowu nabral nadziei – tego się obawiała. To ją przerażało. Tego pragnęła.

Ścisnęła w spoconej dłoni gazetowy bukiet. Po pocałunku chciała zasiać w nim ziarno nadziei. Dlaczego? Dlaczego, skoro w głębi duszy wiedziała, że to niemożliwe?

Nic się nie zmieniło i nigdy się nie zmieni.

Bo ona, Allie, jest taka sama jak jej matka i ciotka, które wykorzystują mężczyzn, manipulują nimi dla własnych celów, własnej przyjemności, dla podniesienia poczucia własnej wartości i odrzucają ich, jeśli się nie sprawdzą – a ona odrzuciła już przecież narzeczonego – by w poszukiwaniu własnej satysfakcji rzucić się na następną ofiarę.

Spojrzała na Marcusa, który stał wpatrzony w to, co się działo przy ołtarzu, i serce jej pękło.

Nie wszystko da się uratować.

Na przykład narzeczeństwo z Marcusem.

Nie wszystko da się zmienić. Na przykład jej rodzinę.

Albo serce.

Zrobiło jej się duszno.

Allie przycisnęła dłoń do brzucha. Ściany kościoła zaczęły na nią napierać, były coraz bliżej. Nie słyszała już nic z próby ceremonii, wszystko zagłuszał chichot męża numer 27 oraz wygłaszane głośnym szeptem krytyczne uwagi babki i ciotki na temat udekorowania kościoła. To jest jej prawdziwe życie. Jej korzenie. Jej przyszłość.

Nie ma dla niej miejsca w świecie Marcusa i pani Hall. Nie ma nic wspólnego z Hannah i Zachem, z czystością i miłością świecącą w ich oczach.

Ona też należy do tego cyrku. Przykuta do niego więzami krwi i genami oraz wspomnieniami, które nigdy jej nie opuszczą. Szaleństwem było myśleć, że można od tego uciec.

Przeniosła wzrok na Marcusa i przez moment spojrzeli sobie w oczy. Duszność zrobiła się nie do zniesienia. Utracić go znowu po tej przelotnej nadziei na pogodzenie się – to stokroć gorzej niż było za pierwszym razem. On nigdy tego nie zrozumie i teraz na pewno już ją znienawidzi. Jak mogła być tak samolubna i pocałunkiem dać mu nadzieję?

Widziała, że Marcus wyraźnie się zaniepokoił. Nagle sufit zaczął ją przygniatać do ziemi i serce ścisnęło imadło paniki. Musi wyjść, bo zemdleje na oczach wszystkich.

Marcus zwrócił się w jej kierunku, ale zatrzymał go protestacyjny zgrzyt mikrofonu. Pastor postukał w niego palcem, uśmiechnął się i rzekł:

– A wtedy ja powiem: „Zachu, możesz pocałować swoją żonę”.

Zach przesłał Hannah pocałunek. Zgromadzeni goście zaczęli wiwatować. Matka Allie cmoknęła w policzek swojego narzeczonego. Pan Hall przechylił swoją żonę do tyłu i pocałował ją w usta.

A Allie podniosła spódnicę sukni i wybiegła pędem z kościoła.

Dziwne, jak historia lubi się powtarzać.

Marcus znowu stał przed jedynym lombardem w Beaux Creek, z zaciśniętymi w ręce obrączkami, z tym że tym razem był zdecydowany wejść.

Bo tym razem na własne oczy widział, jak Allie od niego ucieka. Widział w pełnym technikolorze, a nie tylko sobie wyobrażał. To duża różnica.

Tym razem już nie chce powrotu.

Słoneczna pogoda była absolutnym przeciwieństwem jego nastroju. Pchnął drzwi lombardu. W nozdrza uderzył go zapach taniej wody kolońskiej, stęchlizny i kurzu na nieruszanych od lat przedmiotach. Kiwnął na przywitanie głową właścicielowi siedzącemu za ladą. Bert również skinął i wrócił do przeglądania czasopisma dla wędkarzy.

– Rozejrzyj się – powiedział obojętnie. – Daj znać, jak będę mógł ci w czymś pomóc.

Marcus podziękował, chociaż w jego sytuacji chyba nikt nie mógł mu pomóc. Z wahaniem przyglądał się biżuterii wyeksponowanej pod brudną szybą. Czy naprawdę zdecyduje się dodać kupione z miłością obrączki do tego przypadkowego zbioru złota i srebra?

Tak! Bo nie mógł pozbyć się sprzed oczu widoku Allie wybiegającej z kościoła. Dlaczego uważa ucieczkę za odpowiedź na wszystkie problemy? No to co, że wstydziła się z powodu rodziny? Jasne, że było to żenujące, nie przeczył. A to, że nagle w tym samym kościele, gdzie miała wyjść za mąż, wszyscy wokół zaczęli się całować, na pewno musiało ją niezle wytrącić z równowagi. Wiedział, że tak było, bo na niego również to podziałało.

Ale przecież oni też mogli być jedną z całujących się par. I byli, tylko kilka dni wcześniej, w kuchni Zacha. Więc co się stało?

Pojawiła się, jak duch przeszłości, na próbnym obiedzie. Z kamienną miną, nie patrząc na niego, pełniła obowiązki pierwszej drużny, myślami najwyraźniej błędząc gdzie indziej. Nie chciała być tam, gdzie była.

Jedyne, czego on pragnął, to być przy jej boku – a ona cały czas uciekała.



Od niego.

Nadal był zakochany, ale nie głupi.

– Mam pytanie – odezwał się. Z rozmachem położył na ladzie obrączki. – Ile za nie dostanę?

Bert mruknął i zerknął znad czasopisma. Podejrzliwie spojrzął na Marcusa, po czym poszedł po szkło powiększające.

Obejrzał obrączki i zdziwiony podniósł wzrok.

Marcus skinął głową.

– Wiem, wiem. Są prawdziwe.

Aż zanadto prawdziwe. I prawdziwie bezużyteczne. Przełknął, żeby pozbyć się suchości w gardle, i ponowił pytanie:

– No to ile?

Sprzedawca rzucił kwotę znacznie poniżej ceny zakupu, lecz Marcus przystał na nią bez wahania.

– Są twoje.

Nie ma co oglądać się do tyłu.

Allie dokonała wyboru.

\*

Czerwony eyeliner nie jest odpowiedni na ślub.

Niestety, Allie wyglądała, jakby podmalowała sobie powieki na czerwono.

Potała podkrążone oczy i poprawiła pasek miękkiego, turkusowego szlafroka. Spłakane, rozczochrane odbicie w lustrze rzucało jej w twarz oskarżenia: „podrywaczka”, „modliszka”, „hipokrytka”.

Doskonale sobie wyobrażała, co Marcus może o niej myśleć po ponownej ucieczce z kościoła, po milczeniu w odpowiedzi na jego niezliczone zaniepokojone SMS-y i telefony. Nie wiedziała, co było gorsze – nieprzerwane dzwonienie komórki czy późniejsza cisza.

Wstydziła się swojego postępuku.

Może ucieczka była objawem tchórzostwa?

Lecz uciekając, ratowała Marcusa od następnego fałszywego kroku. Nie byłaby w stanie odepchnąć go, patrząc mu w oczy. Nie po tym pocałunku, po nieoczekiwanej bliskości, która nagle powróciła.

Nie po tych kilku chwilach nadziei.

Tym razem zostawiła mu pożegnalną wiadomość – czego nie uczyniła ostatnim razem. Może to coś ułatwi... a może znacznie pogorszy?

Życie pokaże.

Podskoczyła na dźwięk dzwonka do drzwi. Jeśli to jest Marcus, nie otworzy. Nie tylko dlatego, że fatalnie wygląda, ale głównie dlatego, że gdyby w jego wzroku nie było skoncentrowanej złości – rozpląnęłaby się jak lody na słońcu.

Zajrzała przez wizjer i poczuła jednoczesną ulgę i zawód. Nie Marcus, tylko jego matka.

Co tu robi pani Hall, skoro dzisiaj wieczorem jest ślub jej córki? Powinna być w wirze przygotowań. Allie już by w nich pomagała, gdyby nie to, że nie zdążyła zamaskować konsekwencji przepłakanej nocy.

Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

– Dzień dobry, Julie... to znaczy... pani Hall.

– Nadal mów mi Julie.

Matka Marcusa szybko weszła do środka, jakby obawiając się, że Allie zamknie jej drzwi przed nosem. Przez rękę miała przewieszony jakieś ubranie w pokrowcu.

– Przyniosłam twoją suknię.

Allie zaczerwieniła się ze wstydu.

– Nie chciałam, żeby Hannah prosiła cię o naprawę – wyjaśniła, potężnie skrepowana. – Wydawało mi się to... niewłaściwe. Ale... dziękuję.

Wyciągnęła rękę po pokrowiec, lecz Julie usunęła go z jej zasięgu.

– Najpierw ważniejsze sprawy. – Pokazała palcem salon i Allie poszła za nią chętnie, jak dziecko spragnione pomocy. Pewna siebie, lecz jednocześnie życzliwa postawa Julie była jak bulion dla chorego serca.

– Usiądź.

Allie usiadła.

Julie przycupnęła na brzegu kanapy, dwie poduchy od niej, na tyle blisko, żeby można było rozmawiać od serca, ale na tyle daleko, by Allie nie czuła się osaczona i nie miała ochoty uciec.

– Chcę coś powiedzieć i proszę, żebyś mnie wysłuchała. Nie przepraszaaj. Nie tłumacz się. Tylko słuchaj.

Zaczęła rozpinąć pokrowiec i Allie przygotowała się psychicznie – widok sukni zawsze ranił jej duszę. Lecz teraz przynajmniej rozdarcie jest zaszyte i będzie mogła dać ją matce. Nareszcie pozbędzie się jej z domu.

Lecz to, co Julie wyciągnęła, wcale nie było suknią wszystkich kobiet z rodziny Andrews.

– Co to?

Allie pochyliła się z zaciekawiona – i od razu się cofnęła. To jednak była jej suknia. Całkowicie przerobiona.

Zaczęło ogarniać ją przerażenie. Matka ją zabije. A ściślej rzecz ujmując, ustawią się w kolejce, żeby ją zabić. Pierwsza będzie babka, dla której ten kawałek materiału był czymś w rodzaju starodawnej pamiątki rodowej. No cóż, prawdę mówiąc, była to starodawna pamiątka. Która niosła ze sobą starodawną klątwę, lecz najwyraźniej nikomu prócz Allie to nie przeszkadzało.

– Nie pytając cię o zgodę, pozwoliłam sobie na nazbyt wiele...

Julie podniosła dłoń, żeby zastopować potok słów, które – jak się spodziewała – Allie wyleje na jej głowę. Niepotrzebnie. Dziewczyna nie była w stanie wydusić z siebie ani jednej sylaby. Miała wrażenie, że język przyrósł jej do podniebienia.

– Ale wydawało mi się to konieczne. – Pani Hall zamilkła, zbierając myśli.

Allie nie mogła oderwać oczu od tego, co niegdyś uważała za szczyt brzydoty w historii sukni ślubnych.

Ta nowa suknia, krótsza, elegancka, znakomicie obszyta – była dziełem sztuki.

Była dokładnie taka, jaką mogłaby sobie wymarzyć – we wszystkich szczegółach, aż po cieniutkie ramiączka i turkusową szarfę w talii.

– Allie, już od dość dawna jestem matką. – Julie pochyliła się i wzięła dłoń dziewczyny w swoje ręce. Jej doskonale dopracowane przez manikiurzystkę palce były chłodne, lecz jednocześnie promieniowały ciepłem. Takie właśnie powinny być dłonie matki. Allie w odpowiedzi ścisnęła rękę Julie, jakby to była lina ratunkowa. – Obserwowałam ciebie i mojego syna. Wiem, że go kochasz. Że go nigdy nie przestałaś kochać.

Do oczu Allie zaczęły się cisnąć łzy – czy to możliwe, żeby jeszcze wszystkich nie wypłakała? – pociągając za sobą pulsowanie w skroniach, które zapowiadało ból. Kiwnęła głową, wciągając drżący oddech.

– Nie dziw się, że starałam się odgadnąć, co takiego skłoniło cię do rozstania, skoro najwyraźniej żywisz do niego te same uczucia co dawniej. – Pani Hall urwała i zapadła cisza przerywana tylko tykaniem antycznego zegara na ścianie.

Czekając, aż spadnie jej na kark nóż gilotyny, Allie uroniła dwie łzy.

– Allie, uwierzyłaś w kłamstwa. – Julie wzięła ją pod brodę i zmusiła, by spojrzała jej w oczy. – Najwyższy czas, żebyś zmadrzała.

– Jakie kłamstwa? – Co za głupie pytanie. Gdyby mogła podłączyć mózg do sieci, nacisnęłaby przycisk „Print” i Julie, jak i cała reszta świata, mogłaby przekonać się na własne oczy... Z tym że to chyba nie były kłamstwa. Odnosiła wrażenie, że to prawda. Że to bagaż, którym nie chce obarczać Marcusa.

– Skarbie, nie jesteś zdeterminowana tym, jaka jest twoja rodzina. Nie musisz popełniać błędów swoich przodków. – Julie pochyliła się i powiedziała z powagą: – Robisz inne błędy, swoje własne, dlatego że tak bardzo starasz się odciąć od tamtych.

Cóż, to akurat wyglądało na prawdę – i bolało jak prawda.

Czy taka była jej wina? Czy, desperacko pragnąc być inna niż jej matka i babka, poszła w ich ślady? Odrzucała mężczyzn, aby nie mogli jej zranić? No, powiedzmy, że Marcusa odrzucała, żeby jego nie zranić. Ta sama zasada. Te same konsekwencje. Ten sam rezultat. Złamane serce.

Zanim Allie zdążyła przemyśleć sprawę, Julie rozłożyła suknię na kanapie.

– Z Marcusem zawsze mieliście coś wspólnego. Oboje lubicie ratować to, co jest tego warte.

Allie pomyślała o wiadomości, jaką zostawiła na ganku Marcusa, i serce ścisnęło jej się z żalu. Rozplakała się i kiwnęła głową. To on przekonał ją, żeby uwierzyła w siebie i otworzyła własny antykwariat, a ona z kolei zawsze stała koło niego i patrzyła zafascynowana, jak przetwarza złom w arcydzieła.

– Zamiast mebli i samochodów może teraz zajęlibyście się czymś ważniejszym? – Julie pomacała rąbek przerobionej sukni i przyglądała jedwabną szarfę. – We wszystkim jest piękno, Allie. „Jest czas rozdierania i czas zszywania” [2].

Allie zaryzykowała spojrzenie w oczy niedoszłej teściowej – i wyczytała w nich miłość i akceptację. Jeśli Julie mogła przebaczyć i zapomnieć krzywdę wyrządzoną całej rodzinie – i to dwukrotnie! – to może i Marcus będzie w stanie przebaczyć?

Ale czy wolno jej o to prosić?

Wątpliwości szarpiące jej sumienie przygasiły nieco nadzieję. Przesunęła lekko dłonią po sukni, a potem wstała i przymierzyła ją do siebie. Pasowałaby doskonale, od razu było to widać. Spódnica z przodu sięgałaby do kolan, z tyłu opadała nieco niżej. Zamiast koronkowych rękawów były tylko cienkie ramiączka, które podkreślałyby jej obojczyki i wąskie ramiona, a stanik zwęzał się do pasa przewiązanego turkusową szarfą. Współczesna, ale z klasyczną nutą.

Dokładnie taka, jaką by sama wybrała.

Dokładnie taka, w jakiej chciałaby pokazać się Marcusowi.

I właśnie taka, jaka pomogłaby jej stać się nowym stworzeniem – i raz na zawsze zamknąć przeszłość. Może udałoby się jej uratować suknię. Uratować związek z Marcusem. Uratować siebie.

– Nie bój się naprawiać tego, co zepsute, Allie. Nie bój się uzdrawiać. – Julie uśmiechnęła się, jakby potrafiła czytać jej w myślach. – Myślę, że najwyższy czas. A jak ty sądzisz?

Allie, zamiast odpowiedzieć, zdjęła suknię z wieszaka. Cichutka nadzieja dodała jej odwagi.

I podsunięta przez wyobraźnię mina Marcusa, który nareszcie zdaje sobie sprawę, że tym razem ona nigdzie nie zamierza uciec.

\*

Marcusowi powinno ulżyć na sercu, gdy pozbył się ciężaru obrączek z kieszeni, tymczasem miał wrażenie, że w klatce piersiowej zaległ wielki głaz i wcale nie chce zniknąć. Zgasił silnik furgonetki, rzucił okiem na wolno stojący garaż kryjący samochód, który tak pieczołowicie odnawiał, i poszedł na ganek.

Przed samymi drzwiami stała lśniąca ława warsztatowa.

Marcus zamrugał z niedowierzaniem. Przesunął dłonią po solidnych półkach. Był to piękny mebel, na smukłych nogach, z rzeźbionym ornamentem na oparciu. Skąd się tu wziął? Potrzebował czegoś takiego, ale to nie była ława do roboty, nie nadawała się do brudnego warsztatu. Wyglądała raczej na pamiątkę.

Dokładniejsze oględziny ujawniły głębokie rysy pod bejcą świadczące o tym, że długo komuś służyła. Półki były przymocowane nowymi wkrętami. Odnowienie jej musiało kosztować dużo wysiłku.

Tylko jedna osoba tak pieczołowicie odrestaurowałaby zwykłą ławę do warsztatu.

Ta sama osoba, której pismo widniało na kopercie przyciśniętej kamykiem do lśniącego drewna.

Niecierpliwość i obawa walczyły w jego sercu, gdy usiadłszy na siedzeniu, powoli otworzył kopertę i wyciągnął kilka kartek zapisanych znanym charakterem pisma.

*Drogi Marcusie,*

*Hannah powiedziała mi, że poważnie zastanawiałeś się nad przeniesieniem do Teksasu. Nie dziwię Ci się, bo bywały takie dni, że sama bym to zrobiła, gdybym tylko mogła. Na przykład wczoraj. Wiem, jak moja ucieczka z kościoła musiała na Ciebie podziałać, lecz nie potrafiłam pogodzić serca z nogami. Przepraszam, że znowu Cię skrzywdziłam.*

*Ale krzywdząc, chciałam Cię tylko uratować. Uratować od gorszego losu, po latach, ze mną. Znasz moją rodzinę, wiesz, jakie było moje środowisko. Wiesz, kim jestem. Lepiej będzie Ci beze mnie. Proszę, uwierz. Ta decyzja nie ma nic wspólnego z Tobą, lecz wyłącznie ze mną.*

*Bardzo chciałam, żebyś miał tę ławę, ten znak, że w tym, co stare, kryje się dużo dobrego. To, co zniszczone, może jeszcze długo służyć. To właśnie powiedziała mi pani*

*Hawkins, kiedy przyniosła tę niemal rozsypującą się ławę do antykwariatu.*

*Chciałabym, żeby przeszłość dało się uratować tak łatwo, jak tę ławę. Gdyby to było możliwe, wykupiłabym całą bejcę i papier ścierny i przyłożyła się do roboty jak nigdy dotąd. Boję się jednak, że niektórych rzeczy nie da się uratować.*

*Na przykład tej rodowej sukni ślubnej, w której na szczęście nigdy mnie nie widziałeś. Była okropna, z wielu powodów, z których większość nie ma nic wspólnego z próżnością, a raczej z tym, co sobą symbolizowała. Dziesiątki nieudanych małżeństw. Złamane przyrzeczenia.*

*Kiedy tuż przed naszym ślubem zobaczyłam rozdarcie na rękawie, potraktowałam je jako znak, ostrzeżenie, że dla Twojego własnego dobra powinnam z Tobą zerwać.*

*Nigdy nie umiałam cerować koronki.*

*Teraz jedyne, co mogę zrobić, to prosić Cię o wybaczenie i życzyć Ci samego dobra, bo jesteś prawdziwym skarbem, Marcusie.*

*I zasługujesz na skarb.*

*Życzę Ci samego szczęścia.*

*Allie*

Marcus złożył list, a potem jeszcze kilka razy składał go i rozkładał. Skarb. Czy Allie nie ma pojęcia, co ona znaczy dla niego? Czy był aż takim nieudacznikiem, że przez kilka lat jako przyjaciel, chłopak, narzeczony nie potrafił jej uświadomić jej własnej wartości? Wartości, która nie miała nic wspólnego z rodziną, genealogią i przeklętymi sukniami?

Jej własnej, indywidualnej wartości, która z niej promieniowała? Doświadczenia życiowe i rodzina (przyznaje, że szalona) uczyniły z niej osobę, którą cenił.

Osobę, którą kochał.

Wzbierająca nadzieja usunęła z serca kamień. Marcus wstał, wsunął list do kieszeni i wyciągnął kluczyki do auta. Dwa razy sparzył się na Allie, ale dopiero trzeci raz dałby mu nauczkę. A może czwarty. Nieważne.

Rzucił okiem na zegarek i zaczął się gorączkować. Do ślubu tylko sześć godzin – a właściwie cztery, jeśli chce być w kościele na sesji zdjęciowej. Musi się pospieszyć. Rzucił okiem na garaż i zmienił trasę. Najpierw garaż.

Potem lombard.

\*

Allie po raz dziesiąty poprawiła turkusową szarfę na sukience, nerwowo krążąc przed salką za zakrystią i czekając, aż Hannah skończy konferować na stronie z ojcem. Allie wpadła do niej w drodze do kościoła kilka godzin przed zaplanowaną sesją zdjęciową i otrzymała zgodę na swój szalony plan. Nie chciała usuwać w cień przyjaciółki w ten najważniejszy dla niej dzień, ale Hannah tak się tym ucieszyła, że wcale jej to nie przeszkadzało.

Do zdjęć Allie włożyła sukienkę taką jak wszystkie druheny, po czym – postanowiwszy choć raz w życiu wziąć los w swoje ręce – zmieniła ją na nową suknię ślubną.

No, jeśli teraz ucieknie, przynajmniej nie będzie musiała podnosić spódnicy do góry.

Nie, nie, żadnych ucieczek. Pierwszy raz od długiego czasu w jej sercu zapanował pokój. Musi spróbować. Marcus zasługuje na wszystko, co najlepsze, więc choć niepokój rozstrajał żołądek, uparła się wytrwać do końca.

– Już czas.

Hannah z ojcem wyszli z salki i w sercu Allie chór nerwów zaczął śpiewać hymn. Już czas. Teraz albo nigdy.

Prawdę mówiąc, wcale nie chciała, żeby to było nigdy.

Złapała przyjaciółkę za rękę.

– Wyglądasz przepięknie.

– Ty też. – Hannah nachyliła się, poprawiła bukiet w ręku Allie i uśmiechnęła się. – Gotowa?

– No to już! – Przybiły piątkę i Allie poszła dołączyć do orszaku druhen wchodzących do kościoła przed Hannah i jej ojcem.

Julie, która całe popołudnie wymyślała jakieś bzdurne zadania dla Marcusa, wychynęła zza rogu długiego korytarza i machnęła do Allie ręką z kciukiem podniesionym w górę.



Raz kozie śmierć.

Serce znowu podeszło jej do gardła. Zwariowała. A jeśli się nie uda? Jeśli on jej nie przebaczy?

A jeśli teraz to on ucieknie???

Stała na końcu orszaku w przedsionku kościoła, czekając, żeby stanął obok niej Marcus, oszalałmijąco elegancki w smokingu. Pojawił się dopiero, kiedy zaczęła grać muzyka i do kościoła wprowadzano najstarszych członków rodziny.

– Nareszcie. Całe popołudnie próbowałem się z tobą połączyć. Chciałem ci podziękować... – urwał i z niedowierzaniem przyjrzał się Allie. – Zmieniłaś suknię po zdjęciach?

– Tak – powiedziała niemal szeptem, zupełnie inaczej, niż to przećwiczyła. Ale tak trudno było jej się skoncentrować, gdy biały kołnierzyk cudownie podkreślał orzechowe oczy Marcusa, a nad nimi tak uroczym wiał się jego włosy.

– Jest piękna. – Przejechał spojrzeniem po sukni, po czym znowu zajął jej w oczy.

I nagle przedsionek zrobił się zanadto tłoczny.

Allie odciągnęła Marcusa kawałek dalej, nie zważając na karcące spojrzenie Hannah. Muzyka zmieniła się i rozległ się *Kanon D-dur* Pachelbela. Ma zaledwie parę minut, żeby dowiedzieć się, jaka będzie odpowiedź.

– Dziękuję za ławę. I za list. – Marcus wyciągnął do niej rękę i przejechał palcami od łokcia do dłoni. Allie przebiegł prąd. Czy on to zrobił celowo? Czy to tylko gest przyjacielski?

– Nie ma za co. Zaslugujesz na lepsze wyjaśnienie. – Zbierając odwagę, przełknęła nerwowo ślinę. Zrobi to, musi to zrobić. Marcus jest tego wart. A ona nie jest już tą dawną Allie. Nie jest ofiarą. Zerwała z dawnym życiem.

Jest nowym stworzeniem. Zupełnie jak jej suknia.

Jak ona z Marcusem, jeśli tylko uda jej się powiedzieć to, co powinna, bez płaczu.

Muzyka grała, a jej serce przyspieszyło trzykrotnie.

Przemowa, którą starannie ułożyła i zapisała, wypadła jej całkiem z pamięci i Allie była w stanie jedynie powiedzieć to, czego najbardziej pragnęło jej serce.

– Marcusie, ożeń się ze mną.

Marcus wytrzeszczył oczy. Pod wpływem wstrząsu? Smutku? Żalu? Nadziei? Nie miała pojęcia.

Już niedługo ich kolej, by wejść do kościoła, a ona nie wie, czy na swój ślub ma narzeczonego.

– Jestem cała popaprana, podobnie jak moja rodzina. Nie wiem, ile się zmieni i czy kiedykolwiek będę w stanie rzeczywiście oderwać się od tego, w co do tej pory wierzyłam. – Allie zawahała się i wyłamując nerwowo palce, żałując, że brakuje jej elokwencji, ciągnęła: – Ale chcę spróbować. Dla ciebie. – Wyciągnęła rękę do Marcusa, ale zaraz ją cofnęła, bo przecież nie miała pojęcia, co on na to. – Wiem tylko tyle, że gdy zobaczyłam, co twoja matka zrobiła z tą suknią, gdy przekonałam się, że można ją zmienić, żeby była zupełnie inna – nabrałam nadziei, prawdziwej nadziei, że może nam też się uda. – Skrępowana, pociągnęła za szarfę. – No to jak...? Weźmiesz mnie za żonę?

Marcus pokręcił głową i serce Allie uciekło w pięty.

– Rozumiem.

Co jej się wydawało, że to będzie takie łatwe? Po tym, co przez nią przeżył? A teraz mają iść środkiem kościoła obok siebie, jakby nic się nie stało. Jakby krew ze zranionego serca Allie nie spływała po sukni. Jakby taran nie rozwalił właśnie znowu jej przyszłości.

– Nie mogę powiedzieć „tak”, bo sam mam pytanie do ciebie. – Marcus wziął jej rękę w dłonie i ukląkłszy, spytał: – A czy ty wyjdiesz za mnie?

W głębi duszy Allie wybuchła radość i rozlała się na zewnątrz w wesołym śmiechu, jakim od lat się nie śmiała.

– Tak! Tak!

W *Kanonie D-dur* narastało napięcie. Marcus wstał i Allie przypieczętowała obietnicę, przyciskając swoje usta do jego ust. Poczowała, że jego ręce obejmują ją w talii i lekko unoszą w górę. Zakręciło jej się w głowie. Nareszcie znalazła swoje miejsce.

Znalazła dom i rodzinę.

– Muszę dodać jeszcze jeden szczegółik do pytania, które ci zadałam. – Łobuzersko szturchnęła go w bok. Teraz go wystraszy. – Moja propozycja ma ważność tylko dzisiaj. Podwójny ślub.

Oczywiście, nie mieli urzędowego papieru, ale dzisiejsza ceremonia przypieczętuje wzajemne zobowiązanie, a formalnościami zajmą się, jak tylko zaczną się godziny pracy sądu.

– Co takiego? Dzisiaj? – Marcus zrobił minę komicznie zszokowaną, a potem się roześmiał. – Coś ci pokażę. – Pociągnął ją ku wyjściu, otworzył drzwi biodrem, po czym stanął za Allie i obejmując ją wkoło ramionami, spytał:

– Widzisz coś znajomego?

Nie. Rozejrzała się trochę zbita z tropu tym, że Marcus nie był specjalnie zaskoczony, i trochę zdziwiona, że każe jej patrzeć na parking.

A potem... tak. Mustang. 1973 mach I, o ile się nie myli. Parkował pod daszkiem z boku sali przyjęć. Czy to...

Zamrugła, przełknęła ślinę, znowu zamrugła i wyswobodziwszy się z objęć, podeszła, żeby spojrzeć z bliska.

– Czy to... moje auto? Myślałam, że je sprzedałeś. – Nie mogła uwierzyć... Choć nie, oczywiście, że mogła. To był cały Marcus. Turkusowy pas jak w autach wyścigowych był zrobiony specjalnie pod nią.

– Wszystko da się uratować, Allie. – Marcus odgarnął kosmyk włosów z jej policzka i pochylił się, by skraść następnego całusa. I cichym, leniwym szeptem dodał:

– „Jest czas rozdzierania”...

– „I czas zszywania”.

Już nie bała się tego zszywania. Ani rozdzierania.

Ponieważ i jedno, i drugie ją zahartowało.

I wzmocniło miłość.

Pocałowali się znowu. Z kościoła rozległy się pierwsze takty marszu weselnego.

– To sygnał dla nas. – Marcus podał jej ramię, a ona wsunęła swoją dłoń w zagłębienie łokcia. Hannah, prowadzona przez ojca do ołtarza, obróciła się i mrugnęła do nich.

Nadeszła ich kolej.

Na widok całych rzędów głów obracających się, żeby gapić się na drugą pannę młodą, Allie dostała skurczu żołądka, ale stopy posłusznie podążały w stronę ołtarza, a ręka spoczywała na przedramieniu Marcusa. Nigdzie nie będzie biec.

Chyba że prosto na własne lutowe wesele.

## Podziękowania

Szczególne wyrazy wdzięczności należą się Becky Philpott, nadzwyczajnej redaktorce, za jej serce, wizję i życzliwość oraz całemu zespołowi w dziale literatury w wydawnictwie Zondervan za wysiłek włożony w wytworzenie produktu, który bawi i inspiruje. Pisanie powieści to naprawdę zajęcie grupowe!

Uprzejmie kłaniam się moim „współdrużkom” z kolekcji *Rok Ślubów* – potraficie naprawdę zachęcić do ślubu! Jestem zaszczycona, mogąc być razem z Wami w tej serii.

Jak zwykle, bardzo dziękuję moim superagentom, Tameli Hancock Murray oraz Steve’owi Laube, za Wasze wsparcie, radę i nieustającą zachętę.

Dziękuję również mojemu przyjacielowi, który fachowo konsultował wszystkie zagadnienia z dziedziny motoryzacji. A tak na marginesie, daję słowo, że moje camaro nadal jest w stanie pobić Twojego mustanga!

Nie napisałabym tej opowieści bez mojej Kim! Dzięki, że byłaś gotowa wszystko rzucić i przybiec mi na pomoc w *Barnes & Noble*. Zawdzięczam Ci mokkę, jedną burzę mózgów i chyba drzemkę. Jesteś wielkim darem.



© Ken Raney

Betsy St. Amant to „grzeczna dziewczynka”, która w swoich romansach lubi pisać o „niegrzecznych chłopcach” nawróconych na dobrą drogę. Od najmłodszych lat mieszka w Luizjanie. Obecnie wraz z cudownym berbeciem, który nieustannie domaga się nowych opowieści. Kiedy Betsy nie pisze, to z dużym prawdopodobieństwem zajmuje się konsumowaniem potężnych ilości czipsów o smaku ogórka i razem z córką śpiewa piosenki z filmu *Zaplątani*. Ma licencjat z chrześcijańskiej komunikacji społecznej. Jest zapaloną czytelniczką, niezależną dziennikarką, publikuje powieści i teksty Nieliterackie. Lubi mówić i wyklądać technikę pisania i poprzez swoje opowieści dzielić się dobrą nowiną o Bożej łasce.

[1] Ps 46,11.

[2] Rdz 8,22.

[3] 1 Kor 13,10-12

[4] Henry Purcell – angielski kompozytor tworzący w epoce baroku (przyp. red.).

[5] Fragment tekstu przysięgi małżeńskiej przyjętego w Kościele ewangelicko-augsburskim (przyp. red.).

[1] Sears Tower (obecnie Willis Tower) – wieżowiec w centrum Chicago. Mieszkańcy Chicago zazwyczaj używają pierwotnej nazwy (przyp. tłum.).

[2] Koh 3,7.